

4490-1107
G. K. CHESTERTON

GRZECHY KSIĘCIA SARADINE

Dalsze opowiadania z cyklu:

„NIEWINNOŚĆ OJCA BROWNA”

1923
1928
V A R S Z A W A — 1928

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „R Ó J”

18

14901/64
LP 11450/2

Z UPOWAŻNIENIA AUTORA PRZEŁOŻYŁA
Ziemliska

252505

I

Bogdan Paluszkiewicz

Odbito w Zakł. Graf. „Drukarnia Polska”, Warszawa, Szpitalna 1.

D.K.

Antykw. Romk.
Poznań, Rynek 58

22.10.64r.

24.



UCZCIWY MANJAK

Nadciągał burzliwy wieczór oliwkowy i srebrny, kiedy Ojciec Brown, otulony w szary szkocki pled, dotarł do końca naszej szkockiej równiny i ujrzał przed sobą zamek Glengyle'ów. Na tym dziwnym budynku urywał się nagle jar, czy wąz wóz, niby ślepa aleja. Wyglądało to, jak koniec świata.

Zamek wystrzelał w górę skośnemi dachami i ostrosłupami zielonego lupku, w stylu starych, francusko-szkockich rezydencyj. Przywodził Anglikom na pamięć straszne, stożkowate kapelusze czarownic z bajki. Lasy jodłowe, które wiatr kołysał dookoła zielonych wieżyczek, wydawały się przez kontrast tak czarne, jak niezliczone stada kruków. Dziwny nastrój, jakgdyby poczucie śpiącego w zamku demona, nie wynikał jedynie z fantastycznego krajobrazu. Nad miejscem tem zaciążyła bowiem chmura naładowana pychą, szaleństwem i owym tajemniczym smutkiem, który bardziej ciąży nad magnackiemi domami Szkocji, niżli

nad któremikolwiek innemi dziećmi człowieka. Szkocja bowiem ma w sobie zdwojoną dozę truciźny, zwanej dziedzicznością—głosu krwi u szlachcica i wiary w przeznaczenie u Kalwina.

Ksiądz wyrwał się na jeden dzień od swoich zajęć w Glasgow, aby spotkać się ze swoim przyjacielem, amatorem-detektywem Flambeau, który znajdował się tutaj wraz z drugim, bardziej już oficjalnym detektywem. Pobyt ich miał na celu zbadanie zagadki życia i śmierci hrabiego Glengyle. Owa tajemnicza postać była ostatnim przedstawicielem rodu, którego dzielność, szaleństwo i chytra gwałtowność były postrachem nawet najprzewrotniejszej szlachty w wieku szesnastym. Nikt nie zabrnął głębiej w labirynt ambicji, w najskrytsze zakamarki owego pałacu kłamstwa, który został wzniesiony dookoła królowej Marii Szkockiej.

Dwuwersz, krążący po okolicy, świadczył wymownie o motywach i skutkach ich złoczyńów:

„Czem są dla drzewa soki zielone,
Tem dla Ogilwów złoto czerwone“.

Przez wieki całe nie było na zamku Glengyle przyzwoitego pana, a z nastaniem ery wiktoriańskiej zdawało się, że ród ten wyczerpał już do cna wszystkie ekscentryczności.

Glengyle dopełnił jednak rodowej tradycji, dokonawszy tego, co mu jeszcze pozostało do zrobienia — znikł. Nie znaczy to bynajmniej, że wy-

jechał bezpowrotnie; według wszelkiego prawdopodobieństwa przebywał ciągle jeszcze na zamku, jeżeli wogóle gdzieś przebywał. Ale jakkolwiek imię jego znajdowało się w registraturze kościelnej i w dużym czerwonym almanachu szlacheckim — on sam stał się dla ludzi niewidoczny.

Jeżeli ktoś go wogóle widywał — był nim chyba samotny sługa, coś pomiędzy lokajem a ogrodnikiem. Był on tak głuchy, że ci, którzy nie mieli wiele czasu do stracenia, uważali go za niemowę; przenikliwsi natomiast widzieli w nim półgłównka. Był to chudy rudowłosy pracownik o psiej szczęce i psich policzkach, ale oczy miał nieskazitelnie czyste i niebieskie. Nazywał się Izrael Gow, wiecznie milczący, i był jedynym sługą w tem ustronnem zamczysku. Aliści zapał, z jakim kopał ziemniaki, i punktualność, z jaką co dnia o tej samej porze znikał w kuchni, sprawiały wrażenie, jakgdyby przyrządzał jakieś szczególniejsze potrawy i jakgdyby dziwaczny hrabia ciągle jeszcze ukrywał się na zamku. Ilekroć domagano się dalszych dowodów obecności hrabiego, sługa uporczywie zapewniał, że go w domu niema. Pewnego dnia proboszcz i ministrant — Glengyle'owie byli bowiem prezbiterjanami — zostali wezwani na zamek. Kiedy się tam udali, zobaczyli, że ogrodnik, stajenny i kucharz w jednej osobie dołączył do swoich wielu ról jeszcze rolę grabarza i zabijał gwoździami trumnę, w której spoczywał jego pan. Niewiadomo, czy długie były badania i śledztwa, czy nie;

to pewna, że powrócono po tym dziwnym incydencie do porządku dziennego i nigdy nie dochodzono tej sprawy na drodze sądowej, dopóki Flambeau nie przybył przed paru dniami w te północne strony. W tym czasie ciało lorda Glengyle — jeżeli wogóle było to jego ciało — leżało już jakiś czas na małym cmentarnem wzgórzu.

Kiedy Ojciec Brown przeszedł przez ocieniony ogród i dotarł pod mury zamku, gęste chmury zawisły na niebie, a powietrze było parne i przepełnione burzą. Na tle ostatniej złotawozielonej smugi zachodzącego słońca ujrzał czarną sylwetę człowieka; miał on na sobie wytarty cylinder, a na ramieniu dźwigał dużą łopatę. To zestawienie dziwnie narzucało myśl o grabarzu. Ale kiedy Brown przypomniał sobie głuchego sługę, który kopał ziemniaki, znalazł zarazem wytłumaczenie owej nienaturalności. Wiedział niejedno o szkockim chłopie, znał ten rodzaj respektu, który każe mu stawać przed obliczem władzy koniecznie w czarnym ubraniu; znał także ekonomję czasu, dla której chłop szkocki nie zmarnowałby jednej godziny. Nawet nagłe obruszenie się sługi i jego podejrzliwe spojrzenie, kiedy ksiądz go minał, pokrywały się zupełnie z czujnością i zawistnością jego krwi.

Duże drzwi rozwarły się; stał w nich Flambeau, a obok niego jakiś suchy mężczyzna z siwymi skroniami, który trzymał w ręku plik papierów. Był to inspektor Craven ze Scotland Yard'u. Ściany głównego hall'u były popękane i nagie, jedynie

blade szydercze twarze paru zwyrodnialców rodu Ogilwów wyzierały z ram, z pociemniałych płócien i z pod czarnych peruk.

Wszedłszy za towarzyszami do wnętrza, Ojciec Brown zastał pozostałych sprzymierzeńców przy długim, dębowym stole, pokrytym zapisanymi arkuszami, obok stały flaszki z wódką i cygara. Pozostałą długość stołu zajmowały luźne przedmioty, ułożone grupkami, przedmioty tak niezrozumiałe, jak sobie tylko można wyobrazić. Jedna rzecz wyglądała, jak garstka błyszczącego, potłuczonego szkła. Inne znów, jak stożkowata kupka brunatnego mialu. Trzeci przedmiot nie był niczem innem, jak zwyczajną drewnianą laską.

— Jak widzę, macie tu panowie coś w rodzaju geologicznego muzeum — rzekł, siadając i zwracając nieznacznie głowę w kierunku szarego pyłu i kryształowych okruchów.

— Nie tyle geologiczne muzeum, ile psychologiczne — odpowiedział Flambeau.

— Ależ na miłość boską — zaśmiał się urzędnik policyjny. — Nie zaczynajmy lepiej od takich długich słów.

— Czy nie wiadomo panu, co znaczy psychologia? — zapytał Flambeau w przyjaznym zdziwieniu — psychologia to znaczy brak piątej kleпки.

— Jeszcze ciągle nie rozumiem — odparł urzędnik.

— A zatem powiem to panu prościej — odpowiedział rezolutnie Flambeau — chciałem powie-

dzieć, że dotąd odkryliśmy tylko jedną rzecz odnośnie do lorda Glengyle: był to manjak.

Czarna sylweta Gow'a z jego łopatą i cylindrem minęła okno, zarysowując się niewyraźnie na tle ciemniejącego nieba. Ojciec Brown patrzył nań nieruchomo i rzekł: „Przyznaję, że jest w tem coś niesamowitego, jeżeli człowiek za życia daje się dobrowolnie żywcem pogrzebać — albo jeżeli tak mu na tem zależy, aby odrazu po śmierci zostać zakopanym. Ale co cię naprowadza na domysł, że to był obłąd?

— Proszę zwrócić tylko uwagę na spis rzeczy, które Mr. Craven znalazł w tym domu.

— Trzeba będzie postarać się o świecę — rzekł nagle Craven — burza nadciąga — w tych ciemnościach trudno będzie coś przeczytać.

— A może znalazł pan także świecę pośród pańskich osobliwości? — zapytał z uśmiechem Brown.

Flambeau podniósł w górę zadumaną twarz i utkwiał ciemne oczy w przyjaciela.

— Czyż i to nie jest co najmniej dziwne — rzekł — dwadzieścia pięć świec i ani śladu świecznika?

W szybko ciemniejącym pokoju i przy gwałtownych porywach wiatru Brown podszedł wzdłuż stołu do miejsca, w którym paczka woskowych świec leżała pomiędzy porozrzucanemi, potarganemi gratami. W tej samej chwili pochylił się

prypadkiem nad garścią czerwono-brunatnego proszku: głośnie kichnięcie przerwało milczenie.

— Oho! — rzekł — tabaka.

Potem wziął jedną świecę, ostrożnie ją zapalił, powrócił na dawne miejsce i wetknął ją w szyjkę flaszki od wódki. Niespokojny powiew nocy dał poprzez zbutwiałe okna i powiewał długim płomieniem, niby chorągwią. A z jednej i drugiej strony zamku dochodził poszum tysiąca i jednej sosny, niby wrzenie czarnego morza wokoło skał.

— Chciałbym przeczytać inwentarz — przerwał milczenie Craven, biorąc do ręki jeden z papierów leżących na stole. — Jest to inwentarz rzeczy, które tak sobie luźnie i niewiadomo dla czego leżały porozrzucane w zamku. Proszę wziąć pod uwagę, że dom ten po największej części był pozbawiony urządzenia i zaniedbany, ale nie ulega wątpliwości, że ktoś zamieszkiwał tu jeden czy dwa pokoje; to pokoje dość prymitywne i brudne — ktoś, kto nie był owym milczącym sługą. Spis rzeczy jest następujący. Po pierwsze: bardzo pokaźny zbiór drogich kamieni, przeważnie brylantów; wszystko luźne, bez jakiegokolwiek oprawy. Oczywiście niema w tem nic dziwnego, że ród Ogilwów posiadał rodzinne klejnoty. Ale klejnotów takich, jak te, używa się prawie zawsze do całkiem szczególnych ozdób. Tymczasem ma się wrażenie, jakoby Ogilwowie przechowywali te kamienie tak sobie luźno, w kieszeni, jak, dajmy na to, miedziaki.

Po drugie: stosy ; stosy bez końca rozsypanej tabaki, nie przechowywanej w żadnej tabakierze, ani w woreczku, ale leżącej całemi masami na kominku, w kredensie, fortepianie — jednym słowem wszędzie. Wydaje się, jakgdyby stary ten jegomość nie chciał sobie zadawać trudu zajrzenia do kieszeni albo odemknięcia wieka tabakiery.

Po trzecie: porozrzucane tu i ówdzie drobne garstki dziwnych, drobniutkich metalowych wyrobów — jedno w rodzaju stalowych sprężynek, inne znowu w kształcie mikroskopijnych kółeczek. Tak, jakgdyby ktoś tutaj wydrażał jakieś mechaniczne zabawki.

Po czwarte: świece woskowe, które trzeba wtykać w szyjki flaszek, ponieważ niema niczego, w czym możnaby je utwierdzić. Proszę teraz zauważyć, o ile dziwaczniejsza jest ta sprawa, aniżeliśmy przewidywali. Co się tyczy zasadniczej zagadki, byliśmy na nią przecie zgóry przygotowani. Widzieliśmy od pierwszego wejrzenia, że z ową śmiercią hrabiego nie wszystko było w porządku. Przybyliśmy tutaj, aby stwierdzić, czy rzeczywiście mieszkał tutaj, czy istotnie tu umarł, czy to rude straszidło, które go pogrzebało, ma coś wspólnego z jego śmiercią. Ale przyjmijmy nawet najgorsze w tym wypadku, wyobraźmy sobie najbardziej ponurą tragedję, najmelodramatyczniejsze rozwiązanie, jakie sobie można wyobrazić. Przyjmijmy, że sługa zabił rzeczywiście swego pana, albo że pan jego istotnie nie umarł, —

albo przypuśćmy, że pan przebrał się za sługę, lub że sługa został w miejsce pana pogrzebany. Ale jeżeli nawet wymieniliśmy, nie wiem jaką sherlock-holmesowską tragedję, nie znajdziemy tem samem wytłumaczenia na świece bez świeczników, ani nie znajdziemy odpowiedzi na pytanie, dlaczego starszy pan z dobrej rodziny miał złą nawyczkę trwonienia tabaki i rozsypywania jej po fortepianach. Główny wątek tej historji nie trudno sobie wyobrazić. Mistyczne są tylko jej fragmenty. Żadna fantazja i żaden ludzki wysiłek nie potrafi skojarzyć tabaki z brylantami i wosku z rozsypałym mechanizmem zegarków.

— Zdaje mi się, że dostrzegam związek — rzekł ksiądz. — Ten Glengyle szalał z nienawiści do rewolucji francuskiej. Był on entuzjastą ancien regime'u i starał się dosłownie zreaktywować życie rodzinne ostatnich Burbonów. Miał tabakę — ponieważ był to zbytek osiemnastego wieku, świece woskowe — ponieważ używano ich w osiemnastym wieku w miejsce lamp; mechaniczne cząstki żelaza oznaczają dziwaczne zamięłowanie Ludwika Szesnastego do ślusarstwa, a brylanty symbolizują naszyjnik Marji Antoniny.

Towarzysze księdza spojrzeli nań zdumionemi oczyma.

— Co za nadzwyczajna koncepcja — zawołał Flambeau. — Czy myślisz istotnie, że tak było?

— Jestem święcie przekonany, że nie. — odparł Ojciec Brown. — Ale ponieważ twierdziś,

że nikt nie potrafi skojarzyć tabaki, brylantów, mechanizmu zegarowego i świec, dałem ci z miejsca przykład. Prawda istotna leży dużo głębiej — jestem tego całkiem pewny.

Przerwał na chwilę, aby posłuchać, jak wiatr wyje w okiennicach wieżyczek. Późem rzekł:

— Nieboszczyk hrabia Glengyle był złodziejem. Wiódł on drugie, tajemne życie, jako niebezpieczny włamywacz. Nie posiadał świeczników, ponieważ używał tylko krótko zaciętych świec w małej latarce, którą nosił z sobą. Tabaki używał do tych samych celów, do jakich najokrutniejsi francuscy przestępcy używali pieprzu, a mianowicie pełną garścią ciskał ją z nienacka w twarz tym, którzy go przyłapali, albo których ścigał. Ale ostateczny dowód leży w ciekawym zbiegu okoliczności, zachodzącym między djamentami, a drobnym mechanizmem zegarkowym. Ten szczegół niezawodnie wyjaśni wam zagadkę. Otóż diamenty i opilki stali stanowią jedyne przedmioty, któremi można wykroić szybę.

Gałąź złamanej sosny, smagana wichurą, uderzyła ciężko o szybę okna znajdującego się za ich plecami, jakby parodjując włamywacza.

Ale oni nawet się nie obejrzel. Oczy ich nieruchomo spoczywały na ustach księdza.

— Diamenty i małe kółeczka — powtórzył w zamyśleniu Craven. — Czy to już ma być prawdziwe wytłumaczenie?

— Mnie się wydaje, że nie. — odparł spokoj-

nie ksiądz — to tylko wyście twierdzili, iż nikt nie potrafi skojarzyć tych czterech rzeczy. Prawdziwa historia jest oczywiście dużo banalniejsza. Glengyle znalazł, albo myślał, że znalazł drogie kamienie w swojej posiadłości. Ktoś zakpił sobie z niego i dał mu te luźne diamenty, twierdząc, iż znalazł je w podziemiach zamku. Te drobne kółeczka mają coś wspólnego ze szlifowaniem diamentów. Musiał to robić bardzo prymitywnie i na niewielką skalę, posiłkując się paru owczarzami i okolicznymi pastuchami. Tabaka jest jedynym zbytkiem, na jaki sobie pozwalają szkoccy pastusze; jest to też jedyny środek do przekupienia ich. Świeczników zaś nie mieli, bo ich nie potrzebowali, — trzymali świece w rękach, kiedy przebywali w podziemiu.

— Czy to już koniec? — zapytał Flambeau po długiej pauzie. — Czy dotarliśmy nareszcie do tej banalnej prawdy? .

— O nie! — rzekł Ojciec Brown.

A kiedy wiatr w przeciągłem, szyderczem niemal wyciu utonął w dalekim lesie szpilkowym, Ojciec Brown z twarzą zupełnie obojętną mówił dalej:

— Ja tylko poddałem tę myśl tak sobie, ponieważ twierdziłeś, że nie można w sposób logiczny powiązać tabaki z mechanizmem zegarkowym i świec z świecącymi kamieniami. Wszelki świat można ująć w dziesięć fałszywych filozofji.

Sprawę zamku Glengyle'ów można ująć

w dziesięć fałszywych teoryj. My jednak chcemy mieć prawdziwe wytłumaczenie zamku i wszechświata. Ale czy niema tutaj innych jeszcze rupiec?

Craven uśmiechał się, a Flambeau śmiejąc się, także wstał i podszedł do drugiego końca stołu.

— Są jeszcze po piąte, szóste, siódme i t. d. — rzekł, — i to z pewnością bardziej różnorodne niż pouczające. Ciekawa kolekcja nie tyle ołówków, ile kawałków ołowiu wyjętych z ołówków. Dalej, jakaś bezsensowna laska bambusowa z rozszczepionym końcem. Mogłaby uchodzić za narzędzie zbrodni, cóż — kiedy zbrodni brak. Reszta rzeczy, to kilka starszych mszałów; małe obrazki katolickich świętych, które jak przypuszczam, rodzina przechowywała, chyba jeszcze z średnich wieków, — bowiem ich pycha rodowa była silniejsza, niż ich purytanizm. Owe obrazki złożyliśmy w muzeum, ponieważ były w ciekawy sposób pocięte i zniekształcone.

Tymczasem gwałtowna burza zagnała do Glengyle potargane płaty chmur, które pograżyły sale w ciemnościach. Ojciec Brown wziął do rąk iluminowane kartki modlitewników, aby je zbadać. Potem odezwał się, zanim jeszcze chmura przeszła ponad zamkiem, ale głos jego był głosem zupełnie innego człowieka.

— Mr. Craven — rzekł, jakby odmłodzony — pan ma, nieprawdaż, pełnomocnictwo zbadania grobu? Im prędzej to uczynimy, tem lepiej —

musimy nareszcie dotrzeć do jądra tej potwornej sprawy. Na miejscu pana udałbym się tam natychmiast.

— Natychmiast? — powtórzył zdziwiony detektyw. — Dlaczego natychmiast?

— Ponieważ sprawa jest aż nadto poważna — odpowiedział Brown — to nie jest tak sobie porzrucana tabaka, ani tak sobie luzem leżące kamienie, które dla tysiąca powodów mogłyby się tu znajdować. O ile mnie może być wiadome, istnieje tylko jeden powód, dla którego to właśnie się stało; a powód ten sięga głęboko, samych podstaw świata. Owe święte obrazki nie zostały ot tak sobie zbrukane, czy podarte, czy zamazane, od niechcenia, z bezmyślności, czy dla jakiejś tam bigoterji — przez dzieci, lub protestantów.

Postąpiono sobie z niemi bardzo ostrożnie — i bardzo osobiwie. Miejsca, w których wielkimi zdobnemj literamj imię Boga figuruje na tych starych obrazach, zostały starannie wycięte. Jeszcze jedno usunięto także: jest niem aureola dookoła głowy Dzieciątka Jezus. Dlatego — jak powiadam — bierzmy czempredzej nasze pełnomocnictwo, oraz łopatę i siekierę i udajmy się na grób, aby otworzyć trumnę.

— Co właściwie ksiądz dobrodziej przypuszcza? — zapytał londyński detektyw.

— Przypuszczam, że wielki djabeł wszechświata, niemniejszy od całej karawany słoni, siedzi może teraz na szczycie wieży zamku i wyje ni-

czem Apokalipsa — odpowiedział księżyna, a głos jego zdawał się wzmacniać w pośród wycia wichury. Gdzieś na dnie siedzi tutaj jakaś czarna magja.

— Czarna magja, — powtórzył Flambeau ciętym głosem, był bowiem człowiekiem nadto oświeconym, aby nie znać tych rzeczy. — Ale, co mogłyby znaczyć te wszystkie inne przedmioty?

— O! myślę, że coś niecnego — odrzekł niecierpliwie Brown. — Zresztą skąd ja to mogę wiedzieć? Jak można odgadnąć wszystkie arkania djabłów, na samem dnie piekła? Może z tabaki i bambusu dadzą się zrobić jakieś narzędzia tortury. Może warjaci żądni są wosku i stalowych opilek. Może z ołówków można wytworzyć jakieś śmiertelne trucizny? Dla nas najkrótsza droga do tej zagadki prowadzi poprzez wzgórze do grobu.

Towarzysze Browna nie zdali sobie nawet sprawy z tego, jak szybko go usłuchali i z miejsca podążyli za nim. Dopiero, kiedy wir wietrzny omal nie powalił ich na ziemię — oprzytomnieli. Niemniej słuchali go dalej, niby dwa automaty — i tak Craven spostrzegł nagle, że trzyma w ręku siekierę, a w kieszeni swój urzędowy dokument. Zasię Flambeau dźwigał ciężką łopatę zagadkowego ogrodnika. Ojciec Brown niósł małą pozłacaną książkę, z której wyrwano wszędzie imię Boga.

Ścieżka, która prowadziła w górę, poprzez wzgórze na cmentarz, była kręta, lecz nie długa. Ale opór wiatru sprawiał, że wydawała się długa

i mozolna. Daleko, jak okiem sięgnąć, dalej i coraz dalej, w miarę jak wspinali się po pochyłości, rozciągało się bezmierne morze sosen, uginających się pod naporem wichru, wszystkie w jedną stronę. A ten ogromny ruch wydawał się równie bezcelowy i daremny, jak był bezmierny — tak daremny, jakgdyby wicher gwizdał wokół jakiejś bezludnej, zbłąkanej planety. Poprzez niezmierzony gąszcz sinoniebieskich lasów śpiewał jaskrawym, wysokim dyszkantem odwieczny smutek, który gniewdzi się w sercach wszystkich pogańskich rzeczy. Gotówby ktoś przynęcić, że głosy z podziemia, z pod niezgłębionego listowia były to wołania zgubionych, tułacznych bogów pogańskich: bogów, którzy wybrali się na wędrówkę poprzez ten nieodzoreczny las i którzy nigdy już nie odnajdą drogi do nieba.

— Widzicie — rzekł Ojciec Brown głosem cichym, ale swobodnym — Szkoci, zanim jeszcze istniała Szkocja — była to ciekawa gromada. W rzeczy samej są nadal ciekawą gromadą. Ale zdaje mi się, że w czasach przedhistorycznych istotnie uwielbiali demonów. Oto — dodał żywszym tonem — dlaczego przerwali się na purytańską teologię.

— Drogi księżę — rzekł Flambeau, zwracając się do niego prawie ze złością. — Co ma znaczyć całe to kazanie?

— Mój przyjacielu — odparł Brown z niezmienioną powagą — istnieje jedna cecha wspólna

wszystkim pierwotnym religjom: materjalizm, Otóż umiłowanie djabła jest właśnie typową pierwotną religją.

Dotarli właśnie do trawiastego szczytu góry, do jednego z niewielu łysiejacvch miejsc, które odcinały się ostro od trzeszczącego i wyjącego sosnowego lasu. Jakieś nędzne oparkanie, częściowo z drzewa, a po części z drutu sklecone, oznajmiało łomotaniem na wicherze, że znajdują się na skraju cmentarzyska.

Ale zaledwie inspektor Craven dotarł do grobu, a Flambeau wbił łopatę w ziemię i wsparł się na niej, szarpnął nimi wstrząs nieomal tak silny, jak ten, który miotał drewnem i drutem ogrodzenia. U stóp grobu rosły duże wysokie osty, szare i siwe ze starości. Kiedy wiatr poderwał jeden taką kulisty oset i trzepnął nim inspektora, ten odskoczył, jakgdyby ugodzony strzałą.

Flambeau wbił łopatę poprzez świszczącą trawę w mokrą glinę. Ale nagle zatrzymał się i oparł o opatę, jakby o laskę.

— Nie przerywaj — rzekł łagodnie ksiądz. — Starajmy się tylko odnaleźć prawdę. Czego się boisz?

— Boję się odnaleźć — rzekł Flambeau.

Nagle odezwał się detektyw jaskrawym, skrzeczącym głosem, który miał być wesół i zabawiony.

— Ciekaw też jestem, dlaczego on się do

prawdy tak skrył na tem uboczu? Jakoś mi się to nie podoba — a może był trędowaty?

— Może jeszcze gorzej, — odparł Flambeau.

— Czy wyobraża pan sobie coś gorszego od trądu?

— Nie — rzekł Flambeau.

Przez parę niesamowitych chwil kopał dalej w milczeniu. Wreszcie rzekł przytłumionym głosem: — Myślę chyba, że ten człowiek miał jakiś zły kształt...

— Jak owa kartka papieru — pamiętasz? — rzekł spokojnie Ojciec Brown — „A jednak przeżyliśmy i tamto“.*)

Flambeau zabrał się ze zdwojoną energią do kopania. Tymczasem burza odegnała szare przytłaczające chmury, które przywarły do wzgórz, niby kłęby dymu, i odsłoniły na szarem niebie nagle światła gwiazd. Wtedy dopiero Flambeau dokończył prostą, drewnianą trumnę i wyważył ją niejako na murawę. Craven podszedł bliżej, trzymając w ręku siekierę. Znowu musnęła go w przelocie kula ostu — Craven wzdrygnął się. Ale zaraz otrząsnął się, postąpił parę zamaszystych kroków naprzód i jął za przykładem Flambeau'a sieć i ciąć siekierą z taką energią, że wkrótce udało im się oderwać wieko trumny i cała jej zawartość zamigotała w szarem świetle gwiazd.

*) Por. nowelę: „Zły kształt“ w tym samym tomie. (Przyp. tłum.).

— Kości — rzekł Craven. Potem dodał. — Ale kości mężczyzny — tak, jakgdyby nikt się tego nie był spodziewał.

— Czy on jest — zapytał Flambeau z dziwnem drżeniem w głosie, — czy on jest zupełnie w porządku?

— Tak mi się wydaje — odrzekł ochryplym głosem detektyw, pochylony nad tajemniczym i rozkładającym się trupem w skrzyni. — Zaraz — zaczekaj chwilę.

Z wyniosłej postaci Flambeau'a spadło nagle westchnienie ulgi.

— Teraz dopiero wpada mi na myśl — zawołał — dlaczegożby tam do licha nie miało być z nim wszystko w porządku? Cóżby się mogło czepić człowieka w tych przekłetych, ziemnych górach?

— Chyba tylko obłąd tej czarnej, bezdusznej jednostajności, tych okropnych borów i lasów, a ponad wszystkim pierwotny strach nieświadomości. Wszystko przecież wygląda tu, jakby sen bezbożnika. Sosny i sosny — miliony sosen.

— Boże! — krzyknął nagle człowiek przy trumnie. — Ależ on nie ma głowy!

Podczas kiedy tamci dwaj znieruchomieli, ksiądz po raz pierwszy wstrząsnął się, zdradzając żywe zainteresowanie.

— Nie ma głowy! — powtórzył. — Nie ma głowy, — jak gdyby omal nie spodziewał się innych braków.

Szalone wizje bezgłowego niemowlęcia, urodzonego na zamku Glengyle, bezgłowego młodzieńca, ukrywającego się w zamku, bezgłowego mężczyzny stąpającego po starych salach, albo po przepysznym ogrodzie — przesunęły się niby panorama przed ich oczyma. Ale nawet w tej chwili, która ścinała krew w żyłach, obrazy te nie chciały jakoś przemówić im do przekonania i wydały się niedorzeczne. Stali, jak zmęczone zwierzęta, przysłuchując się bezmyślnie zgiełkowi lasów i poświstom nieba. Myśl zdała się nagle jakimś bezmiarem, który wymknął się z pod ich władzy.

— Ja widzę tu trzech bezgłowych — rzekł Ojciec Brown. — A ci stoją dookoła otwartego grobu.

Przeciągły gwizd wiatru rozpruł niebo. Błady detektyw z Londynu rozwarł usta, aby coś powiedzieć, — ale usta znieruchomiały, jak u głuptaka. Potem spojrzał na siękierę w ręce, jakgdyby ta siekiera wcale nie należała do niego i upuścił ją na ziemię.

— Ojcie — rzekł Flambeau dziecinny, bezradnym głosem, niezwykłym u tego olbrzyma. — Co mamy teraz począć?

Odpowiedź przyszła z szybkością armatniego pocisku.

— Spać! — zawołał Ojciec Brown. — Spać. Jesteśmy u końca naszej drogi. Czy wiesz, czym jest sen? Czy wiesz, że każdy człowiek, który

śpi — wierzy w Boga? Sen to jest sakrament, — jest bowiem aktem wiary i pożywieniem. A nam potrzeba teraz sakramentu, bodaj naturalnego. Coś nas nawiedziło, co bardzo rzadko nawiedza ludzi, — być może coś najgorszego, co może się wydarzyć.

Rozdziawione wargi Cravena zbliżyły się do siebie, aby zapytać: — W jakim sensie ksiądz to rozumie?

Ksiądz, zwróciwszy twarz ku zamkowi, odpowiedział.

— Znaleźliśmy prawdę. A prawda nie ma sensu.

Ruszył pochyłą ścieżką wdół ocieężałym, niedbałym, niezwykłym u niego krokiem; kiedy powrócił na zamek, rzucił się na posłanie z naturalną prostotą psa.

Mimo mistycznego hymnu na cześć snu, Ojciec Brown zerwał się wcześniej od innych — tylko milczący ogrodnik był już na nogach. Przyjaciele zastali Browna przy dużej fajce, obserwującego niemą robotę ogrodnika na folwarku.

Szalejąca burza zakończyła się z brzaskiem dnia ulewnym deszczem, dzięki któremu ranek stał dziwnie świeży. Ognik zdawał się nawet mówić coś z księdzem, ale na widok detektywów wbił z niechęcią łopatę w grządkę i bąknąwszy coś o śniadaniu, ruszył miedzą, grzędami kapusty i zamknął się w kuchni.

— To bardzo zacny człowiek — rzekł Ojciec

Brown. — Wspaniale kopie te kartofle. A jednak, — dodał łagodnie — ma on swoje wady — któż z nas ich nie posiada? — nie kopie tego rzędu dość regularnie. Ot — na przykład — tu ksiądz nastąpił nagle nogą na jedno miejsce. — Mam doświadczenie wątpliwości, co do tego ziemniaka.

— A to dlaczego? — zapytał Craven, rozba-
wiony nowym pomysłem księżulka.

— Dlatego mam wątpliwości — odparł tam-
ten — ponieważ stary Gow ma sam wątpliwości
co do tego. Systematycznie wbija swoją łopatę
wszędzie, za wyjątkiem tego miejsca. Musi tu
siedzieć potężna bulwa.

Flambeau wyciągnął łopatę z ziemi i z ogo-
rnym rozmachem wbił ją w owo miejsce, potem
przerzucił ziemię i wydobył z pod jej ciężaru coś,
co nie wyglądało jak ziemniak, ale raczej jak po-
tworny, kopulasty grzyb. Aliści zawadziło zi-
mnym brzękiem o łopatę, potem potoczyło się jak
kula i wyszczerzyło na nich zęby.

— Hrabia Glengyle — rzekł smutno Brown
i ociężałym wzrokiem spojrzał na czaszkę.

Poczem, po chwili namysłu, wyrwał z rąk
Flambeau'a łopatę i zakopał czaszkę w ziemię, mó-
wiąc: — Trzeba to zpowrotem schować.

Po tych słowach mały jego korpus i ogromna
głowa oparły się o dużą rękojeść łopaty, która
nieruchomo tkwiła w ziemi. Oczy jego stały się
jakby bez wyrazu, a czoło pełne zmarszczek.

— Gdyby można tylko było wpaść na to, co

oznacza ta ostatnia potworność—szepnął. A opierając się na szerokiej ręczce łopaty ukrył twarz w dłoni — jak to ludzie zwykli czynić przy modlitwie.

Niebo na wszystkich krańcach zajaśniało srebrem i błękitem. Ptaki zaświergotały w zaroślach, a świergot ich był tak donośny, jakgdyby gawędziły ze sobą krzaki i drzewa. Ale owi trzej długo zachowywali milczenie. Wkońcu wybuchnął Flambeau:

— Tu już kończy się mój rozum! Tu już wszystko ustaje: tabaka, zniszczony modłitewnik, drobne części jakichś mechanizmów — co?

Brown odrzucił wtył zafrasowaną twarz i z impetem całkiem u niego niezwykłym uderzył w ręczkę łopaty.

— No, no, no — zawołał. — Wszystko jest jasne jak słońce. Dziś rano, skoro się tylko obudziłem, zrozumiałem, jaki sens miała tabaka i mechanizm zegarków, a od tego czasu udało mi się przeniknąć jeszcze i starego Gow'a, ogrodnika, który nie jest ani taki głuchy, ani tak głupi, jak to udaje. Nic nadzwyczajnego niema w owych wszystkich pojedynczych punktach. Co się tyczy pociętego mszału — pomyliłem się również. Nie kryje się pod tem żadne zło. Ale chodzi o tę ostatnią sprawę. Bezczęścić głowy i kraść głowy trupów, — to już jest chyba złe naprawdę? W tem kryje się już z pewnością jakaś czarna magja? To już jakoś nie zgadza się z prostą historją tabaki

i świec! — To rzekłszy, jał krążyć dokoła, ćmiąc w zadumie fajkę.

— Drogi księżę — rzekł Flambeau w przyplynie humoru. — Winienesz być wyrozumiały dla mnie i pamiętać, że byłem niegdyś przestępcą. Dodatnia strona owego zawodu leżała w tem, że ja sam wymyślałem zawsze historję, a potem wykonywałem ją tak prędko, jak mi się żywnie podobало. Ale to zajęcie detektywa, połączone z wiecznem wyczekiwaniem — to już za dużo na mój francuski temperament. Całe moje życie robiłem wszystko — złe czy dobre — impulsywnie.

Pojedyunki odbywałem zawsze następnego dnia, rachunki płaciłem gotówką. — nigdy nie odkładałem wizyty u dentysty.

Fajka wypadła z ust Ojca Browna i w trzech odławkach rozleciała się po żwirem przysypanej ścieżce. Przystanął z wybaluszonymi oczyma — istny obraz kretyna. — Boże! co też ze mnie za osioł! — Potem dygocącym głosem zaczął się śmiać. — Dentysta! — powtórzył — Sześć godzin duchowej odchłani, a wszystko tylko dlatego, ponieważ nie myślałem o dentyście! Jaki prosty, jaki piękny i kojący pomysł! Przyjaciele! przebyliśmy piekielną noc, ale teraz słońce weszło, ptaszki śpiewają, a promienna postać dentysty koi świat!

— Może dowiem się sensu tego wszystkiego, skoro użyję tortur Inkwizycji — zawołał Flambeau robiąc krok naprzód.

Ojciec Brown stłumił to, co mogło się wydać

chwilową ochotą do tańca na świeżo słońcem oblanej łące i zawołał żałośnie jak dziecko: — Och, pozwólcie mi być trochę głupim! Wy nie wiecie, jak bardzo czułem się nieszczęśliwy. A teraz przynajmniej wiem, że w całej tej historii nie było zbyt wielkiej zbrodni. Może tylko trochę szaleństwa — ale któż miałby coś przeciw temu?!

Przeszedł się raz dookoła, a potem zmierzył ich poważnym wzrokiem: — To nie jest historia zbrodni — rzekł — jest to raczej historia dziwnej, wykoszlawionej uczciwości. Mamy tu do czynienia z jedynym może na kuli ziemskiej człowiekiem, który przywłaszczył sobie niewiecej niż mu się należało. Jest to studjum owej dzikiej żywej logiki, która stała się religją tej rasy. Oto ten stary okoliczny rym o domu Glengyle:

— Czem są dla drzewa soki zielone,
Tem dla Ogilwów złoto czerwone.

Miał on znaczenie równie dosłowne, jak prze-nośne. Nie znaczyło to jedynie, że Glengyle'owie pożąдали potęgi — prawdą bowiem było, że dosłownie zbierali złoto. Posiadali w tym metalu ogromny zbiór ozdób, i najróżniejszych klejnotów. Byli to poprostu skąpcy, których manja objawiała się w takiej formie. W tem oświeceniu wypadków dostrzegamy ślad, który biegnie poprzez wszystkie prawie znalezione przez nas przedmioty. Brylanty bez złotej oprawy, — świece — bez złotych świeczników, tabaka — bez złotych tabakierek, ołówki — bez złotych okuć, laska — bez zło-

tej gałki, mechanizm zegarkowy — bez złotych kopert, a raczej bez zegarka. Wreszcie zabrano też — i to już graniczy z szaleństwem — aureolę i imię Boga ze starych mszałów, co było także ze szczerego złota.

Zdawało się, że teraz, kiedy zwarjowana prawda wyszła na jaw, ogród zajaśniał jaskrawemi barwami, a trawa kwitła weselej w ożywczem słońcu. Flambeau zapalił papierosa, a jego przyjaciół ciągnął dalej:

— Zabrano — ale nie ukradziono. Złodzieje nie zostawiliby nigdy po sobie takiej zagadki. Złodzieje byliby zabrali złote tabakiery wraz z tabaką, złotą oprawę ołówków wraz z samym ołówkiem i t. d. — Mamy tedy do czynienia z człowiekiem o dziwnem sumieniu, ale nie pozbawionym sumienia. Zastałem dziś rano tego dziwaka na folwarku i dowiedziałem się od niego całej historii.

Nieboszczyk Archibald Ogilvy należał do możliwie najlepszych ludzi urodzonych w Glengyle — ale ta jego gorzka zaleta uczyniła go mizantropem. Żył nad nieuczciwością swoich przodków, z której wnioskował o nieuczciwości całego świata. Z drugiej strony nie dowierzał filantropji i dobroczyńcom. Poprzysiągł sobie, że jeżeli znajdzie człowieka, który najściślej będzie przestrzegał swoich praw, ofiaruje mu całe złoto Glengyle'ów. Rzuciwszy to wyzwanie całej ludzkości, zamknął się w swoim ustroniu, nie spodziewając się zni-

kąd odpowiedzi. Ale pewnego dnia jakiś głuchy i na pozór głupkowaty chłopak z odległej wsi przyniósł mu spóźnioną depeszę. Glengyle z ironicznym humorem ofiarował mu nowiutkiego grosza. Przynajmniej tak mu się wydawało. Ale kiedy sięgnął potem do kieszeni, spostrzegł, że nowiutki grosz pozostał nadal w jego posiadaniu, brakowało w niej natomiast jednego dukata. Ten wypadek nasunął mu perspektywy szyderczej spekulacji. Na wszelki wypadek chłopak musiał okazać brudną zachłanność chłopców tego rodzaju. Albo, jak zwyczajny opryszek, znikł, ukradłszy dukata, albo też wrócił cnotliwie z dukatami i perfidnie będzie czyhał na wynagrodzenie. Po nocy ktoś zapukał do drzwi. Lord Glengyle, który mieszkał samotnie, musiał wstać z łóżka i otworzyć drzwi. Stał w nich ów głupkowaty chłopak, który przyniósł lordowi — nie całego dukata — ale najdokładniejszą resztę. Wtedy dzika ścisłość owego postępków opanowała chory mózg lorda, niby płomień. Przysiągł, że jest Diogenesem, który oddawna szukał uczciwego człowieka — aż go w końcu znalazł. Sporządził tedy nowy testament, który widziałem na własne oczy. Przyjął sumiennego chłopaka do swego ogromnego, zaniedbanego domu i wychował go sobie na swojego jedyne go sługę i — na swój dziwaczny sposób — na swojego spadkobiercę. I chociaż owa osobliwa kreatura rozumiała niewiele, to pewna, że bez zastrzeżeń rozumiała dwa manjactwa swego pana: pierwsze, że

litera prawa jest alfą i omegą wszystkiego i drugie, że on jeden miał otrzymać całe złoto Glengyle'u.

Na tem kończy się historia. Jest to całkiem proste. Cały dom obłupał ze złota, ale nie naruszył nic, co nie było złotem — ani nawet żdźbła tabaki. Wydobył nawet opylki złota z jakiegoś starego obrazu i był zadowolony, że go nie zniszczył. Wszystko to wydało mi się zrozumiałe, ale nie mogłem pojąć całej tej sprawy z czaszką. Czułem się nawet nieswojo na widok ludzkiej głowy w pośrodku ziemniaków. To mnie przygnębiało tak długo, aż Flambeau nie wyrzekł słowa. Teraz wszystko będzie w porządku. Izrael Gow złoży czaszkę zpowrotem do grobu, kiedy wydobędzie już całe złoto z zębów.

I zaprawdę, kiedy Flambeau przechodził owe go ranka przez wzgórze, widział, jak to dziwne stworzenie, ów sprawiedliwy skąpiec, grzebał przy sprofanowanym grobie: szal, owinęty dokoła jego szyi, powiewał na górskim wietrze — na głowie sterczał cylinder.

ZŁY KSZTAŁT

Niektóre wielkie gościńce, wiodące z Londynu na północ, przeobrażają się w dalekich okolicach coś, jakgdyby widmo spektralne drogi, połamane i poprzerywane, wykazujące wyrwy i luki w swej budowie, nie zmieniające jednak kierunku. Tutaj ukaże się rząd sklepików, po nich przyjdzie ogrodzenie pola, czy łąki, tam dalej jakiś sławna karczma, potem może plac targowy, czy ogród szkółki, potem jakiś duży dom prywatny, a potem znowu pole i znowu oberża, i tak bez końca. Gdyby ktoś szedł jednym z owych gościńców, jeden dom przyciągnąłby po drodze przypuszczalnie jego uwagę, choć przechodzić nie potrafiłby go, nie mógłby wytłumaczyć sobie przyczyny swego zainteresowania.

Jest to długi, niski dom, biegnący równolegle do drogi, pomalowany w większej części na biało i bladozielono, z werandą i żaluzjami, z furtkami nakrytymi owym dziwacznym rodzajem daszków, niby drewnianych parasoli, jakie widuje się po

niektórych staroświeckich domach. Jest to też w istocie staroświecki dom, bardzo angielski i bardzo przedmiejski w owym dobrym, starym, dostatnim stylu. A jednak dom wyglądał, jakgdyby zbudowano go wyłącznie na mieszkanie w upalny czas. Widok białych ścian i chroniących przed słońcem żaluzyj, kojarzył się doskonale z krzykami małp i palmowemi drzewami. Trudno mi wytłumaczyć rzeczowo to zjawisko — może jakiś Angloindyjczyk wystawił ten dom?

Ktokolwiek mijał ten dom, tego, jak już wspomniałem, chwytало nieokreślone, fascynujące wrażenie; doznawał uczucia, jakoby owo miejsce miało swoją historję, godną opowieści. I nie byłby też w błędzie, jak się czytelnik wkrótce o tem przekona. Oto jest bowiem owa historia — historia dziwnych rzeczy, które prawdziwie wydarzyły się w tym domu, w Zielone Świątki, roku 18—:

Ktokolwiek mijał dom w ostatni czwartek przed Zielonemi Świątkami, około godziny wpół do piątej po południu, mógł być zobaczyć, jak przez otwarte frontowe odrzwia wychodził Ojciec Brown, ksiądz z małego kościołka w St. Mun-go, z olbrzymią fajką w ustach, w towarzystwie swego bardzo wysokiego francuskiego przyjaciela, nazwiskiem Flambeau, który palił bardzo małego papierosa. Osoby te mogą czytelnika interesować, albo nie — ale prawdą jest, że nie one były jedy-ną zajmującą rzeczą, jaką można było zauważyć, skoro się rozwarła brama białego i zielonego do-

mu. W domu tym znajdują się inne osobliwości, które należy opisać, zanim się ruszy z miejsca, nie tylko poto, aby czytelnik mógł zrozumieć tę tragiczną opowieść, ale także, aby mógł wyobrazić sobie, co też ukazało się za rozwarciem bramy.

Cały dom był wybudowany na kształt litery T o bardzo długiej linii poprzecznej, a bardzo krótkiej kresce pionowej. Długa poprzeczka stanowiła ścianę frontową, która biegła wzdłuż ulicy, z odrzwiami frontowymi w pośrodku. Wysoka była na dwa piętra i mieściła w sobie wszystkie bezmała najważniejsze pokoje. Krótka pałka pionowa, która biegła wtył bezpośrednio wprost od głównego wejścia, była jednopiętrowa i składała się jedynie z dwóch długich pokoiów, położonych jeden za drugim. Pierwszy z owych dwóch pokoiów była to pracownia, w której sławny pan Quin-ton pisał swoje dzikie orientalne poematy i powieści. Następny pokój była to oszklona cieplarnia, pełna tropikalnego kwiecia o całkiem wyjątkowej i nieomal potwornej piękności. W takie popołudnie, jak to, o którym teraz mowa, pokój cały gorzał w przepychu słonecznego blasku. Tak też dy, kiedy drzwi z hallu były otwarte, niejeden przechodzień przystawał, dosłownie, aby gapić się i wstrzymywać dech, albowiem przed nim rozwierała się perspektywa wspaniałych pokoiów, aż po widok, który był zaprawdę, niby transformacja z teatralnej bajki: purpurowe chmury, złote słońca i karmazynowe gwiazdy, które były jednocze-

śnie żywe, jak płomień, a jednak przezroczyste i odległe.

Leonard Quinton, poeta, sam najtroskliwiej ułożył ten efekt i jest rzeczą wątpliwą, czy w którymkolwiek swoim poemacie równie doskonale wyraził swoją indywidualność. Był to bowiem człowiek, który upijał się barwami i kąpał się w kolorach, który pobłażał swojej pasji dla barwy, nieco nawet kosztem formy — i to dobrej formy. To była przyczyna, która kierowała jego talent tak całkowicie ku sztuce Wschodu i orientalnym obrazom, ku owym olśniewającym dywanom i oślepiającym tkaninom, w których wszystkie kolory zdają się spływać w jeden szczęśliwy chaos, nie bynajmniej nie symbolizując i nie oznaczając. Próbował układać, może nie z pełnym artystycznym sukcesem, ale z zasługującą na uznanie wyobraźnią i intuicją, poematy epickie i miłosne historie, w których walczyły gwałtownie, a nawet okrutne kolory, baśnie o tropikalnych niebach, płonącym złocie i krwawoczerwonej miedzi, o wschodnich bohaterach, którzy w mitrach z dwunastu turbanów jechali na słoniach, malowanych purpurą i pawią zielenią, o gigantycznych klejnotach, których stu murzynów nie mogło unieść, które płonęły wieczystym i przedziwnym barwy ogniem.

Krótko mówiąc (aby ująć sedno sprawy z bardziej potocznego punktu widzenia), lubował się bardzo we wschodnim niebie, gorszym, niż wiele zachodnich piekieł, we wschodnich monarchach,

którym możnaby snadnie dać epitet manjaków, oraz wschodnich klejnotach, których jubiler z Bond Street (gdyby mu je stu uginających się murzynów przyniosło do sklepu) nie uznałby może za prawdziwe. Quinton był genjuszem — był może genjuszem chorobliwości, ale nawet owa chorobliwość silniej ujawniała się w jego życiu, niż w jego dziełach. Z usposobienia był słaby i zgryźliwy, a zdrowie jego było mocno podkopane na skutek wschodniego eksperymentowania z opium. Żona jego — piękna, ciężko pracująca i zaprawdę przepracowana kobieta — toczyła z nim walkę o opium, ale jeszcze większą walkę toczyła o żywego hinduskiego pustelnika w białych i żółtych szatach, którego mąż jej z uporem trzymał przy sobie przez długie miesiące i który był dlań Wirgiljuszem, wiodącym jego ducha przez nieba i piekła Wschodu.

Z tego oto artystycznego gospodarstwa wychodził Ojciec Brown wraz ze swoim przyjacielem, a wnosząc z ich twarzy, wychodzili z uczuciem wielkiej ulgi. Flambeau znał Quintona za dzieckich studenckich czasów w Paryżu, odnowili znajomość na jeden *week-end*. Aliści, szczególnie w związku z silniejszym w ostatnich czasach rozwojem poczucia odpowiedzialności u Flambeau'a, teraz jakoś nie znajdował upodobania w poecie. Upajanie się opium i pisywanie drobnych erotyków na welinie, to, według jego mniemania, nie był godny dżentelmena sposób folgowania djabłu.

Kiedy obaj przyjaciele, przed skręceniem do ogrodu, przystanęli u proga, nagle otworzyła się gwałtownie furtka ogrodowa i młody człowiek w słomkowym kapeluszu zsuniętym na tył głowy, wbiegł w ferworze pędem na schody. Wyglądał na roztrzępanego młodzieńca, pyszny czerwony krawat miał całkiem nabok przesunięty, jakgdyby się z nim był przespał, a w ręce ustawicznie wymachiwał i wywijał małą sękatą trzcinką.

— Panowie — rzekł bez tchu. — Chciałbym się widzieć z tym byczym Quintonem. Muszę go zobaczyć. Jest w domu?

— Pan Quinton jest, zdaje mi się, w domu — rzekł Ojciec Brown, przetykając swoją fajeczkę. — Ale nie wiem, czy pan będzie mógł go zobaczyć. Lekarz jest właśnie u niego.

Młody człowiek, który nie wydawał się zupełnie trzeźwy, wpadł, potykając się, do hallu, w tej samej chwili lekarz wyszedł z pracowni Quintona, zamknął za sobą drzwi i zaczął wkładać rękawiczki.

— Do pana Quintona? — rzekł lekarz chłodno. — Nie, boję się, że pan go nie zobaczy. W istocie, teraz bezwarunkowo nie można. Nikomu nie wolno wejść. Dałem mu właśnie środek nasenny.

— Ależ nie, posłuchajżeż pan, stary przyjacielu — rzekł młodzieniec z czerwonym krawatem, usiłując czule schwytać doktora za poły surduta. — Widzi pan — ja jestem poprostu bez wyjścia, powiadam panu, ja — —

— Trudna rada, panie Atkinson — rzekł doktor, zmuszając go do wycofania się. — Skoro po-
trafi pan zmienić działanie lekarstwa, wtedy ja
zmienię moją decyzję. — to powiedziawszy, nało-
żył kapelusz i wyszedł na słońce w towarzystwie
tamtych dwóch. Był to niski człowiek o byczym
karku, dobroduszny, z małym wąsikiem, niewypo-
wiedzianie pospolitym, który jednak nadawał mu
wyraz rzutkości.

Młody człowiek, który nie zdawał się być ob-
darzony szczególnym taktem w odnoszeniu się do
ludzi i znał tylko jeden generalny środek — chwy-
tanie ich za poły surduta — stanął na drodze z tak
osłupiałą miną, jakgdyby został fizycznie wyrzu-
cony za drzwi i patrzył w milczeniu, jak tamci
trzej oddalali się przez ogród.

— Popełniłem teraz gruntowne, niezawodne
kłamstwo — zauważył lekarz, śmiejąc się. — Aby
rzec prawdę, ten biedak Quinton dostanie swój
środek nasenny dopiero za jakie pół godziny. Ale
nie mam zamiaru dać go zamećzać tej małej be-
stji, która chce tylko pożyczyć pieniądze, aby ich
nigdy, o ile tylko będzie mogła, nie oddać. Jest to
nędzna mała kreatura, jakkolwiek jest rodzonym
bratem pani Quinton, która jest najlepszą kobietą,
jaką kiedykolwiek spotkałem.

— Tak — rzekł Ojciec Brown. — To jest do-
bra kobieta.

— Proponuję tedy, abyśmy się pokrećili po
ogrodzie, aż się ten nędznik stąd nie zabierze —

ciągnął dalej doktor. — Potem wejdę do Quintona i dam mu lekarstwo. Atkinson nie będzie mógł tam wejść, ponieważ zamknąłem drzwi na klucz.

— W takim razie, doktorze Harris — rzekł Flambeau — pójdziemy może w głąb ogrodu, do końca cieplarni? Niema tam wprawdzie do niej wejścia, ale warto ją obejrzeć, przynajmniej od zewnątrz.

— Doskonale — zaśmiał się doktor. — A ja będę mógł zerknąć do mego pacjenta, ponieważ wyleguje się najchętniej na kanapie na samym końcu cieplarni, w pośrodku tych wszystkich krwawoczerwonych storczyków — to mi pozwoli go podglądać. Ale co pan tu robi?

Ojciec Brown przystanął na chwilę i podniósł z wysokiej trawy dziwny, zakrzywiony orientalny nóż, wykładany przepysznie różnokolorowymi kamieniami i metalem; nóż leżał prawie całkowicie ukryty w trawie.

— Co to jest? — zapytał Ojciec Brown, patrząc na przedmiot z pewną nieufnością.

— O, to pewnie Quintona — rzekł niedbale dr. Harris. — U niego można znaleźć po wszystkich miejscach wszystkie rodzaje takiej zabawnej chińszczyzny. Być może, jest to też własność tego łagodnego Hindusa, którego on trzyma przy sobie na sznurku.

— Jakiego Hindusa? — spytał Ojciec Brown,

ciągle jeszcze nie spuszczać wzroku z przedmiotu w ręce.

— Jakiegoś indyjskiego czarodzieja — rzekł swobodnie doktor. — Oczywiście oszusta.

— Pan nie wierzy w magję? — spytał Ojciec Brown, nie podnosząc oczu.

— Ech, magja! humbug! — rzekł doktor.

— To jest bardzo piękne — rzekł ksiądz cichym, sennym głosem. — Kolory są bardzo piękne. Ale to jest zły kształt.

— Zły? Dlaczego? — zdumiał się Flambeau.

— Pod każdym względem. To jest zły kształt w abstrakcji. Czyś ty tego nigdy nie odczuwał w sztuce Wschodu? Kolory są odurzająco piękne, ale kształty są nędzne i nieczne — z rozmysłu nędzne i nieczne. Widziałem już zbrodnicze rzeczy w tureckim dywanie.

— *Mon Dieu!* — zaśmiał się Flambeau.

— Są to litery i symbole w języku, którego nie znam, ale wiem, że stoją tam w miejsce grzesznych słów — mówił dalej ksiądz, ścisząc głos coraz bardziej. — Z rozmysłu wykrzywają się linje, jak węże, skracające się do ucieczki.

— Co też pan do licha wygaduje! — roześmiał się głośno doktor.

W odpowiedzi odezwał się Flambeau z całym spokojem:

— Ojciec doznaje nieraz takich mistycznych zaćmień, ale przestrzegam pana, że, o ile mnie wia-

domo, miewał je zawsze wtedy, kiedy jakieś zło czychało niedaleko.

— Ech gadanie! — rzekł naukowiec.

— Spójrz pan tylko! — zawołał Ojciec Brown, oddalając od siebie zakrzywiony nóż na długość ramienia, jakgdyby to był jaki połyskujący wąż. — Czy pan tego nie widzi, że to jest niegodziwy kształt? Czy pan nie widzi, że on niema uczciwego i czystego przeznaczenia? Nie jest prosty, jak włócznia. Nie jest skrzywiony, jak sierp. Nie wygląda, jak broń. Wygląda, jak narzędzie tortury.

— No dobrze,, jeżeli się księdzu nie podoba, to może zwrócimy go lepiej jego właścicielowi — rzekł jowialny Harris. — Czyśmy jeszcze nie doszli do końca tej przekłętej cieplarni? Ten dom ma niegodziwy kształt, nie uważa pan?

— Pan mnie nie rozumie — rzekł Ojciec Brown, potrząsając głową. — Kształt tego domu jest dziwaczny — jest nawet śmieszny. Ale niema w nim nic niegodziwego.

Rozmawiając tak, obeszli łuk szklanej ściany, która zamykała cieplarnię. Nic nie przerywało owej krzywizny, ponieważ nie było na niej drzwi, ani okien, któremi można byłoby wejść od tej strony. Ale szkło było czyste i słońce świeciło jeszcze jasno, chociaż chyliło się ku zachodowi. Mogli tedy widzieć nie tylko gorejące kwiaty, ale także i wątłą postać poety, który, w brązowym aksamitnym tużurku, leżał osłabiony na kanapie, zdejście się nawpół drzemać nad książką. Był to blady,

delikatny mężczyzna, o długich, kasztanowatych włosach i rozwianej brodzie, która była paradoksem jego twarzy, albowiem broda nadawała mu wygląd mniej męski. Rysy te były wszystkim trzem dobrze znane, ale gdyby tak nawet nie było, jest wątpliwe, czy byliby właśnie w tej chwili spojrzeli na Quintona. Inna rzecz przykuła ich wzrok.

Na tejże samej ścieżce, bezpośrednio na wprost szklanego łuku cieplarni, stał wysoki człowiek, którego szaty spływały do nóg w niepokalanej bieli i którego obnażona głowa, twarz i szyja świeciły w zachodzącym słońcu cudownym brązem. Patrzył poprzez szybę na śpiącego i był bardziej nieruchomy, aniżeli góra.

— Kto to jest? — zawołał Ojciec Brown, czyniąc krok wstecz i prawie z sykiem wchłaniając dech.

— O, to jest tylko ten hinduski szarlatan — mruknął Harris. — Nie mam pojęcia, co też on, u diabła, tutaj robi?

— To wygląda na hipnotyzm — rzekł Flambeau, gryząc swój czarny wąsik.

— Że też wy laicy zawsze pleciecie głupstwa o hipnotyzmie! — zawołał doktor. — To mi znacznie bardziej patrzy na jakieś niegodziwe zamiary.

— Dobrze, pomówimy o tem w każdym razie — rzekł Flambeau, który był zawsze za akcją. Parę długich kroków wystarczyło mu, aby stanąć

obok Hindusa. Kłaniając się z swojej ogromnej wysokości, która przewyższała nawet wzrost tamtego, odezwał się z beczelnym spokojem:

— Dobry wieczór szanownemu panu. Czy pan sobie czegoś życzy?

Całkiem wolno, tak, jak duży okręt, który skręca do portu, odwróciła się duża żółta twarz i spojrzała wreszcie z ponad białego ramienia. Ujrzeli ze zdumieniem, że jego żółte powieki były zupełnie opuszczone, jakby we śnie.

— Dziękuję panu — rzekło oblicze najczystsza angielszczyzną. — Nie życzę sobie nic.

Potem, odemknawszy nawpół powieki, jakgdyby dla ukazania opalizującej gałki ocznej, powtórzył:

— Nie życzę sobie nic.

Potem otworzył szeroko oczy o odurzającym spojrzeniu i rzekł:

— Nie życzę sobie nic — i oddalił się, niknąc w ściemniającym się szybko ogrodzie.

— Chrześcijanin jest znacznie skromniejszy — mruknął Ojciec Brown. — Chrześcijanin zawsze sobie czegoś życzy.

— Co on, na miły Bóg, tutaj robił? — spytał Flambeau, marszcząc czarne brwi i zniżając głos.

— Chciałbym z tobą o tem później pomówić — rzekł Ojciec Brown.

Słońce było jeszcze żywe, ale było już tylko czerwonym blaskiem wieczoru, a zwarta masa ogrodowych drzew i gąszczy coraz bardziej czer-

niała na jego tle. Obeszli koniec cieplarni i w milczeniu wracali drugą stroną, aby dotrzeć do drzwi wchodowych. Kiedy już uszli kawałek, zdawało się, że spłoszyli coś w głębokiej wnęce pomiędzy pracownią, a głównym budynkiem — tak, jak się płoszy ptaka, i znowu ujrzeli fakira w białych szatach, jak wychybnął z cienia i prześlizgnął się za węgiel, w stronę bramy. Ku ich zdziwieniu, nie był jednak sam. Ochłonęli natychmiast i wyzbyli się niepokojącego uczucia na widok pani Quinton, jej ciężkich, złotych włosów i kwadratowej bladej twarzy, która wynurzyła się naprzeciw nich z półmroku. Pani Quinton patrzyła trochę surowo, była jednak bardzo uprzejma.

— Dobry wieczór, doktorze Harris — tyle rzekła tylko.

— Dobry wieczór pani — rzekł serdecznie mały doktor. — Idę właśnie do pani małżonka, aby mu dać nasenny środek.

— To dobrze — powiedziała czystym głosem. — Zdaje mi się, że jest właśnie pora. — Uśmiechnęła się do nich i oddaliła się spokojnie ku domowi.

— Ta kobieta jest przepracowana — rzekł Ojciec Brown. — Takie kobiety przez dwadzieścia lat spełniają swoje obowiązki, a potem popełniają coś strasznego.

Po raz pierwszy mały doktor spojrział na księdza z wyrazem zainteresowania.

— Czy pan studjował kiedy medycynę? — zapytał.

— Wy, lekarze, musicie wiedzieć coś niecoś o duszy, zarówno, jak i o ciele — odpowiedział ksiądz. — My musimy wiedzieć cośkolwiek o ciele, zarówno, jak i o duszy.

— No tak — rzekł doktor. — Myślę, że czas już dać Quintonowi lekarstwo.

Obeszli róg frontowej fasady i zbliżali się do drzwi wejściowych. Kiedy skręcili w nie, ujrzeni człowieka w białych szatach po raz trzeci. Zmierzał tak prosto ku drzwiom, że wydawało się prawie niemożliwe, iżby nie wychodził z gabinetu Quintona, położonego tuż naprzeciw drzwi. Wiedzieli jednak, że drzwi do pracowni były na klucz zamknięte.

Ojciec Brown i Flambeau zachowali jednakowoż spostrzeżenie owej osobliwej sprzeczności dla siebie, a dr. Harris nie należał do ludzi, którzy tracą czas na przemyśliwanie niemożliwości. Przepuścił wszechobecnego Azjatę ku wyjściu, potem wszedł żwawym krokiem do hallu. Tu zastał osobnika, o którym był już zupełnie zapominał. Próżniaczy Atkinson ciągle jeszcze kręcił się po domu, postukując i pukając swoją sękatą laseczką. Twarz doktora przeszedł wstrząs odrazy i nagłego postanowienia. Szepnął gwałtownie do swoich towarzyszy:

— Muszę zamknąć za sobą drzwi, inaczej ten

szczur wślizgnie się do pokoju. Ale wracam za dwie minuty.

Szybko odemknął drzwi i zamknął je zpowrotem za sobą, udaremniając tem samem chybiony atak młodego człowieka w słomkowym kapelusiku. Młodzieniec rzucił się zniecierpliwionym ruchem na krzesło w hallu. Flambeau przypatrywał się jakiemuś perskiemu deseniowi na ścianie. Ojciec Brown, który zdawał się popaść w jakiś rodzaj transu, utkwiał martwy wzrok w drzwiach. Po upływie jakich czterech minut drzwi otwarły się znowu. Tym razem Atkinson był zwinniejszy. Skoczył naprzód i przytrzymując przez chwilę uchylone drzwi, zawołał:

— Słuchaj, Quinton, chciałbym —

Z drugiego końca pracowni doszedł jasny głos Quintona, coś między ziewnięciem a postękiwaniem zmęczonego człowieka.

— O, ja wiem, czego ty chcesz. Weź to i zostaw mnie w spokoju. Piszę pieśń o pawiach.

Zanim drzwi się zamknęły, wyleciał przez nie półsuweren — Atkinson skoczył wprzód i złapał go z niezwykłą zręcznością.

— No, sprawa załatwiona — rzekł doktor, a zatrzasnąwszy z pasją drzwi, skierował kroki do ogrodu.

— Biedny Leonard będzie miał teraz nareszcie trochę spokoju — dodał, zwracając się do Ojca Browna — Przeleży się w zamkniętym pokoju godzinę, lub dwie w samotności.

— Tak — odrzekł ksiądz. — Jego głos brzmiał wcale pogodnie, kiedyśmy stamtąd wychodzili. Potem rozejrzał się uważnie po ogrodzie i dostrzegł niedbałą postać Atkinsona, który stał i pobrzękiwał półsuwerenem w kieszeni, dalej zaś w purpurowym półmroku, postać Hindusa, który siedział wyprostowany na skraju trawnika, z twarzą zwróconą ku zachodzącemu słońcu. Potem rzekł nagle:

— Gdzie jest pani Quinton?

— Jest w swoim pokoju — rzekł doktor. — Oto jej cień na żaluzji.

Ojciec Brown spojrzał w górę i z czołem zmarszczonem przypatrywał się ciemnym konturom na tle gazem oświetlonego okna.

— Tak jest — rzekł. — To jest cień. — To powiedziawszy, odszedł o parę kroków i opadł na ławkę ogrodową.

Flambeau usiadł przy nim, ale doktor należał do owych energicznych ludzi, którzy spędzają życie na nogach. Zapaliwszy cygaro, oddalił się i zniknął w mroku. Obaj przyjaciele pozostali sami.

— Ojcie — rzekł po francusku Flambeau. — Co się z tobą dzieje?

Ojciec Brown był przez chwilę milczący i nie ruchomy, potem rzekł:

— Zabobon jest rzeczą niereligijną, ale coś tu jest takiego w atmosferze tego miejsca. Zdaje mi się, że to ten Hindus — przynajmniej po części.

Znowu pograżył się w milczeniu i wpatrywał się zdaleka w kontury Hindusa, który ciągle jeszcze siedział sztywnie i jakgdyby w modlitwie. Na pierwsze wejrzenie wydawał się nieruchomy, ale w miarę, jak mu się Ojciec Brown przypatrywał, dostrzegł, że człowiek ten kołysze się zlekka, podobnie rytmicznemi poruszeniami, jak ciemne wierzchołki drzew kołysały się nieznacznie na lekkim wietrze, który prześlizgiwał się ciemnemi ścieżkami ogrodu i zlekka zmiatał opadłe liście.

Widnokrąg roztapiał się szybko w ciemnościach, jakgdyby przed burzą, ale wszystkie postacie na swoich różnych miejscach były jeszcze widoczne. Atkinson oparł się w niedbalej pozie o drzewo, żona Quintona ciągle jeszcze stała przy oknie, doktor oddalił się w kierunku końca cieplarni, tylko cygaro jego migotało, niby błędny ognik, a fakir ciągle jeszcze siedział sztywny, kiwając się nieznacznie, podczas kiedy drzewa nad jego głową zaczęły się kołysać i wyć coraz głośniej. Niewątpliwie nadciągała burza.

— Kiedy ten Hindus przemówił do nas, — rzekł Brown poufnie, zniżając głos, — doznałem jakgdyby jakiejś wizji — wizji o nim i o całym jego świecie. Chociaż powiedział tylko jedną i tę samą rzecz trzy razy. Kiedy po raz pierwszy powiedział: — Nie życzę sobie nic — myślał tylko, że jest nieprzenikniony, że Azja nie wydaje swoich tajemnic. Potem rzekł znowu: — Nie życzę sobie nic. — Zrozumiałem, co przez to powiedział —

że wystarcza sobie sam, tak, jak wszechświat, że nie potrzebuje żadnego Boga, ani nie dopuszcza istnienia żadnego grzechu. A kiedy po raz trzeci powiedział:—Nie życzę sobie nic —, powiedział to z płonącemi oczyma. Pojąłem, że owo Nic rozumiał dosłownie — że owo Nic jest jego życzeniem i jego domem, że jest pijany nicością, jak winem, że owa nihilizacja, owo absolutne unicestwienie jest synonimem wszystkiego.

Spadły dwie krople deszczu. Flambeau zerwał się z jakiegoś powodu i spojrzał w górę, jakby go te krople ukuły. W tej samej chwili ujrzeni, że doktor biegnie ku nim od strony cieplarni, wykrzykując coś głośno w biegu.

W chwili, kiedy wpadł między nich jak bomba, wiecznie niespokojny Atkinson zrobił parę kroków w kierunku narożnika frontowej ściany. Doktor konwulsyjnym chwytem złapał go za kołnierza.

— Ty nędzniku! — zawołał. — Coś ty mu zrobił, ty psie?

Ksiądz zerwał się na nogi. Głos jego był stalowym głosem żołnierza, który wydaje komendę.

— Bez bijatyki! — krzyknął zimno. — Jest nas dosyć, aby przytrzymać każdego, kogo zechcemy. Doktorze, co się stało?

— Z Quintem jest coś nie w porządku — rzekł doktor, blady jak chusta. — Zobaczyłem właśnie przez szybę, leży w zupełnie niezrozumia-

lej pozycji. W każdym razie nie tak, jak go zostawiłem.

— Wejdźmy tam do niego. — rzekł krótko Ojciec Brown. — Może pan spokojnie zostawić Atkinsona samego. Miałem go przez cały czas na oku, od chwili, kiedy słyszeliśmy głos Quintona.

— Mogę zostać tutaj i pilnować go — powiedział Flambeau. — Wy idźcie i zobaczcie.

Doktór i ksiądz pobiegli do drzwi pracowni, odemknęli je i wpadli do pokoju. Wpadli nieomal na duży mahoniowy stół w pośrodku, przy którym poeta zwykł był pracować, albowiem pokój był oświetlony jedynie nikłym ogniem na kominku, palonym przez wzgląd na chorego. Na środku stołu leżała luźna kartka papieru, snąc z rozmysłu tam pozostawiona. Doktór chwycił ją, popatrzył i wręczył ją Ojcu Brownowi, i krzyknąwszy — Wielki Boże! Spójrz pan tylko! — zniknął w cieplarni, gdzie okrutne tropikalne kwiaty ciągle jeszcze zdawały się zachowywać karmazynową pamięć zachodzącego słońca.

Ojciec Brown trzykrotnie przeczytał słowa, zanim odłożył papier. Były to słowa: Umieram z własnej ręki, a jednak umieram zamordowany!

Słowa były napisane prawie nieczytelnem, nie dającym się naśladować pismem Leonarda Quintona.

Ojciec Brown, trzymając ciągle jeszcze papier w rękę, poszedł ku cieplarni. W połowie drogi spotkał swego przyjaciela lekarza, który wracał

z wyrazem smutnej pewności i przygnębienia na twarzy.

— On to zrobił — powiedział Harris.

Podeszli razem poprzez przepyszną, nienaturalną urodę kaktusów i azalii i znaleźli Leonarda Quintona, poetę i romansopisarza, z głową zwiśającą z otomany wdół, zamiatającego podłogę miedzianemi lokami. W lewym jego boku tkwił ów dziwny sztylet, który znaleźli w ogrodzie; wąż ręką zaciskała się jeszcze na rękojeści.

Na dworze nadciągała burza za jednym zamachem, niby noc u Coleridge'a. Strumienie deszczu pograżyły ogród i szklany dach w ciemnościach. Ojciec Brown zdawał się gruntowniej badać papier, niż zwłoki. Przybliżył go do oczu i zdawało się, że usiłuje czytać w mroku. Potem trzymał go naprzeciw nikłego światła, a wtedy, kiedy to czynił, błyskawica spojrzała przez chwilę na kartkę, tak biała, że papier wydał się czarny w jej świetle.

Nastąpiła ciemność, wypełniona trzaskiem grzmotu, a kiedy grzmot ustąpił, odezwał się z ciemności głos Ojca Browna:

— Doktorze, ten papier ma niegodziwy kształt.

— Co to ma znaczyć? — spytał z nasróżoną brwią doktor Harris.

— Nie jest prostokątny — odpowiedział Brown. — U jednego rogu jest odcięty skrawek. Co to może znaczyć?

— Skądżeż ja to mam, u diabła, wiedzieć? — mruknął doktor. — Czy mamy zabrać stąd tego biedaka — jak pan myśli? To już jest zimny trup.

— Nie — odpowiedział ksiądz — Musimy go tak zostawić, jak leży, i posłać po policję.

Ale ciągle jeszcze badał uważnie papier.

Kiedy wracali zpowrotem przez pracownię przystanął przy stole i podniósł zeń parę małych nożyczek do paznokci.

— Aha — rzekł z rodzajem ulgi. — A więc on to tem robił — ale przecież... I zmarszczył brwi.

— Och, przestańżeż już pan zawracać sobie głowę tym świstkiem papieru! — rzekł doktor dobitnie. — To była jego manja. Miał takich sto. Wszystkie swoje papiery ciał tak, jak ten — to mówiąc wskazał na stertę niezapisanych arkuszy, które leżały na drugim, mniejszym stole. Ojciec Brown zbliżył się tam i wziął jeden arkusz do ręki — miał ten sam nieregularny kształt.

— W istocie — rzekł. — A tutaj widzę rogi, które zostały odcięte. I ku oburzeniu swego towarzysza zaczął je liczyć.

— Tak, wszystko jest w porządku, — rzekł, usprawiedliwiając się uśmiechem. Dwadzieścia trzy obcięte arkusze i dwadzieścia dwa odcięte rogi. Ale wracajmy do tamtych — widzę, że pan się niecierpliwi.

— Kto zawiadomi o tem jego żonę? — spytał dr. Harris. — Może pan zechce teraz pójść do

niej i powiedzieć jej, a ja posłę tymczasem służącego po policję?

— Jak pan sobie życzy, — rzekł Ojciec Brown obojętnie. I wyszedł do hallu.

Tutaj zastał drugi dramat, chociaż bardziej groteskowego rodzaju. Nikt inny, jeno olbrzymi przyjaciel, Flambeau, znajdował się w pozycji, której od dawna nie był już praktykował, podczas gdy na ścieżce, u stóp schodów, leżał rozciągnięty, z nogami zadartymi w górę, wdzięczny Atkinson. Jego kapelusik i laseczka poleciały po ścieżce w odwrotnym kierunku. Młodzieniec, któremu znudziła się wreszcie ojcowska nieomal opieka Flambeau'a, próbował go nieco wzboksować, nie był to jednak bynajmniej miły sposób zabawy z Królem Apaszów — nawet po abdykacji tego monarchy.

Flambeau zamierzał właśnie skoczyć na swego nieprzyjaciela, aby go jeszcze bardziej unieszkodliwić, kiedy ksiądz poklepał go spokojnie po ramieniu.

— Skończ już z panem Atkinsonem, przyjacielu — rzekł. — Przepróście się nawzajem i powiedzcie sobie dobranoc. Niema potrzeby zatrzymywać go dłużej.

Potem, kiedy Atkinson podniósł się nieco chwiejnie i pozbierawszy kapelusz i laskę oddalił się ku ogrodowej furtce, Ojciec Brown spytał głosem bardziej poważnym:

— Gdzie jest ten Hindus?

Wszyscy trzej — albowiem przyłączył się był do nich doktor — odruchowo skierowali kroki ku ciemnemu trawnikowi, pomiędzy rozkołysane drzewa, gorejące purpurą w półmroku tam, gdzie ostatnio widzieli brązowego człowieka, kiwającego się w swoich dziwnych modłach. Hindus znikł.

— Do diabła z nim! — krzyknął doktor, tupiąc wściekle nogą. — Teraz wiem, że to ten murezyn zrobił!

— Zdawało mi się, że pan nie wierzy w czary — rzekł spokojnie Ojciec Brown.

— Niewiecej, jak przedtem! — mówił doktor, przewracając oczyma. — Wiem tylko, że nienawidziłem tego żółtego diabła, wtedy, kiedy przypuszczałem tylko, że to jest oszust i szarlatan. A teraz, kiedy pomyślę, że to jest naprawdę oszust, nienawidzę go jeszcze bardziej!

— Co tam, jego ucieczka, to jest nic — rzekł Flambeau. — Nie możemy mu przecie nic dowieść i nic przeciw niemu przedsięwziąć. Niewiadomo nawet, czy warto zwracać się do żandarmów z taką historją samobójstwa, zasugerowanego siłą czarodziejską, czy dokonanego przez autosugestję?

Tymczasem Ojciec Brown udał się do domu, aby zanieść smutną wiadomość żonie umarłego. Kiedy stamtąd wrócił, wyglądał trochę blade i tragicznie, ale jaki był przebieg ich rozmowy, o tem nikt się nigdy nie dowiedział, nawet wtedy, kiedy wszystko było już wiadome.

Flambeau, który spokojnie rozmawiał z doktorem, był zaskoczony tem, że przyjaciel jego tak szybko stanął znów przy jego boku, ale Brown udał, że tego nie zauważa i tylko odciągnął doktora na stronę.

— Pan posłał po policję, nieprawdaż — spytał.

— Tak jest — odpowiedział Harris. — Powinni w dziesięć minut tutaj być.

— Czy zechciałby mi pan wyrządzić pewną grzeczność? — rzekł spokojnie ksiądz. — Chodzi o to, że ja z zamiłowania kolekcjonuję tego rodzaju ciekawe historie, które zawierają często, podobnie jak w tym wypadku z naszym hinduskim przyjacielem, elementy, dające się z trudem ująć w raport policyjny. Otóż, czy nie zechciałby pan napisać raportu z tego całego wydarzenia, dla mojego prywatnego użytku? Zawód pański jest bardzo mądry, — mówił, patrząc lekarzowi poważnie i przeciągle w twarz. — Wydaje mi się jakoś, jakgdyby panu były wiadome pewne szczegóły tej sprawy, których pan nie uważa za stosowne wyjawić. Mój zawód, podobnie iak pański, ma charakter poufny. Cokolwiek pan napisze — zachowam dla siebie, w ścisłej tajemnicy. Ale proszę napisać wszystko.

Doktor, który słuchał w zamyśleniu, z głową przechyloną nieco w bok, patrzył księdzu przez chwilę prosto w twarz, potem rzekł: — Dobrze — i wszedł do pracowni, zamykając za sobą drzwi.

— Flambeau — rzekł Ojciec Brown. — Tam, na werandzie jest ławka, możemy sobie zapalić, deszcz nam nie będzie przeszkadzał. Ty jesteś moim jedynym przyjacielem na świecie. Chciałbym z tobą pogadać. Albo może posiedzieć z tobą w milczeniu.

Usadowił się wygodnie na werandzie, na ławce. Ojciec Brown przyjął, wbrew swemu przyzwyczajeniu, dobre cygaro i w milczeniu pociągał je pilnie, podczas gdy deszcz stukał i pluskał o dach werandy.

— Mój kochany — rzekł wreszcie. — To jest bardzo dziwny wypadek. Bardzo dziwny wypadek.

— I ja tak myślę, — wzdrygnął się nieznacznie Flambeau.

— Ty to nazywasz „dziwnem“ i ja powiadam „dziwne“ — rzekł tamten — a jednak mamy na myśli całkowicie odmienne rzeczy. Współczesny umysł miesza zawsze dwa różne pojęcia: tajemniczość w znaczeniu cudu i tajemniczość w znaczeniu tego, co jest skomplikowane. Tutaj leży połowa trudności każdego cudu. Cud jest przerażający — ale jest prosty. Jest prosty, ponieważ jest cudem. Jest to siła, która idzie wprost od Boga (albo od diabła) nie przechodząc pośrednio przez wolę natury, czy wolę ludzką. Otóż teraz wydaje się tobie, że cała ta sprawa jest nadzwyczajna, ponieważ jest cudowna, ponieważ była to siła czarodziejska, która działała w ręku zbrodni-

czego Hindusa. Zechciej zrozumieć, ja nie powiadam, że nie było w tem nic duchowego, czy djabelskiego. Niebo tylko wie i piekło, przez jakie dookolne wpływy wkradają się najosobliwsze grzechy w życie człowieka. Aliści w tym wypadku moje zdanie jest następujące: jeżeli to była prawdziwa magja, tak, jak ty przypuszczasz, tedy jest to cudowne, ale nie jest tajemnicze — nie jest skomplikowane. Istota cudu jest tajemnicza, ale jego forma jest prosta. A owóż forma tej całej sprawy jest przeciwieństwem prostoty.

Burza, która na chwilę osłabła, zdawała się znowu wzbierać. Zbliżała się ciężkimi krokami dalekich grzmotów. Ojciec Brown strząsnął popiół cygara i mówił dalej:

— W tym wypadku — rzekł, — Forma była pogmatwana, szpetna, skomplikowana, która w niczem nie przypomina prostych ciosów nieba, czy piekła. A tak, jak można poznać pokręconą drogę węża, tak ja znam zawiłe ścieżki człowieka.

Biała błyskawica rozwarła swoje bezmierne oko na jedno mgnienie, niebo zamknęło się znów, a ksiądz mówił dalej:

— Z pośród wszystkich tych pokrzywionych rzeczy, najbardziej był pokrzywdzony kształt owej ćwiartki papieru. Był jeszcze bardziej zakrzywiony, aniżeli nóż, który zabił człowieka.

— Czy masz na myśli papier, na którym Quinton przyznał się do samobójstwa? — spytał Flambeau.

— Mam na myśli papier, na którym Quinton napisał: umieram z własnej ręki — odpowiedział Ojciec Brown — Kształt tej kartki papieru był zły, mój przyjacielu, był zły — o ile kiedykolwiek widziałem zły kształt na tym grzesznym świecie.

— Miał tylko jeden kąt odcięty — rzekł Flambeau. — A słyszałem przecie, że wszystkie papiery Quintona były pocięte w ten sposób.

— To był bardzo dziwny sposób. — rzekł tamten. — I bardzo zły sposób — tak przypuszczam i tak to sobie przedstawiam. Widzisz, mój Flambeau, ów Quinton — niech Bóg się zlituje nad jego duszą — był to pod wielu względami kawał dokuczliwca, ale przytem był naprawdę artystą, artystą pędzla równie dobrze, jak i pióra. Pismo jego, chociaż trudne do odcyfrowania, miało charakter śmiały i piękny. Nie mogę dowieść tego, co mówię — nie mogę dowieść nic. Ale powiadam ci z pełnem przekonaniem, że on nie byłby nigdy odciął tego nędznego skrawka papieru. Gdyby chciał być ciąć papier dla jakiegoś tam celu, aby kartki się nakrywały, czy aby je oprawić, czy z jakiego innego powodu — byłby uczynił całkiem inne cięcie nożyczkami. Pamiętasz ów kształt? Był to kształt nikczemny. Był to niegodziwy kształt. Mniej więcej tak — pamiętasz?

I zaczął wywijać przed nim w ciemność; gorzącym cygarem, zakreślając nieregularne prostokąty z taką szybkością, że Flambeau dostrzegał w istocie, jakby ogniste hieroglify na tle ciemno-

ści — hieroglify, o jakich mówił jego przyjaciel, znaki, których nie można odcyfrować, które nie mogą jednak znaczyć nic dobrego.

— Ale przypuśćmy, że ktoś inny użył nożyczek — rzekł Flambeau, kiedy ksiądz zpowrotem włożył cygaro do ust i oparłszy się o poręcz, patrzył w górę, na dach. — W jaki sposób mógłby ktoś inny, przez obcinanie kartek papieru, spowodować samobójczą śmierć Quintona?

Ojciec Brown ciągle jeszcze siedział oparty wstecz i patrzył na dach, ale wyjął cygaro z ust i powiedział:

— Quinton wcale nie popełnił samobójstwa. Flambeau wybałuszył nań oczy.

— Po jakiego diabła — krzyknął — przyznał się w takim razie do samobójstwa?

Ksiądz pochylił się zpowrotem wprzód, oparł łokcie na kolanach, utkwil wzrok w podłódze i rzekł cichym, dobitnym głosem:

— Quinton nigdy się do samobójstwa nie przyznał.

Flambeau odłożył cygaro. — Myślisz — rzekł. — że ktoś podrobił jego pismo?

— Nie — rzekł Ojciec Brown. — On sam napisał to całkiem poprawnie.

— O to mi właśnie chodzi — rzekł zgorszony Flambeau. — Quinton napisał — umieram z własnej ręki — napisał to własnoręcznie, na zwyczajnej kartce papieru!

— O fałszywym kształcie, — dodał spokojnie ksiądz.

— O przeklętym kształcie, niech będzie! — krzyknął Flambeau. — Co ma ów kształt do tego?

— Znalazłem tam dwadzieścia trzy obcięte arkusze papieru, a tylko dwadzieścia dwa odcięte skrawki, — ciągnął dalej niez wzruszony Brown. Jeden skrawek został zatem zniszczony, prawdopodobnie ten, który należał do zapisanego arkusza. Czy ci to nic nie nasuwa na myśl?

Światło zawitało na twarzy Flambeau'a.

— Tam było jeszcze coś — rzekł. — Jakieś inne słowa napisane przez Quintona: zechcą wam wmówić, że ja ginę z własnej ręki, albo nie wierzcie, że...

— Gorąco, gorąco, jak mówią dzieci — odpowiedział przyjaciel. — Cóż, kiedy brakował tam zaledwie skrawek na pół cala. Nie starczyłoby tam miejsca na jedno słowo, a tem mniej na pięć. Czy możesz sobie wyobrazić coś, co jest zaledwie większe od przecinka, a co człowiek z piekłem w sercu musiał oderwać, jako dowód przeciw niemu?

— Nie mogę nic wymyślić — rzekł wreszcie Flambeau.

— A cudzysłów? — rzekł ksiądz i cisnął cygaro daleko w ciemności, niby spadająca gwiazdę.

Słowa zamarły na ustach Flambeau'a, a Ojciec

Brown odezwał się, jak ktoś, kto napowrót przechodzi do rzeczy podstawowych:

— Leonard Quinton był powieściopisarzem. Pisał właśnie powieść orientalną, osnutą na magji i hipnotyzmie. Otóż...

W tej samej chwili otwarły się gwałtownie drzwi poza ich plecami i wyszedł przez nie doktor w kapeluszu na głowie. Wręczył księdzu długą kopertę.

— Oto dokument o który pan prosił — rzekł.

— A teraz czas mi już do domu. Dobranoc.

— Dobranoc — odpowiedział Ojciec Brown. Doktor poszedł szybko ku bramie. Drzwi pozostawił za sobą niedomknięte, tak że upadła na nie smuga światła z gazowej lampy. W jej świetle Ojciec Brown rozerwał kopertę i przeczytał następujące słowa:

— Drogi Ojciec Brown — Vicisti Galilaei! Innemi słowy, przekłete pańskie oczy, doprawdy zanadto przenikliwe! Czy możliwe, aby mimo wszystko, było przecie coś do rzeczy w tych wszystkich teoriach waszego zawodu?

Jestem człowiekiem, który zawsze, od dzieciństwa, wierzył w naturę, we wszystkie naturalne funkcje i instynkty, bez względu na to, czy ludzie uważają je za moralne, czy niemoralne. Długo, zanim zostałem lekarzem, jeszcze jako student, który preparuje myszy i pająki, wierzyłem, że być dobrem zwierzęciem jest najlepszą rzeczą na świecie. Ale teraz właśnie doznałem wstrząsu.

Wierzyłem w Naturę, ale wydaje się, jakgdyby Natura mogła człowieka zdradzić. Czy można dawać wiarę waszym głupstwom? Zaczynam być naprawdę chory.

Kochałem żonę Quintona. Cóż w tem było złego? Natura tak mi kazała, a przecież jedynie miłość stwarza wszystko na świecie. Uważałem także, zupełnie szczerze, że Ona będzie bardziej szczęśliwa ze zdrowem, tak jak ja, zwierzęciem, aniżeli z tym małym, zameczającym ją lunatykiem. Czy było w tem co złego? Jako człowiek nauki, brałem pod uwagę jedynie ten fakt, że ona byłaby szczęśliwsza.

Zgodnie z moją własną wiarą, miałem wszelkie prawo do tego, aby zabić Quintona, co uważałem za najlepsze rozwiązanie dla wszystkich, nawet dla niego samego. Ale jako zdrowe zwierzę, nie miałem zamiaru zgładzić zarazem siebie samego. Postanowiłem więc nie uczynić tego przedtem, zanim nie nadarzy mi się sposobność, która nie pozostawi na mnie śladu, ani cienia tego czynu. Sposobność tę ujrzałem dziś rano.

Byłem dziś ogółem trzy razy w gabinecie Quintona. Za pierwszym razem, kiedy tam wszedłem, nie chciał mówić ze mną o niczem innem, jak tylko o jakiejś czarodziejskiej opowieści p. t. „Kłątwa Świętego“, którą właśnie pisał. Kręciło się w niej wszystko dookoła jakiegoś indyjskiego pustelnika, który siłą samej myśli, pchnął angielskiego pułkownika do samobójstwa. Pokazał

mi ostatnie kartki i przeczytał mi nawet ostatnie zdanie, które wyglądało mniej więcej tak: — Zdobycą Pendżabu, zaledwie pożółkły szkielet, ale zawsze jeszcze olbrzym, uniósł się z trudem na łokciu ; dysząc ciężko, szepnął siostrzeńcowi do ucha — Umieram z własnej ręki, a jednak umieram zamordowany! — Tak to się złożyło, jeden wypadek na sto, że owe ostatnie słowa napisane były na górze, na początku nowego arkusza. Wyszedłem z pokoju i udałem się do ogrodu, upojony tą straszną sposobnością.

Przechadzaliśmy się dookoła domu, a tam wydarzyły się jeszcze dwie sprzyjające mi rzeczy. Pan skierował podejrzenie na Hindusa, a dalej znalazł pan sztylet, którego najprawdopodobniej mógł być Hindus używać. Znalazłszy chwilę, w której udało mi się wsunąć sztylet do kieszeni, wróciłem do Quintonu, zamknąłem drzwi na klucz i dałem mu jego nasenny środek. Quinton w ogólności nie chciał odpowiadać Atkinsonowi, ale namówiłem go, aby odezwał się do tego draba i zaspokoił go, ponieważ chciałem uzyskać jasny dowód na to, że Quinton żył jeszcze, kiedy po raz drugi opuściłem pokój. Quinton leżał w głębi cieplarni, a ja przechodziłem przez gabinet. Jestem z natury dość zręczny, tak że w półtorej minuty zrobiłem to, o co mi chodziło. Wrzuciłem całą pierwszą część powieści; Quintona w ogień na kominku, gdzie spłonęła na popiół. Potem wpadło mi na myśl, że cudzysłów byłby nie na miej-

scu, odciąłem go więc i, aby się to wydało prawdopodobniejsze, obciąłem podobnie wszystkich papier pozostały. Potem wyszedłem, wiedząc o tem, że Quintona przyznanie się do samobójstwa leży na stole, podczas gdy Quinton leży obok w cieplarni, żywy, ale pogrążony we śnie.

Ostatni krok był zdesperowany — nietrudno pan go odgadnąć: udałem, że dostrzegłem Quintona nieżywego i wpadłem do pokoju. Odwróciwszy pańską uwagę ową kartkę papieru, z wrodzoną mi zręcznością zabiłem Quintona, podczas gdy pan odczytywał jego wyznanie samobójstwa. Quinton, po zażyciu narkotyku, był nawpół uspio-ny, położyłem więc jego własną rękę na sztylcie i wbilem nóż w jego ciało. Sztylet miał tak dziwaczny kształt, że nikt inny poza chirurgiem nie mógłby obliczyć kąta, pod którym należało dobrać się do serca. Ciekaw byłbym, czy i to pan zauważył?

Kiedy już dokonałem tego, wydarzyła mi się rzecz niezwykła. Natura mnie opuściła. Zrobiło mi się słabo. Doznałem uczucia, jakgdybym popełnił coś złego. Mam wrażenie, że mózg mi pęka. Doznaję jakiejś rozpaczliwej rozkoszy na myśl, że i ja się ożenię i będę miał dzieci. Co się ze mną dzieje?... Szaleństwo... albo może... ale czyż można mieć naprawdę wyrzuty sumienia, jakgdyby się było bohaterem z poematu Byrona?! Nie mogę pisać więcej. — James Erskine Harrs.

Ojciec Brown troskliwie złożył list we czworo i schował do wewnętrznej kieszeni sutanny. W tej samej chwili odezwał się donośny dźwięk dzwonka u bramy i mokre płaszcze kilku policjantów zamigotały za sztachetami na ulicy.

GRZECZY KSIĘCIA SARADINE

Kiedy Flambeau otrzymał urlop ze swojego biura w Westminster, postanowił spędzić wakacje na małym żaglowcu, tak małym, że uchodzić mógł raczej za zwyczajną łódź. Jako teren podróży, upatrzył sobie rzeczutki we wschodnich hrabstwach Anglii; łódka wyglądała na owych potokach, jak zaczarowany jacht, który snuje się po łądzie, poprzez łąki i pola.

W żaglowcu mogły wygodnie pomieścić się dwie osoby, poza tem ledwie starczyło miejsca na rzeczy, które, wedle osobliwej filozofji Flambeau'a uchodziły za niezbędne. Składały się na nie cztery kategorie przedmiotów: puszki z łososiem, na wypadek, gdyby zachciało mu się jeść, nabite rewolwery, na wypadek awantury, następnie z przeorności flaszka wódki — w razie gdyby kiedy zemdlął, a wreszcie książka — na wypadek, gdyby mu przyszło umierać.

Zaopatrzony w ten lekki bagaż, żeglował wolno po niewielkich rzeczках Norfolku, z zamiar

rem dotarcia do Broads. Po drodze radował się widokiem ogrodów i łąk stromo opadających ku rzece, w której pobliskie domki i wioski odbijały się, jak w lustrze. Zatrzymywał się tylko tu i ówdzie, na zakrętach rzeki, aby łowić ryby w bagnistych zatokach i odbywać siesty na gościnnem wybrzeżu.

Flambeau, jak prawdziwy filozof, podróżował bez celu. Ale, jako prawdziwy filozof, miał pewne uzasadnienie podróży. Miał do pewnego stopnia, szczególny plan, który brał jednak tylko przez pół na serjo — gdyby go osiągnął, uważałby to niejako za ukoronowanie swej wycieczki, gdyby go osiągnąć nie zdołał — w niczemby mu to podróż nie zepsuło.

Przed laty, kiedy był jeszcze królem złodziejów i jedną z najpopularniejszych figur Paryża, otrzymywał od najrozmaitszych ludzi setki listów z wyznaniem podziwu, miłości, albo wściekłości pogrozkami. Jeden list szczególnie utkwiał mu w pamięci. Był to bilet wizytowy w kopercie z angielskim znaczkiem. Na odwrotnej stronie biletu napisane były zielonym atramentem słowa: — „Jeżeli kiedyś usunie się pan z areny swego zawodu i stanie się porządnym człowiekiem, zechciej mnie pan odwiedzić. Chciałbym pana poznać, ponieważ znałem wszystkich wielkich ludzi mojej epoki. Pański trick, którym pan dokazał, że jeden detektyw aresztował drugiego dete-

ktywa, będzie należał do najświetniejszych kart w historii Francji“.

Przednia strona biletu podawała nazwisko: Książę Saradine Norfolk.

Flambeau mało się wówczas troszczył o księcia, o którym tyle tylko się dowiedział, że był on niegdyś w kołach włoskich postacią znaną z elegancji. (Mówiono, że w młodości uciekł z pewną mężatką z wysokiego rodu; awantura ta byłaby w jego sferze towarzyskiej przeszła niechybnie bez wielkiego wrażenia, gdyby nie jej tragiczny epilog, który wrył się ludziom w pamięć — było w nim samobójstwo zdradzonego męża, który na Sycylii rzucił się ponoć w przepaść.

W owych czasach książę mieszkał w Wiedniu, potem odbywał swoje nieustanne, niespokojne wędrówki po świecie. Kiedy Flambeau, podobnie, jak książę, zrezygnował ze swego rozgłosu na kontynencie i osiadł w Anglii, wpadło mu na myśl, by odwiedzić niespodzianie wybitnego wygnańca w Norfolk Broads. Nie miał pojęcia, czy zdoła odnaleźć owo miejsce — w samej rzeczy, miejsce było odległe i zapomniane.

Ale okoliczności sprawiły, że odnalazł je znacznie prędzej, niż się tego mógł spodziewać.

Pewnego wieczoru przybili do wybrzeża okolonego wysokim szuwarem i pniakami ściętych drzew. Umocowali łódkę na noc. Po całodziennem, nużącym wiosłowaniu zmorzył ich szybko sen, dzięki czemu obudzili się o pierwszym

brzasku. Aby wyrazić się ściśle: obudzili się przed świtem. Duży księżyc kształtu cytryny, zachodził dopiero w gąszcz wysokiej trawy, a na niebie snuły się szafirowe i fioletowe cienie, ostatnie strzępy nocy, które obu towarzyszom przywiodły na pamięć czas dzieciństwa, czas pełen przygód i tajemniczości, kiedy wysokie trawy sklepiają się ponad naszymi głowami. Na tle ogromnej tarczy księżyca, zawieszanej nisko nad ziemią, wydawały się stokrótki i jaskry olbrzymami swego gatunku. Fantastycznie postrzępiona linja trawy kojarzyła się ze wspomnieniem liściastego wzoru tapety w pokoju dzieciennym. Strome brzegi wyniosły ów splątany gąszcz traw ponad ich głowy, każąc im w zadumie patrzeć w górę niby na sklepienie.

— Na Boga — odezwał się Flambeau. — Czy tu nie jest jak w czarodziejskiej bajce?

Ojciec Brown wyprostował się na swej ławeczce w łodzi i przeżegnał się. Zrobił to tak niespodzianie i tak gwałtownym ruchem, że przyjaciel spojrzał zdumiony i spytał, co mu się stało?

— Ludzie, którzy pisali średniowieczne ballady, więcej wiedzieli o czarach, niż ty, mój drogi! — odparł ksiądz. — Nietylko dobre rzeczy zdarzają się w krainie czarów.

— Głupstwo! — zaśmiał się Flambeau. — Przy tak niewinnym księżycu mogą się dziać tylko dobre rzeczy. Jestem za tem, abyśmy rychlej ruszyli naprzód i zobaczyli, co nas czeka — prędzej

chyba zginiemy i obrócimy się w proch, zanim się nam znowu trafi taki nastrój przy księżycu!

— Zgoda — odparł Brown — nie twierdziłem przecie, iżby to zawsze było źle dostać się do krajiny czarów — powiedziałem tylko, że jest zawsze niebezpiecznie.

Popłynęły powoli wdół rzeki, która połyskiwała coraz jaśniejszymi blaskami. Głęboki fiolet nieba i czerwone złoto księżyca bladły coraz bardziej i wsiąkały w ową beżową i bezbarwną mglistość, która poprzedza kolory poranka. A kiedy pierwsze czerwone i złote pasma świtu rozszczepiły na wschodzie widnokrąg od końca do końca, nagle, niby ciemna plama, zjawilo się na jasnym horyzoncie miasteczko i zawisło nad rzeką — tuż nad ich głowami. Świt już nastawał i można było rozpoznać okapy dachów i mosty osiedla. Domy nakryte długimi, niskimi dachami zdawały się zstępować do rzeki, niby do wodo-
poju ogromne krowy w czerwone i szare plamy. Szarzejący mrok przeszedł w jasny świt, ale na mostkach i w przystaniach milczącego miasta nie dostrzegali jeszcze żadnej wyższej istoty. Natknęli się wreszcie na spokojnego, dostatnio ubranego mężczyznę, bez surduta, z rudymi bokobrodami, o twarzy tak okrągłej, jak księżyc, który właśnie niedawno był zaszedł.

Nieznajomy stał nad rzeką, oparty o słup, który sterczał na brzegu. Flambeau tknięty jakimś dziwnym, nieuzasadnionym impulsem, podniósł się

w całej swojej okazałości na chwiejnej łódce i zawołał w stronę obcego, czy nie zna „Szuwarowej Wyspy“, albo „Szuwarowego Domu“? Dostatnio ubrany pan uśmiechnął się dobrodusznie i w odpowiedzi wskazał ręką pierwszy zakręt rzeki. Flambeau, nie tracąc słowa, ruszył naprzód

Łódź minęła już niejedną pętlę, zarosłą trawą i sitowiem, ale zanim jeszcze zdążyli się znudzić poszukiwaniem, natrafili na szczególnie ostry zakręt — zaraz za nim wyjechali w szerokie rozlewisko rzeki, niby jezioro, którego widok odrazu przykuł ich uwagę: w samym środku rozległej wody o brzegach postrzępionych sitowiem, rozciągała się niska, ale dość długa wysepka — na niej stał niski, długi dom, raczej szałas z drzewa bambusowego, czy też innej tropikalnej trzciny. Pionowe słupy bambusu, które składały się na ściany domu, miały kolor blado żółty, a skośne krokwie, które tworzyły dach budynku, były rudawoczerwone i o ton ciemniejsze, niż ściany. Poza tem cały długi dom był jednostajny aż do znudzenia.

Szuwary, rozkolysane rannym wiatrem, szumiały dookoła wysepki nieustanną pieśnią, którą odrzucały bambusowe żebra dziwnego domu, niby wygraną na piszczałkach olbrzyma.

— Chwała Bogu! — zawołał Flambeau — nareszcie dotarliśmy do celu. To musi być Wyspa Szuwarowa, jeżeli taka wyspa wogóle gdzieś się naprawdę znajduje. Tamten gruby jegomość z baczkami — to był bezwątpienia czarodziej!

— Być może — odparł sucho Ojciec Brown — ale jeżeli to był czarodziej, tedy był zły czarodziej...

Ledwie skończył zdanie, a już porywczy Flambeau skierował łódkę do brzegu i wjechał w szumiącą trawę. Znaleźli się na długiej, dziwnej wysepce, obok długiego, dziwnego domu, pogrążonego w milczeniu.

Dom stał odwrócony tyłem do rzeki i do jezdycznej przystani na całej wyspie. Główne wejście było po drugiej stronie i wychodziło na ogród, który ciągnął się wzdłuż wysepki. Nowoprzybyli dotarli do ogrodu wąską ścieżką, okrążając dom od trzech stron, tuż pod niskim okapem dachu. Od trzech stron przez trzy różne okna wejrzeliby do tej samej długiej, jasno oświetlonej sali, wykładanej miękkim drzewem i przystrojonej rzędem zwierciadeł. W pośrodku stał nakryty i wykwinicie zastawiony stół.

Kiedy stanęli wreszcie przed frontem domu, wpadły im w oczy przede wszystkim dwa wielkie niebieskie wazony, oparte o oba skrzydła drzwi. Drzwi te otworzył im lokaj — typ starego, chudego kamerdynera o siwych włosach — który oznajmił cichym głosem, że księcia Saradine'a nie ma w domu, ale lada chwila powinien być zpowrotem — wszystko jest przysposobione na przybycie jego i gości. Kiedy Flambeau pokazywał mu bilet, zapisany zielonym atramentem, zdawało się, że widok ten tchnął iskrę życia w pergaminową

twarz zgrzybiałego sługi, który uprzejmie, choć z pewnem wahaniem, poprosił przybyszów aby zaczekali na jego pana.

— Jego Wysokość może nadejść każdej chwili — dodał — i byłby niepokieszony, gdyby swoich gości nie zastał. Mam polecenie, aby zawsze mieć w pogotowiu skromny zimny lunch dla niego i jego przyjaciół ; jestem przekonany, że byłoby to po jego myśli, gdybym panów poprosił do stołu.

Flambeau tknięty ciekawością, przyjął z wdziękowaniem zaproszenie i poszedł za staruszką, który wprowadził go uroczyście do długiej sali, wykładanej taflami jasnego drzewa. Poza tem w sali tej nie dało się nic szczególnego zauważyć, za wyjątkiem szeregu długich, niskich okien, podzielonych rzędem owalnych, długich zwierciadeł, co czyniło salę powiewną i lekką i sprawiało wrażenie, jakgdyby się jadło na otwartym tarasie. Parę obrazów o stonowanym kolorycie wisiało po rogach sali. Jeden z nich — duża szara fotografia — przedstawiał młodzieńca w mundurze, na drugim, naszkicowanym czerwoną kredką, widniały dwie główki chłopięce z długimi włosami.

Zapytany przez Flambeau'a, czy człowiek w mundurze to książę, stary sługa w krótkich słowach zaprzeczył, objaśniając, że to młodszy brat księcia, kapitan Stefan Saradine. Po tej uwadze staruszek stracił najwidoczniej ochotę do rozmowy i odrazu jakgdyby zaniemówił.

Kiedy zakończono lunch wyśmienitą kawą i

likierami, zaprowadzono gości do ogrodu, potem pokazano im bibliotekę i przedstawiono ich zarządczyni domu — smagłej, pięknej kobiecie, pełnej godności i przypominającej wyglądem Ma-donnę podziemi. Ona to, jak się okazało, i kamerdyner stanowili jedyne przeżytki dawnej cudzoziemskiej służby księcia. Reszta służby pochodziła z okolic Norfolku; została przez zarządczynię niedawno przyjęta. Zarządczyni nazywała się pani Anthony, niemniej mówiła lekkim akcentem włoskim i Flambeau nie wątpił, że Anthony było norfolkską parafrazą jakiegoś bardziej łatyńskiego nazwiska. Kamerdyner Paul miał w sobie także coś z obcokrajowca, ale akcent jego, oraz maniery były nawskroś angielskie, jak to się często zdarza u dobrze ułożonej służby męskiej w sferze międzynarodowej arystokracji.

Dom wydawał się przyjemny i oryginalny, a jednak było w jego atmosferze coś dziwnie smutnego. Godziny mijały w nim, jak dnie. Długie pokoje były zalane światłem wielu okien, ale w świetle owem była jakowaś martwota. A poprzez wszystkie przygodne szmery, szepty rozmów, brzęk talerzy, odgłosy kroków służby — bezustannie, z każdej strony domu dochodził melancholijny szum rzeki.

— Słuchaj Flambeau — czy wiesz, żeśmy wjechali w zły zakręt — rzekł Ojciec Brown, patrząc przez okno na kępy szaro zielonych szuwarów i na srebrną taflę wody. Ale nie rób sobie nic

z tego — czasem można zdziałać wiele dobrego, dzięki temu, że się jest właściwym człowiekiem na niewłaściwym miejscu...

Ojciec Brown, chociaż zazwyczaj milczący, był dziwnie wrażliwym małym człowieczkiem. W tych niewielu dłużących się bez końca godzinach, wniknął nieświadomie w tajemnice „Szwarcowego Domu“ znacznie głębiej, niż jego towarzysze wyprawy. Jego wyrachowane, nieomal dyplomatyczne milczenie, kryło w sobie tę znamioną dla każdego plotkarza umiejętność: jednym swoim słowem umiał wydobyć od znajomych wszystko, co w każdym wypadku można było wogóle wygadać.

Stary kamerdyner był z natury mało rozmowny i nietowarzystki. Dla swego pana żywił utajone, niemal zwierzęce przywiązanie. Opowiadał, że księżę doznał był wiele krzywd od ludzi — głównym winowajcą miał być brat Jego Wysokości. Na sam dźwięk tego imienia wychudła szczeka starca wydłużała się jeszcze bardziej, a twarz wykręcał mu zły, szyderczy uśmiech.

Kapitan Stefan był rzekomo nicponiem. On to obrabował swego brata z całego majątku i z jego winy księżę był zmuszony wieść skromny żywot w tem ustroniu, zdala od gwaru i wykwintu dużego miasta. Oto wszystko, co kamerdyner Paul mógł powiedzieć o losie księcia, będąc najwidoczniej jego bezwzględny stronnikiem.

Zarządczyni domu, już jako Włoszka, była

rozmowniejsza i bardziej towarzyska. Z jej słów wynikało, że jest ze swego losu mniej zadowolona. Ton, w którym wyrażała się o swoim chlebobdawcy, był zgryźliwy, choć niepozbawiony pewnej dozy strachu.

Flambeau i jego przyjaciel przypatrywali się właśnie w lustrzanej sali kredkowemu portretowi dwóch chłopców, kiedy gospodyni zwinnym ruchem wślizgnęła się do pokoju, pod pozorem jakiegoś gospodarskiego zajęcia.

Ktokolwiek przestąpił próg świetlistej sali, połyskującej wokrag lustrami i jasnymi taflami drzewa, odbijał się odrazu w czterech, czy pięciu zwierciadłach. To też ojciec Brown, nie odwracając się wcale, urwał nagle w pośrodku zdania, w którym zamierzał właśnie wypowiedzieć jakąś krytyczną uwagę o księżęcej rodzinie. Ale Flambeau, zapatrzony zbliska w obrazek, odezwał się głośno: — Przypuszczam, że to obaj bracia Saradine. Wyglądają dość dobrodusznie — trudno doprawdy powiedzieć, który z nich jest tym dobrym, a który złym...

Wtem zauważył w pokoju obecność zarządczyni. Szybko skierował rozmowę na pierwszy lepszy temat, a po chwili opuścił salę i wyszedł do ogrodu. Ojciec Brown ciągle jeszcze przypatrywał się uważnie czerwonemu szkicowi, a pan Anthony ciągle jeszcze patrzyła uważnie na ojca Browna.

Pani Anthony miała oczy duże, brązowe i smutne. Na jej oliwkowej twarzy malował się

wyraz ciekawości i podejrzliwego zdziwienia — jak-gdyby nie była całkiem pewna, w jakiej roli odwie-
dził ich obcy przybysz. Niewiadomo, czy sutanna
księdza i jego religja przywiodła jej na pamięć
południowe wspomnienia spowiedzi, czy może
wydało jej się, że ksiądz wie o niej więcej, niż
wiedział istotnie — dość, że odezwała się nagle
przytłumionym głosem, jakgdyby do człowieka
wtajemniczonego:—Pod jednym względem pański
przyjaciel ma słuszość — powiada, że byłoby
trudno odróżnić dobrego brata od złego. O tak!
To byłoby bardzo trudne — odróżnić dobrego
brata! To bywa zawsze bardzo trudne!

— Nie rozumiem pani — odrzekł ksiądz
Brown i skierował się ku drzwiom. Zarządczyni po-
stąpiła krok naprzód i nasrożywszy brwi, pochy-
liła się, jak dziki zwierz gotowy do skoku.

— Niema dobrego brata! — zasyczała. — Ka-
pitan jest zły! Zagarnął cały majątek — ale co
w tem dobrego, że mu książę wszystko oddał?
Kapitan nie jest ten jedyny, któremu możnaby
coś zarzucić!

Światło zabłysło nagle w głowie księdza, któ-
ry stał z twarzą odwróconą. Milczące jego usta
ułożyły się mimowoli do słowa „szantaż“. W tej
samej chwili pani Anthony zbladła i zachwiała
się — omal nie upadła. Drzwi rozwarły się znie-
nacka bezszelestnie i kamerdyner Paul pojawił się
w progu, jak duch. Dzięki niesamowitym ścianom,
które wszystko odbijały, wydało się, jakgdyby

pięciu Paulów weszło jednocześnie przez piecioro drzwi.

— Jego wysokość właśnie nadeszła — rzekł.

W tej samej chwili jakaś postać męska minęła na ścieżce, okalającej dom, pierwsze okno, przesuwawszy się wzdłuż szyby rozświetlonej słońcem, niby blaskiem kinkietów. Zaraz potem ten sam orli profil i ta sama sylweta minęła drugie okno i kolejno odbiła się w rzędzie zwierciadeł. Człowiek szedł wyprostowany i baczny wzrokiem spoglądał przed siebie. Był całkiem siwy, twarz jego była żółta, niczem z kości słoniowej. Krótki nos miał zakrzywiony z rzymska, co odpowiada zwyczajnie długiej, chudej szczęce — tę jednak krył wąs i spiczasta bródka. Wąs był ciemniejszy od brody, nadawało to twarzy efekt zlekka teatralny, a potęgował go jeszcze dość niezwykły strój, w którym przedewszystkiem rzucał się w oczy biały cylinder, orchidea w butonierce i żółta kamizelka. Nieznajomy za każdym krokiem wywijał i wymachiwał żółtymi rękawiczkami. Kiedy doszedł do głównego wejścia, sztywny Paul otworzył drzwi — nowoprzybyły odezwał się wesoło: „A widzisz, że wróciłem“.

Uroczysty Paul złożył ukłon i odpowiedział na swój sposób szeptem — przez kilka minut nie można było dosłyszeć ani słowa z ich rozmowy. Wreszcie kamerdyner rzekł głośnie: — Wszystko jest przygotowane. — Po tych słowach książę Saradine, wymachując nadal rękawiczką, wszedł

z wesołą miną do sali, aby powitać gości. Znowu powtórzyło się to samo zwierciadlane zjawisko: pięciu książąt weszło przez pięćioro drzwi.

Książę złożył biały cylinder i żółte rękawiczki na stole i z wyszukaną serdecznością podał wszystkim po kolei rękę.

— Bardzo się cieszę, że pana widzę, panie Flambeau! — rzekł — znam pana bardzo dobrze z pańskiej reputacji — ta uwaga nie jest chyba niedyskretna?...

— Bynajmniej! — roześmiał się Flambeau. — nie jestem tak wrażliwy. Tylko niewielu ludzi dostępuje sławy bez plamy na honorze.

Książę obrzucił go przenikliwem spojrzeniem, jakgdyby chciał wymiarkować, czy odpowiedź nie kryje w sobie osobistego przytyku. Potem zaśmiał się także i kolejno podał każdemu krzesło. Sam usiadł ostatni.

— To miły zakątek — nieprawdaż? — zauważył głosem trochę roztargnionym. — Rozrywek niedużo, ale połów ryb jest rzeczywiście dobry.

Księdzu, który spojrzał na niego nieruchomym wzrokiem dziecka, stanęła przed oczyma nieokreślona, zagadkowa wizja. Wpatrywał się uporczywie w siwe, starannie ufryzowane włosy księcia, w jego bladożółtą twarz i smukłą, nieco fircykowatą postać. Wszystkie szczegóły, razem wzięte, nie wydawały się nienaturalne, chociaż nie były pozbawione pewnej groteskowości — co najwyżej przypominały zabawne sylwetki ze świata kulis.

A jednak poza wszystkimi szczegółami, w czemś innem, w samej oprawie twarzy, kryło się coś, co wymykało się wszelkim określeniom. Myśl, że twarz ta nie była mu obca, prześladowała i dręczyła Browna. Ten człowiek przypominał mu żywo kogoś ze znajomych — był tylko jakgdyby przeobrażony.

Ale po chwili przypomniał sobie zwierciadła i całą wizję przypisywał jakiemuś psychologicznemu wpływowi, wynikającemu z powielenia ludzkich twarzy przez lustra.

Książe Saradine na lewo i prawo obdzielał gości swoją wielką wesołością. Dowiedziawszy się, że Flambeau jest zagorzałym sportsmenem i że pragnie wykorzystać wakacje, zaciągnął go wraz z jego jachcikiem na miejsce, w którym połów najlepiej się udawał, ale już w dwadzieścia minut potem powrócił swoją łódką do domu, aby w bibliotece dotrzymać towarzystwa Ojcu Brownowi i oddać się z tą samą kurtuazją bardziej filozoficznym dystrakcjom księdza. Książe zdawał się wiedzieć niejedno i o rybołóstwie i o książkach — chociaż o tych ostatnich nic szczególnie budującego. Mówił pięcioma, czy sześcioma językami, choć każdego języka używał w jakimś dialekcie.

Najwidoczniej żył w różnych miastach i w różnorodnych środowiskach, skoro najweselsze jego anegdotki obracały się dookoła jakiejś gry, palarni opium i apasów australijskich, czy włoskich.

Ojciec Brown wiedział, że ten sławny ongiś

Saradine spędził ostatnie lata na bezustannej wędrówce, ale nigdy nie byłby przypuścił, że wędrówki były tak bezcelowe i tak pustackie. W samej rzeczy, nie mogło ująć uwagi tak czulego obserwatora, jakim był Ojciec Brown, że od księcia Saradine, mimo całą wytworność światowego dżentelmena, wiała atmosfera niepokoju i nieodpowiedzialności.

Twarz jego była w liniach szlachetna, ale spojrzenie miał dzikie. Od czasu do czasu miewał nerwowe odruchy, jak człowiek zniszczony truciznąm i trunkiem. O dom nie dbał zupełnie, ani też nie udawał, że w czemkolwiek o to dba. Wszystko spoczywało w rękach dwojga służby, szczególnie w rękach kamerdynera, który był poprostu ośrodkiem i ostoją całego domu. Mr. Paul był w samej rzeczy nie tylko kamerdynerem — był mistrzem ceremonji, ba, nieomal szambelanem. Posiłki jadał wprawdzie u siebie, ale spożywał je z równą prawie pompą, jak jego pan. Służba drżała przed nim. Kiedy, jak przystawało na sługę, zasięgał rady księcia, czynił to bez pokory — trochę, jakgdyby był książęcym plenipotentem.

Wiecznie ponura gospodyni była w porównaniu z nim znikomym cieniem. Cofała się zawsze na najdalszy plan i zdawała się służyć tylko kamerdynerowi. Nie szeptała też już więcej Brownowi z wybuchami gniewu owych uwag o młodszym bracie, który, jak się ksiądz z szeptów dorozumiewał, szantażował starszego brata. Czy rzeczywiście

cie ów nieobecny chwilowo kapitan wyciskał ostatnią kroplę krwi z księcia Saradine — trudno było sprawdzić. Ale dziwna tajemniczość, otaczająca osobę Saradine'a, czyniła wersję dość prawdopodobną.

Kiedy wrócili do długiej zwierciadlanej sali, żółtawy wieczór zapadał nad wodą i nad brzegiem zarosłym wierzbami. Od brzegu zabrzmiało buczenie bąka, jakgdyby w oddali karzeł uderzał w bęben elfów.

I znowu dziwny obraz jakiejś smutnej i złej krainy czarów przesunął się w myślach księdza, niby drobna ołowiana chmurka.

— Chciałbym, aby Flambeau był już zpowrotem — szepnął.

— Czy ksiądz wierzy w przeznaczenie? — zagadnął nagle ksiązę Saradine głosem pełnym niepokojem, który go przez chwilę nie opuszczał.

— Nie — odparł gość — wierzę w dzień sądu.

Ksiązę odwrócił się od okna i chowając twarz w cieniu, utopił dziwny wzrok w księdzu.

— Jak to ksiądz sobie wyobraża? — zapytał.

— Wyobrażam sobie, że widzimy tutaj jakgdyby tylko odwrotną stronę medalu — odrzekł Ojciec Brown. — To, co się tu dzieje — jest bez znaczenia. Znaczenia nabiera dopiero gdzieś indziej. *Tam* kara spotyka właściwego winowajcę. Tutaj natrafia często na niewłaściwą osobę.

Ksiązę wydał jakiś nieartykułowany dźwięk, podobny do ryku zwierzęcia. Oczy zabłysły dziw-

nie w twarzy pogrążonej w cieniu. Tymczasem w głowie księdza zaświtała nagle niespodziana, przełomowa myśl: czy świetna maska Saradine'a, jego zmieszanie, jego nagły wybuch, nie miały jakiegoś głębszego znaczenia? Czy książę był — czy był przy zupełnie zdrowych zmysłach? Ojciec Brown, tknięty jakimś nowem podejrzeniem, zaczął powtarzać w myślach raz po raz, jak opętany — to nie jest ten! To jest fałszywy człowiek! To nie może być on!

Kiedy się ocknął, nowa prawda rozjaśniła mu głowę. W zwierciadłach znajdujących się naprzeciw, ujrzał, jak drzwi rozwarły się bez szmeru, a w nich milcząc stał Mr. Paul, jak zawsze sztywny i nieruchomy.

— Zdaje mi się, że lepiej będzie odrazu oznajmić, że jakaś łódź dobiła do brzegu — rzekł sztywnie i z rewerencją, godną starego domowego adwokata. — Prowadzi ją sześciu ludzi, a przy sterze siedzi jakiś pan.

— Łódź? — powtórzył książę. — Jakiś pan? — to mówiąc zerwał się z krzesła.

Zapanowało nagle milczenie, przerywane jedynie szczególnym głosem ptaka w zaroślach, ale zanim jeszcze ktokolwiek zdołał wymówić słowo, nowa postać i nowa twarz mignęła w profilu na tle rozgorzałych w słońcu okien, podobnie jak wtedy, kiedy książę przechodził tą samą drogą. Ale poza tym przypadkowym zbiegiem okoliczności, że oba profile miały coś z orła, jedna po-

stać w niczem nie przypominała drugiej. Miejsce nowego białego cylindra Saradine'a zajmował czarny cylinder, który miał kształt tak dziwaczny, że musiał być albo staroświecki, albo zagraniczny. Z pod cylindra wyzierała twarz młoda i wygolona. Twarz ta była poważna i rezydentna i miała w sobie coś z młodego Napoleona. Spojrzenie to potęgowało jeszcze bardziej cały staroświecki wygląd — nieznajomy zdawał się nigdy nie dbać o to, aby zmienić w czemkolwiek zwyczaje i modę swych przodków.

Miał na sobie wytarty niebieski tużurek, czerwona, z żołnierską skrojoną kamizelkę i prostackie białe spodnie, jakie noszono powszechnie w epoce wiktoriańskiej, ale zupełnie niezgodne z dzisiejszą modą. Na tle owej zbieraniny strojów dziwnie młodo i zdumiewająco szczerze wyglądała jego oliwkowa twarz.

— Tam do diabła! — zawołał książę Saradine i zarzucił na głowę kapelusz, aby wyjść osobiście na spotkanie przybysza. Sam otworzył na oścież drzwi na ogród, w którym słońce chyliło się już ku zachodowi.

W międzyczasie nowoprzybyły i jego towarzysze ustawili się rzędem na łące, niby mała armja na scenie teatru. Sześciu wiosłarzy wciągnęło łódź na brzeg i strzegło jej z groźną miną, trzymając w rękach wiosła długie, jak dzidy.

Byli to tędzy chłopci — niektórzy mieli w uszach kolczyki. Jeden z nich wysunął się naprzód, nio-

sąc w rękę dużą czarną walizę niezwyklego kształtu i stanął obok młodego człowieka o oliwkowej cerze i w czerwonej kamizelce.

— Czy nazwisko pańskie jest Saradine? — zapytał młodzieniec.

Saradine skinął dość niedbale głową. Młodzieniec miał brązowe oczy o tępem, skupionem wejściu, podobne do oczu psa — dziwnie ostro odbijające od niespokojnych, błyszczących oczu księcia.

Tym razem znowu nasunęło się Ojcu Brownowi nieodparte wrażenie, że gdzieś widział już tę twarz i znowu przyszła mu na myśl wielokrotność obrazów zwierciadlanej sali — jej też przypisywał ponownie nadzwyczajny zbieg okoliczności. — Przeklęty ten pałac krzyształowy! — mruknął do siebie. — Za wiele razy widzi się tu każdą rzecz — to jest zupełnie, jak we śnie!

— Jeżeli pańskie nazwisko jest Saradine — moje brzmi Antonelli!

— Antonelli — odparł książę wahającym głosem — gdzieś już musiałem to nazwisko słyszeć...

— Niech mi wolno będzie przedstawić się — rzekł młody Włoch.

To rzekłszy, wytwornym ruchem lewej ręki zdjął swój staroświecki kapelusz, a prawą grzmotnął księcia Saradine w twarz z taką siłą, że biały cylinder potoczył się po schodkach wdół, rozbijając jeden z niebieskich wazonów o jego własny postument.

Książę nie był widocznie tchórzem, bo skoczył na przeciwnika i chwyciwszy go za gardło, omal nie cisnął wstecz na ziemię. Ale Włoch wywinął się zręcznie i rzekł tonem uprzedzającej grzeczności, która dziwnie brzmiała w tej sytuacji:

— Tak. Teraz wszystko w porządku. To ja znieważylem, — mówił łamaną angielszczyzną, dysząc ciężko. — I gotów jestem dać satysfakcję. Marco, otwórz walizę.

Człowiek z koleczykiem w uchu, który stał opodal, przystąpił do otwierania dużej czarnej walizy. Wyjął z niej dwa długie włoskie floretty o wspinających stalowych rękojeściach i stalowych klin-gach, które wbił ostrzem w ziemię.

Tajemniczy młodzieniec ze swą żółtą, mściwą twarzą zwróconą ku drzwiom, dwie szpady ster-czące w murawie, niby dwa krzyże na cmentarzu, w głębi rząd nieruchomych wioślarzy — wszystko składało się na jakąś dziwną scenę barbarzyń-skiego samosądu. Poza tem wszystko było niezmi-nione — tak nagle było owo całe *intermezzo*. Czerwone złoto zachodzącego słońca ciągle jesz-cze mieniło się na łące i ciągle jeszcze buczał w da-lekich zaroślach bąk, jakgdyby przepowiadał ko-muś nędzny a straszny koniec.

— Książę Saradine! — rzekł człowiek nazwis-kim Antonelli. — Kiedy byłem dzieckiem w ko-łysce, ty zabiłeś mojego ojca i ukradłeś moją mat-kę! Z nich dwojga — ojca mego spotkał lepszy los. Nie zabiłeś go w sposób uczciwy — tak, jak

ja teraz uczynię z tobą! Ty i moja wyrodna matka zawlekliście go w jakiś odległy wąwóz na Sycylii, straciliście go w przepaść, potem — uciekliście! Gdybym chciał, mógłbym pójść w zemście za twoim przykładem, ale wzorować się na tobie — to byłoby zbyt nikczemne! Ścigałem cię po całym świecie, ale zawsze uciekałeś przede mną. Tu jednak jest koniec świata — i twój koniec. Teraz mam ciebie w ręku i daję ci szansę, jakich ty nigdy nie dałeś mojemu ojcu. Wybieraj szpadę!

Książę Saradine zmarszczył brwi i przez krótką chwilę zdawał się wahać. Ale w uszach dzwoniło mu jeszcze od uderzenia. Nagle zerwał się i chwycił za rękojeść. W tej samej chwili zerwał się także Ojciec Brown, próbując zażegnać niebezpieczeństwo, ale zrozumiał odrazu, że jego obecność może tylko sprawę jeszcze bardziej rozjątrzyć. Saradine był francuskim wolnomularzem i zacięłym ateistą — osoba księdza drażniła go samym kontrastem przekonań. A jeśli szło o jego przeciwnika — tego ani Bóg, ani djabeł nie byłby w stanie wzruszyć. Ten młodzieniec z napoleońską twarzą i bronzowemi oczyma miał w sobie coś o wiele surowszego od purytanina — coś z barbarzyńcy. Był to pierwotny, dziki poganin z czasów przedpotopowych, człowiek z epoki kamiennej — człowiek z kamienia.

Pozostawała jedna nadzieja — przywołanie służby. W tej myśli pobiegł Ojciec Brown zpowrotem do domu. Tu dowiedział się jednak, że

samowładny Paul pozwolił oddalić się całej czeladzi — po przestronnych pokojach przechadzała się nieswojo wiecznie ponura pani Anthony. Ale w tej samej chwili, w której skierowała na niego przerażony wzrok, Ojciec Brown rozwiązał jedną z zagadek tego zwierciadlanego domu. Ciężkie, brązowe oczy Antonelli'ego—to były ciężkie brązowe oczy pani Anthony. W okamgnieniu dojrzał połowę tragedji.

— Syn pani jest przed domem — rzekł, nie tracąc daremnie ani słowa. — Jeden z nich musi zginąć — księżę albo on! Gdzie jest Mr. Paul?

— Koło przystani — odparła drżącym głosem. — On — on woła tam o ratunek.

— Pani Anthony — rzekł Ojciec Brown poważnie — teraz nie ma czasu na głupstwa! Mój przyjaciel jest na swojej łodzi w dole rzeki, łowi tam ryby. Łodzi syna pani pilnują jego ludzie. Pozostała tylko jedna łódź — co Mr. Paul z nią począł?

— *Santa Maria*, ja nie wiem! — krzyknęła i upadła zemdłona na posadzkę wyłożoną matami.

Ojciec Brown podniósł ją i ułożył na kanapie, potem wylał na nią dzbanek wody i wołając ustawicznie głośno o pomoc, poleciał do jedynej przystani wysepki. Ale zastał już łódkę w pośrodku prądu. Stary Paul wiosłował w górę rzeki z siłą, w jego wieku wprost niewiarygodną.

— Muszę uratować mego pana! — wołał

a oczy jego połyskiwały, jak u szaleńca. — Ja go jeszcze ocale!

Księdzu nie pozostało nic innego, jak patrzeć na łódkę, która borykała się z prądem rzeki i wzywać starego sługę, aby w czas zaalarmował miasteczko.

Pojedynek — to jest rzecz dostatecznie zła! — mruczał do siebie, gładząc swoje szare jak pył włosy — ale w tym pojedynku jest jeszcze coś szczególnie złego — poza samym pojedynkiem! Czuję to w kościach — ale co to może być?

Kiedy stał tak, utkwivszy wzrok w wodę, w której ostatnie promienie słońca odbijały się, niby w falującym zwierciadle, usłyszał nagle, z drugiego końca ogrodu, cichy, ale nieomylnie złowróżbny dźwięk — zimny szcęk stali. Ojciec Brown odwrócił głowę.

Daleko, na samym skraju przeciwległego brzegu, na wąskim pasmie murawy, poza ostatnią grządką róż, obaj zapaśnicy skrzyżowali już szpady. Ponad nimi wzniósł się wieczór, niby wieża niepokalanego złota. Mimo wielką odległość można było rozróżnić każdy szczegół obrazu. Zdjęli surduty, ale żółta kamizelka i siwe włosy Saradine'a, oraz czerwona kamizelka Włocha i białe jego spodnie migotały w tem jednolitem świetle, jak kolory tańczących laleczek w automacie. Obie szpady połyskiwały od ostrza, aż po kosz, jak dwie brylantowe szpilki. Było coś strasznego w tych dwóch postaciach, tak małych, a tak ruchliwych.

Wyglądały, jak dwa motyle, z których jeden próbuje wbić drugiego na szpilkę.

Ojciec Brown biegł, co mu sił starczyło, puściwszy krótkie nogi w ruch, niby kółka. Ale kiedy dobiegł na pole walki, okazało się, że zjawił się za późno i zarazem — za wcześnie. Za późno, aby powstrzymać pojedynek, który rozgrywał się na oczach dzikich Sycylijczyków wspartych o wiosła, za wcześnie, aby przewidzieć, jaki będzie koniec walki, w każdym wypadku zgubny dla jednego z dwóch przeciwników. Albowiem obaj dziwnym trafem równie dobrze panowali nad swoją sztuką. Z jednej strony książe walczył z pewnego rodzaju cyniczną pewnością siebie, z drugiej, Włoch, żądny krwi, zabierał się do dzieła z surową systematycznością. Rzadko kiedy można było ujrzyć turniej piękniejszy, niż ten, który lśniąca wszystkimi kolorami, rozgrywał się na zapomnianej wysepce, nad rzeką zarosłą trawami.

Szanse zawodników w tej zawrotnej walce tak długo już były równe, że nadzieja zaczęła wstępować w duszę księdza, który pragnął zażegnać walkę. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa lada chwila powinien był nadejść Paul z pomocą policyjną. Gdyby bodaj Flambeau był już zpowrotem, byłaby to pomoc nielada — wszakżeż Flambeau starczył swoim; mięśniami za czterech! Ale Flambeau zniknął bez śladu, a co osobliwsza — nie było też śladu Paula, ni policji. Na domiar złego, na rzece nie było ani jednej tratwy, ani jednego

pniaka, na którymby można było rzekę przepłynąć. Na tej wysepce, straconej pośród bezimien-
nych, rozległych stawów, byli odcięci, niczem na
samotnej skale w pośrodku Oceanu Spokojnego.

W tej samej prawie chwili, w której myśl ta
przeszła mu przez głowę, chrzest rapierów prze-
szedł w ostry zgrzyt. Ręce księcia wyleciały w górę,
a ostrze szpady wystrzeliło mu nagle z tyłu,
z pomiędzy łopatek. Runął na ziemię szerokim
wirowym ruchem, jakby taczki przez chłopca prze-
wrócone nawznak.

Szpada wyleciała mu z ręki i połyskując migot-
liwą smugą, jak gwiazda spadająca, zgasła w rzece.

On sam runął całym ciężarem na ziemię, aż
zadudniło. Łamiąc w upadku duży krzak czerw-
nej róży, wyrzucił ciałem obłok czerwonej ziemi,
niby dym z pogańskiej ofiary. Sycylijczyk złożył
ofiary z krwi duchowi zmarłego ojca.

Ksiądz ukląkł nad ciałem, ale poto tylko, aby
się upewnić, że jest to już trup. Po kilku darem-
nych usiłowaniach przywrócenia zmarłego do ży-
cia, usłyszał pierwsze głosy w górze rzeki. Po
chwili ujrzał łódź policyjną, która właśnie wysa-
dzała na brzeg policjantów, kilku dygnitarzy miej-
skich i Paula. Mały księżulek wstał z miną mocno
ironiczną i mruknął; — Nie mogli pojawić się
chwilę wcześniej!...

W parę minut później cała wyspa zaroila się
od ludzi z miasta i od policji, która przytrzymała
zwycięskiego Włocha, zwracając mu równocześnie

nie, zgodnie z obowiązującym kodeksem, uwagę, że cokolwiek powie, mogłoby zostać użyte przeciw niemu.

— Nie powiem ani słowa — rzekł z zadziwiającą spokojną twarzą Włoch, opętany swoją wielką, jedyną manją. — Odtąd nic już więcej nie powiem. Czuję się bardzo szczęśliwy i nie mam innego życzenia, jak zostać powieszony.

Zacisnął wargi i dał się w milczeniu odprowadzić. Może się to dziwnem wydawać, a jednak jest prawdą, że nigdy już warg na tym świecie nie rozwarł, za wyjątkiem jedyne go, ostatniego razu, kiedy w sądzie wyrzekł słowa: „Jestem winny“.

Ojciec Brown patrzył na to wszystko — na ogród, który się nagle zaludnił, i na pojmanie mordercy, na usunięcie trupa po odbytych oględzinach lekarskich — patrzył tak, jak się patrzy po przebudzeniu z przykrego snu.

Ojciec Brown znieruchomiał, jak człowiek, którego opętała nocna zmora. Jako świadek całego zajścia, podał swoje nazwisko i adres, ale potem odrzucił prozycję przewiezienia go na drugi brzeg. Pozostał sam w ogrodzie utkwivszy wzrok w złamanym krzaku róży i pasmie zielonej murawy, na którym rozegrała się ta nierozwikłana, zagadkowa tragedia. Blaski zgasły ponad rzeką, nad błotnistym wybrzeżem snuły się opary, kilka spóźnionych ptasząt przeszywało tu i ówdzie powietrze.

Podświadomości Ojca Browna — a władze

podświadome księdza były niezwykle czujne — narzucała się uporczywa, wymykająca się wszelkim słowom pewność, że jednak coś jeszcze pozostało w tej całej sprawie niewyjaśnione. Myśl, która uczepiła się go uparcie, nie dawała się w całej swej rozciągłości zbyć tłumaczeniem „zwierciadlanej fantazji“. Wydało mu się, że to wszystko, czego był świadkiem, nie miało cech realnej rzeczywistości, ale było jakąś niewiadomą zagadką, czy maskaradą. A jednak dla przeprowadzenia szarady nie przeprowadza się żaden człowiek na tamten świat.

Ksiądz usiadł na schodkach przystani i pogryzł się w myślach. Nagle ujrzał długie, ciemne pasmo żaglowca, który zbliżał się bez szmeru, płynąc wdół połyskującej rzeki. Na ten widok zerwał się na równe nogi i doznał tak silnego wzruszenia, że był nieomal bliski płaczu.

— Flambeau! — zawołał i w przystępie radości potrząsał raz po raz rękoma wielce zdumionego przyjaciela, który dobił do brzegu wraz z całym swoim rybackim rynsztunkiem. — Flambeau — ty żyjesz?! Ciebie nie zabili!

— Zabili? — powtórzył rybołowca w najwyższym zdumieniu. — Dlaczegoż miałbym być zabity?

— Dlatego, że prawie wszyscy już zostali zabici! — odrzekł gniewnie ksiądz. — Saradine'a zamordowali! Antonelli chce wisieć, jego matka zemdląca, a co do mnie — sam nie wiem, czy jestem

na tym świecie, czy na tamtym! Ale dzięki Bogu, ty przynajmniej jesteś na tym samym, co ja!

To mówiąc, ujął przerażonego towarzysza za ramię i podążył z nim do bambusowego domu. Kiedy przechodzili pod niskim okapem dachu, zajrzeli znowu do jednego z okien, tak jak wtedy, kiedy przechodzili ścieżką po raz pierwszy. Teraz ujrzeli wewnątrz oświetlone lampą — światło przyciągnęło ich uwagę. W długiej sali stół był nakryty do kolacji, jak wówczas, kiedy morderca Saradine'a spadł, niby strzała piorunu, na wyspę. Teraz jednak kolacja odbywała się w największym spokoju. Pani Anthony, jak zwykle markotna i ponura, siedziała u końca stołu, podczas, gdy naczelne miejsce zajmował majordomus Paul, zając i popijając w najlepsze. Zamglone, niebieskie oczy kamerdynera były dziwnie wybaluszone, a cała jego chuda postać, chociaż nadal zagadkowa i nie docieczona, bynajmniej nie wyrażała niezadowolenia.

Flambeau w przystępie irytacji wstrząsnął oknem, jednym szarpnięciem otworzył je i wsunąwszy głowę do pokoju oświetlonego lampą, krzyknął z oburzeniem:

— To nie do wiary! Można zrozumieć, że się chcecie posilić, ale tak poprostu kraść jedzenie swego chlebowodawcy, podczas kiedy on, zamordowany, leży jeszcze w ogrodzie!

— W mojem długiem i wesołym życiu niejedno już ukradłem — odparł spokojnie dziwny

stary lokaj — ale ta wieczerza i ten ogród i ten dom, należą do mnie.

Jakaś myśl zabłysła na twarzy Flambeau'a — Czy chce pan przez to powiedzieć, że ostatnia woła księcia Saradine...

— To ja jestem księżę Saradine. — powiedział starzec, gryząc solony migdał.

Ojciec Brown, który stał na dworze i patrzył na igry ptaszków, skoczył nagle, jak rażony kulą, i wsadził w okno twarz bladą, jak chusta.

— Co? — pan jest?...

— Paul księżę Saradine — *a vos ordres!* — odpowiedział uprzejmie dostojny osobnik, podnosząc do ust kieliszek wina. — Jak panowie widziacie, wiodę tutaj żywot bardzo spokojny, będąc z natury człowiekiem nietowarzyskim. Właśnie dla mojej skromności nazywają mnie Mr. Paul, w odróżnieniu od mego nieszczęśliwego brata — Stefana. Mój brat, jak się dowiedziałem, zginął przed chwilą w ogrodzie. Oczywiście, nie moja w tem wina, jeżeli wrogowie ścigali go aż tutaj... Miał to do zawdzięczenia wyuzdanemu trybowi swego życia, które było godne pożałowania. Brak mu było domatorskiego zmysłu... to był urodzony awanturnik!...

Po tych słowach popadł w milczenie i znowu utkwiał wzrok w przeciwległej ścianie, ponad pochyloną i ponurą głową kobiety. Teraz ujrzeli wyraźnie rodzinne podobieństwo, które ich tak uporczywie dręczyło, ilekroć patrzyli na zmarłego

księcia. Po chwili barki starca nabrzmiały i zaczęły się trząść, jakgdyby się dusił, ale żółta, koścista twarz ani drgnęła.

— O Boże! — krzyknął Flambeau — on się śmieje!

— Chodźmy stąd! — rzekł śmiertelnie blady Ojciec Brown. — Chodźmy z tego piekielnego domu i wsiadajmy czempredzej do naszej uczciwej łodzi!

Chłodna noc pokryła już zarośla i wody, kiedy odbili od wysepki i w ciemnościach popłynęli wdół rzeki, grzejąc się jedynie dwoma długimi cygarami, które świeciły w mroku, jakby czerwone okrętowe latarnie. Ojciec Brown odjął od ust cygaro i powiedział:

— Przypuszczam, że teraz cała ta sprawa wydaje ci się już jasna? Co prawda — wszystko jest dosyć prymitywne: jeden człowiek miał dwóch wrogów. Był to człowiek mądry — wiedział, że lepiej jest mieć dwóch wrogów, aniżeli jednego...

— Nie rozumiem — odrzekł Flambeau.

— O, to jest całkiem proste, — odpowiedział jego przyjaciel. — Proste, a poza tem jakiegokolwiek — tylko nie niewinne. Saradine'owie to dwa skończone łotry, tylko książę, ten starszy, to typ łotra, który dochodzi do szczytu, a młodszy, kapitan, był jednym z tych, którzy spadają aż na dno. Ten nędzny oficer spadł z żebraka do roli szubrawca. Pewnego dnia, drogą szantażu, uzyskał władzę nad swoim starszym bratem. A to bynajmniej

nie było łatwe, księżę bowiem otwarcie szedł daleko w swoich występkach, a jego reputacja nie miała w oczach towarzystwa już nic do stracenia. Jednem słowem — groził mu stryczek, a Stefan, dosłownie, trzymał u gardła brata sznur. Udało mu się jakimś sposobem poznać całą prawdę zbrodni sycylijskiej, tak, iż był w stanie dowieść z łatwością, że Paul zamordował w górach starego Antonelli'ego. Kapitan przez dziesięć lat żył z pieniędzy, które wyludzał i wymuszał na swoim bracie, aż w końcu wielka fortuna księcia stopniała doszczętnie. Ale księżę Saradine dźwigał jeszcze inne jarzmo, poza swoim bratem, który krew z niego wysysał. Wiedział, że syn Antonelli'ego, dziecko w owym czasie, kiedy księżę dokonał zabójstwa na jego ojcu, wychowywał się w dzikiej sycylijskiej atmosferze zacieklego nieprzejednania tylko na to, aby pomścić ojca. Nie przy pomocy urzędowej szubienicy — bo na to brakło mu prawnych dowodów, które miał w swem ręku jedynie Stefan, ale na prastarej drodze *vendetty*.

Chłopak opanował sztukę władania bronią do mistrzostwa, a kiedy osiągnął wiek, w którym mógł już być skutecznie jej użyć, — wtedy księżę Saradine, jak ci wiadomo, zaczął podróżować. Nie ulega wątpliwości, że zaczął wówczas, w obronie własnego życia — uciekać. Zmieniał jedno miejsce pobytu za drugim, jak ścigany zwierz, a za nim, w ślad szedł nieubłagany myśliwy.

Takie oto było położenie księcia Paula, a nie na-

leżało bynajmniej do przyjemności! Im więcej pieniędzy poświęcał na to, aby ująć pogoni Antonelli'ego, tem mniej ich miał na zamykanie ust Stefanowi. Im więcej dawał bratu, aby go skłonić do milczenia, tem mniejsze miał szanse ucieczki z rąk prześladowcy. W końcu dowiedział, że jest wielkim człowiekiem — genjuszem na miarę Napoleona. Zamiast stawiać opór obu swoim wrogom — oddał się pewnego dnia w ręce obu.

Podobnie, jak zapaśnik japońskiej szkoły — rzucił się na ziemię, a obaj jego przeciwnicy wpadli na siebie.

Prostu, pewnego dnia zaniechał wyścigów dookoła świata i dał co mógł: jednemu zdradził miejsce zamieszkania, drugiemu, bratu — oddał majątek. Posłał mu pieniądze i list, w którym napisał krótko: „Oto jest wszystko, co mi zostało. Zrujnowałeś mnie doszczętnie. Pozostaje mi jeszcze tylko mały domek w Norfolk, z resztą służby i piwnicami — jeżeli i tego chcesz, przyjdź i sam zabierz sobie na własność. Ja będę żył spokojnie przy tobie, jako twój towarzysz, czy twój podwładny, jednym słowem — jak sam zapragniesz“.

To jedno wiedział, że młody Sycylińczyk znał braci Saradine jedynie z fotografii i mógł wiedzieć, że są do siebie podobni i że noszą obaj krótko przyszczyżone siwe bródki. Tedy Paul zgolił brodę i czekał. Zasadzka była przygotowana. Niezszczęsny kapitan odświeżnie odziany, wszedł,

z miną triumfalną do domu — i sam nadział się na szpadę Sycyliczyka.

Ale jeden był w tym rachunku błąd, a ten świadczy dobrze o ludzkiej naturze.

Nikczemnicy, pokroju Saradine'a popełniają często ten błąd, że nie przypisują innym ludziom żadnej zgola cnoty. Saradine uważał za rzecz pewną, że uderzenie, które mu zadał kiedyś Włoch, spadnie z ukrycia i znienacka, podobnie, jak padł cios, który miał być pomszczony. Był pewny, że ofiara Włocha zginie w nocy, od skrytobójczego noża, albo od kuli, która świeźnie skądś, z za krzaka, i że nie padnie w tej sprawie ani jedno słowo więcej.

Toteż straszna chwila nadeszła dla księcia Paula, kiedy Antonelli, w swej wrodzonej rycerskości, zaproponował pojedynek wraz z wszystkimi formalnościami i wszystkimi możliwościami wyjaśnienia prawdy.

Wtedy widziałem go właśnie, jak z dzikim wyrazem w oczach uciekał na swojej łodzi. Uciekał poprostu tak, jak stał, bez okrycia na głowie, w otwartej łódce, zanim się Antonelli zdołał dowiedzieć, kto jest mordercą jego ojca. Ale mimo całe swoje wzburzenie, nie stracił jednej jeszcze nadziei. Znał ich obu: fanatyka i awanturnika. Było dość prawdopodobne, że awanturnik Stefan, będzie milczał dla samej kabotyńskiej przyjemności odegrania nowej roli, dla chęci pozostania w swojej nowej, przytulnej kwaterze, ufny, jak

każdy nicpoń, w swoje szczęście i ufny w swoje szermiercze umiejętności. Pewne zaś było, że fałszyk Antonelli ust nie otworzy przed nikim i raczej da się powiesić, a nie wyda na światło dzienne tajemnic swojej rodziny.

Paul wałęsał się po rzece, dopóki się nie dowiedział, że jest po pojedynku. Potem dopiero zaalarmował miasto, sprowadził policję, przeczeskał, aż usunięto obu jego wrogów, którzy się wzajemnie zniszczyli — i z uśmiechem zasiadł do stołu.

— Z uśmiechem! — niech nas Bóg ma w swojej opiece! — rzekł Flambeau, drżąc na całym ciele. — Czy to szatan naprowadził go na ten pomysł?

— Ten pomysł miał od ciebie — odrzekł ksiądz.

— Boże uchroni! — zawołał Flambeau. — Ode mnie? Cóż to ma znaczyć?

Ksiądz wyjął z kieszeni bilet wizytowy i podniósł go przed ogień żarzącego się cygara — bilet był zapisany zielonym atramentem.

— Pamiętasz, w jak oryginalny sposób zaprosił cię Saradine do siebie? — spytał ksiądz. — Ile podziwu wyrażał dla twoich kryminalnych sprawek? Szczególnie dla tego pomysłu, zapomocą którego sprawiłeś, że jeden detektyw unieszkodliwił drugiego? On tylko skopjował twój trick. Mając wroga u każdego boku, wywinał im się zręcznie z rąk, a oni...

Flambeau wyrwał księdzu bilet Saradine'a i z pasją podarł go na strzępy.

— Oto ostatnie resztki tego starego nikczemnika — zgrzytnął, ciskając drobne strzępy w czarną, tajemniczo falującą wodę rzeki. — Nie dziwiłbym się, gdyby się ryby niemi potruły!

Woda wchłonęła ostatni błysk białego biletu, zapisanego zielonym atramentem. Niebo zaczęło się nieznacznie nasycać liljową mglistością poranka. Księżyc zaszedł w gąszcz wysokich oczekretów. Płynęli w milczeniu.

— Ojcie — spytał nagle Flambeau — jak myślisz — czy to wszystko nie było snem?

Ksiądz wzruszył głową — niewiadomo, czy przytakiwał, czy przeczył, ale nie wyrzekł ani słowa. Poprzez mrok dotarł do nich zapach dzikich róż i dalekich sadów, dając znak, że wiatr się obudził. Po chwilę wzdał się żagiel i rozkołysał czółno. Poniósł ich wdół krętej rzeki, do miejsc szczęśliwszych i siedzib dobrych ludzi.

MŁOT BOGA

Wieś Bohuna Beacon'a leżała na wyniosłym wzgórzu tak, że wysoka wieża kościoła wyglądała zdaleka, jak górski szczyt.

U stóp kościoła znajdowała się kuźnia, w której stale buchały ogniste płomienie i rozrzucone były najróżniejsze młoty i żelaziwo kowalskiego sprzętu. Tuż naprzeciw, powyżej skrzyżowania dróg, stała karczma „Pod niebieskim dzikiem“.

Kiedy w srebrzysto-łutowianych barwach wyłaniać się zaczął dzień, rozmawiali z sobą w tem właśnie miejscu dwaj bracia, którzy się spotkali na drodze, chociaż jeden z nich rozpoczynał był właśnie dzień, a drugi go dopiero kończył.

Czcigodny, wysokiego rodu ksiądz, Wilfryd Bohun, znany ze swej pobożności, udawał się właśnie do kościoła, aby o świcie oddawać się surowym praktykom religijnym i kontemplacji. Jego starszy brat, pułkownik i hrabia Norman Bohun, bynajmniej nie był tak pobożny, siedział we fraku na ławeczce przed „Niebieskim dzikiem“, wychy-

lając — jakby to słusznie rozróżnił myślący obserwator — albo ostatni swój kieliszek z wtorku, albo pierwszy tej środy. O pułkowniku nie da się nic szczególniejszego powiedzieć.

Bohunowie należeli do jednego z nielicznych rodów arystokratycznych, które niewątpliwie wywodziły się z wieków średnich — proporce ich w istocie docierały ongiś do murów Jerozolimy. Ale myli się, kto mniema, że podobne domy przestrzegają ściśle rycerskiej tradycji. Arystokracja trzyma się nie tradycji, lecz mody. Jak to w historii starych rodów często bywa, rozpili się w ciągu ostatnich dwóch stuleci i zdegenerowali zupełnie. aż zaczęto wkońcu przebąkiwać o objawach obłądu. Niewątpliwie też pułkownik był nieomal zwierzęcy w swojej żądzy używania, a jego niezłomne postanowienie niewracania do domu przed rankiem miało coś potwornego w tej swojej przytomnej, trzeźwej, a zacieklej bezsenności. Był to wspaniały okaz rasowego zwierzęcia, już nie młodego, ale o zadziwiająco jasnych, płowych włosach. Ta jego żółta płowość miałaaby coś z lwa, gdyby nie oczy niebieskie, osadzone nieco za blisko siebie, a tak głęboko, że robiły wrażenie czarnych. Wąs miał również płowy; od wąsa aż po szczękę szły głębokie bruzdy, nadające twarzy wyraz sztydery. Na frak miał zarzucony oryginalny płaszcz o żółtym odcieniu, który krojem swym nadawał się raczej na szlafrok, niż na okrycie, na głowie zaś miał dziwaczny, jasnozielony kapelusz o szerokich

krysach, który nosił od czoła i który prawdopodobnie kupił gdzieś przygdnie, jako orjentalne *curiosum*. Pułkownik dumny był niewymownie z tego stroju, w którym poszczególne części kłóciły się ze sobą — dumny z tego, że na jego osobie strój ten jednak był — harmonijny.

Brat jego, wikary, miał również płowe włosy i wyglądał również wytwornie, ale czarna jego suknia zapięta była pod samą brodę rzędem guzików. Twarz miał wygoloną, starannie wypielegnowaną i zlekka nerwową. Robił wrażenie człowieka, który niczego nie widzi poza religją. Przy tem wszystkim twierdzili niektórzy, ponoś kowal, który był prezbiterjaninem, że była to raczej adoracja gotyckiej architektury, aniżeli Boga, i że kiedy ksiądz, jak duch jaki, błakał się po kościele, to była to tylko inna, czystsza forma owej chorobliwej żądzy piękna, która brata jego rzuciła w objęcia kobiet i szaleństwo trunku.

Zarzut powyższy był dość wątpliwy, podczas gdy pobożność księdza nie mogła w istocie ulegać żadnej wątpliwości. Zarzut był też po największej części wynikiem nieporozumienia. Ignorancja, nie uznająca tęsknoty do samotności i poufnej modlitwy, nie mogła też zrozumieć tego, że nieraz widziano księdza klęczącego, nie przed ołtarzem, jak to jest w zwyczaju, ale w szczególnych zakątkach kościoła — gdzieś w krypcie, na galerji, a nawet w dzwonnicy.

W tej właśnie chwili zamierzał ksiądz udać

się przez dziedziniec kuźni do kościoła, ale nagle przystanął i zlekka zmarszczył brwi na widok brata, którego zapadłe oczy patrzyły w tym samym, co on, kierunku. Był daleki od tego, aby łudzić się przypuszczeniem, że brat jego ogląda kościół. Pozostawało przypuszczenie, że obserwuje kuźnię, a chociaż kowal był purytaninem i nie był z jego parafji, Wilfryd Bohun słyszał był już o różnych awanturach w związku z piękną i powszechnie znaną żoną kowala. Kiedy podejrzliwem okiem objął kuźnię, pułkownik powstał i z uśmiechem podszedł do brata.

— Dzień dobry, Wilfrydzie! — rzekł. — Jako dobry dziedzic rzekam się dobrowolnie snu, aby czuwać nad moim ludem. Właśnie mam zamiar odwiedzić kowala.

Wilfryd spuścił oczy i odparł:

— Kowala niema w domu — jest dziś w Grenford.

— Wiem o tem! — zaśmiał się tamten bezdźwięcznie. — Dlatego właśnie go odwiedzam.

— Normalnie, — rzekł duchowny, utkwivszy wzrok w przydrożnym kamieniu — czy ty nie bałeś się nigdy uderzenia piorunu?

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytał pułkownik. — Czy twoim najnowszym sportem jest meteorologia?

— Zastanawiam się nad tem, czy nie wpada ci nigdy na myśl, że Bóg mógłby cię zgładzić tutaj,

na gładkiej drodze? — rzekł Wulfryd, nie podnosząc oczu.

— Przepraszam cię bardzo — odrzucił pułkownik — widzę, że najnowszym twoim sportem jest folklor...

— A twoim bluźnierstwo! — odparł ksiądz, ugodzony w najczulszą i najżywotniejszą strunę. — Ale jeżeli nie boisz się Boga, to masz wszelkie powody, aby bać się człowieka!

Starszy brat podniósł brwi.

— Bać się człowieka? — zapytał.

— Kowal Barnes jest najsilniejszym i największym mężczyzną na przestrzeni czterdziestu mil! — odpowiedział ksiądz surowo. Wiem, że nie jesteś tchórzem, ani karłem, ale on przerzuciłby cię z łatwością przez ten mur.

Argument, niepozbawiony słuszności, przemówił snąć pułkownikowi do przekonania, albowiem oblicze jego nagle pociemniało i sfałdowało się w jeszcze głębsze bruzdy. Przez chwilę stał z wyrazem szyderstwa na twarzy. Ale po chwili odzyskał swój odrażająco dobry humor i roześmiał się, pokazując pod płowym wąsem dwa rzędy dużych wilczych zębów.

— Dlatego też, mój drogi Wilfrydzie — oznajmił niedbale — ostatni z Bohunów był na tyle przezorny, iż na spotkanie wybrał się — że się tak wyrażę — uzbrojony.

To mówiąc zdjął z głowy swój dziwaczny zielony kapelusz, aby pokazać, że był podbity stają.

W istocie, Wilfryd poznał w nim hełm chiński, czy japoński, który wisiał pomiędzy innemi trofeami w starym rodzinnym hallu.

Wziąłem pierwszy lepszy kapelusz, jaki był pod ręką, — objaśniał lekceważącym tonem swego brata. — Zawsze najbliższy kapelusz — i najbliższa kobieta.

— Zwracam ci uwagę, że kowal jest obecnie w Greenford — odpowiedział Wilfryd spokojnie — ale może każdej chwili nadejść.

To mówiąc, odwrócił się i z pochyloną ku ziemi głową skierował kroki do kaplicy, żegnając się znakiem krzyża, jakgdyby chciał odpędzić złego ducha. W chłodnym mroku wyniosłego gotyckiego kościoła pragnął czem prędzej zapomnieć o prostactwie brata, ale najwidoczniej chciało przeznaczenie, aby drobne, niespodziewane wstrząsy uniemożliwiły mu tego ranka spokojne odbycie religijnych praktyk.

Zaledwie wszedł do kościoła — który zazwyczaj o tak wczesnej godzinie bywał pusty — kiedy jakaś postać zerwała się z klęczek na nogi i szybkimi krokami weszła w światło, padające przez rozwarte odrzwia. Na ten widok ksiądz przystanął zdumiony. Owym wczesnym gościem domu Bożego nie był nikt inny, jeno wiejski kretyń, sostrzeniec kowala, istota, która nie mogła mieć szczególnego zamiłowania, ani do kościoła, ani do czegokolwiek innego.

Nazywano go powszechnie „głupi Jasio“ i zda-

wało się, że innego imienia nie posiada. Był to smagły chłopak, wiecznie ponury, o tępej, wdół zwieszanej bladej twarzy, czarnych nastroszonych włosach i szeroko rozdziawionych ustach. Kiedy mijał księdza, trudno było z bezmyślnego wyrazu i postawy odgadnąć, co robił w kościele i o czym myślał. Jak wiadomo, nie modlił się nigdy przedtem — jakież to modlitwy teraz odmawiał? Zaprawdę, musiały być niezwykle.

Wilfryd Bohun jakgdyby wrósł w ziemię ze zdumienia. Widział, jak głuptas wyszedł z kościoła na słońce i jak rozpustny pułkownik przywoływał go wesołym skłonieniem ręki. Ujrzał jeszcze, jak pułkownik rzucał w głupiego Jasia kilkoma miedzakami, chcąc go widocznie trafić w rozdziawioną gębę.

Ten szpetny „obraz w słońcu“ — obraz ludzkiego okrucieństwa i ludzkiej głupoty — zapędził ascetę zpowrotem do modlitwy dla oczyszczenia duszy i skierowania myśli na inne tory. W tym celu wszedł na galerję i usiadł w krześle pod witrażowym oknem, do którego miał szczególne upodobanie i które zawsze koło jego ducha.

Niebieskie okno, na niem anioł niosący lilje! U stóp jego zaczął blednąć przykry obraz — sina twarz i rybie usta idjoty. I przygasać poczyniała myśl o wyrodnym bracie, który, jak zgłodniały lew, krążył koło ofiary w swoim ohydny głodzie. Powoli zatapiał się Wilfryd Bohun coraz głębiej w

owych zimnych a słodkich kolorach srebrnego kwiecia i szafirowego nieba.

Tutaj zastał go też w pół godziny później Gibbs, wiejski łaciarz, którego w pilnej sprawie posłano po księdza. Ksiądz zerwał się z krzesła bez chwili wahania, wiedząc, że dla błażej przychyny nie byłby Gibbs przyszedł. Gibbs bowiem był, jak wielu innych w tej wiosce, ateistą, toteż pojawienie się jego w kościele było jeszcze większem wydarzeniem, niż zjawienie się głupiego Jasia.

Był to dzień teologicznych enigmatów.

— Co się stało? — zapytał ksiądz dość surowo, ale jednocześnie sięgnął drżącą ręką po kapelusz.

Ateista przemówił tonem, jak na niego, zdumiewająco pokornym, a nawet, poniekąd — zlekka współczującym.

— Ksiądz dobrodziej raczy wybaczyć — rzekł ochrypłym szeptem — ale sądziliśmy, że należy go natychmiast zawiadomić — stało się coś strasznego — szanowny brat — —

Wilfryd chwycił go za chude ręce.

— Co takiego?! — Czy znowu wpadł na jakiś szatański pomysł? — zawołał w mimowolnem oburzeniu.

— Jakoś mi się wydaje, że ani nie wpadł, ani już nigdy nie wpadnie... Zdaje mi się, że już po nim — ot, lepiejby ksiądz dobrodziej zrobił, gdyby

zeszedł czem prędzej nadół, — odpowiedział łaciarz, pokaszlując.

Ksiądz wikary szybkim krokiem zaczął schodzić za łaciarzem wdół, aż doszli do drugich drzwi, które znajdowały się wysoko ponad drogą. Jednym błyskiem spojrzenia ogarnął Bohun cały dramat, leżący płasko, jak na dłoni, przed jego oczyma.

Na dziedzińcu kuźni stała grupa pięciu, czy sześciu ludzi, przeważnie czarno ubranych. Jeden z nich miał na sobie mundur inspektora. Był tam lekarz, pastor presbiterjański, oraz ksiądz z rzymsko-katolickiej parafji, do której należała żona kowala. Ksiądz rzymsko katolicki mówił do niej właśnie półgłosem, podczas gdy ona, typ pięknej kobiety o miedzianych włosach, siedziała na ławie i zalewała się łzami.

Pomiędzy temi dwiema grupkami ; widocznie w pewnej odległości od stosu porozrzucanych młotów, leżał w całej swojej rozciągłości mężczyzna we fraku, zwrócony twarzą do ziemi.

Ze wzniesienia, na którem się znajdował, mógł być Wilfryd pod przysięgą rozpoznać tożsamość ubrania i wyglądu ofiary w każdym szczególe — aż do Bohunowych pierścieni na palcach. Jedynie czaszka leżącego mężczyzny stanowiła jedną potworną plamę, niby czarna i krwawa gwiazda.

Wilfryd Bohun raz tylko rzucił okiem ; zbiegł po stopniach na dziedziniec. Doktor, który był ich domowym lekarzem, przywitał go, ale ksiądz go prawie nie zauważył. Z trudem tylko wybełkotał:

— Mój brat nie żyje! co to znaczy, co — znaczy — ta straszna — zagadka?

Ponure milczenie było jedyną odpowiedzią; w końcu łaciarz, bardziej od innych skory do mówienia, odparł:

— Wiele potworności, proszę księdza dobrodzieja — ale niewiele zagadkowości.

— Co to ma znaczyć? — zapytał Wilfryd, blady jak chusta.

— To całkiem proste, — odparł Gibbs. — Jest tylko jeden człowiek na przestrzeni czterdziestu mil, któryby potrafił zadać podobny cios, i ten człowiek miał po temu dość powodów.

— Nie możemy niczego przesądzać, — wtrącił trochę nerwowym głosem doktor, wysoki mężczyzna z czarną bródką. — W każdym razie, jako lekarz, jestem upoważniony nawijać do tego, co mówi Gibbs.

— Jeżeli chodzi o rodzaj uderzenia — jest ono poprostu niewiarygodne. Gibbs powiada, że jeden jest tylko człowiek w powiecie, któryby tego potrafił dokonać. Co do mnie, jestem przekonany, że takiego człowieka niema!

Dreszcz zabobonu wstrząsnął ciałem księdza.

— Tego nie mogę pojąć — rzekł.

— Mr. Bohun — cichym głosem odezwał się doktor — nie umiem używać metafor. Moje porównanie będzie niewspółmierne, jeżeli powiem, że czaszka została rozbita na miazgę jak skorupa.

Ułomki kości utkwily w cieie i w ziemi, jak pociski w murze z błota. To musiała być ręka olbrzyma.

To powiedziawszy, zamilkł na chwilę, patrząc posepnie poprzez szkła okularów; poczem dodał:

— Ta okoliczność ma jedną dodatnią stronę, a mianowicie tę, że z miejsca uwalnia większość ludzi od podejrzenia. Gdyby ksiądz dobrodziej, albo ja, albo którykolwiek normalnie zbudowany mężczyzna w tej okolicy był oskarżony o zbrodnię, zostalibyśmy uwolnieni, jak dzieci zostałyby uniewinnione z zarzutu ukradzenia kolumny Nelsona.

— To samo właśnie twierdzę, — powtórzył natrętnie łaciarz. — Jest tylko jeden człowiek, któryby mógł i chciał to uczynić. Gdzie jest kowal Barnes?

— Tam daleko, w Greenford — szepnął wikary.

— A może we Francji? — mruknął ironicznie łaciarz.

— Nie, niema go ani tu, ani tam — odczwał się jakiś nieznaczný, bezbarwny głos. Był to głos owego rzymsko katolickiego księżuika, który przyłączył się do ich grupy. — Jeżeli chodzi o ścisłość, widzę go właśnie idącego tam w dół.

Mały księżulek ze swojemi brunatnemi, szczeciastemi włosami i krągłą tępą twarzą — nie wyglądał na nic szczególnego. Ale gdyby nawet był piękny, jak Apollo — w tej chwili nikt nie zwróciłby nań uwagi. Wszyscy, jak na dany znak, obejrzeli się za siebie i gapili się na ścieżkę, która

wiła się w dole poprzez równinę. W istocie — stąpając krokiem olbrzyma, szedł ścieżką z młotem zarzuconym na bark, kowal wiejski — Simeon.

Był to ogromny mężczyzna, kościsty i barczysty, o głębokich, ciemnych oczach i ciemnej brodzie. Szedł w towarzystwie dwóch ludzi, z którymi rozmawiał spokojnie, a chociaż nigdy nie okazywał szczególnej wesołości, czynił wrażenie człowieka spokojnego i pogodnego.

— Boże mój — krzyknął łaciarz ateista, — oto młot, którym to zrobił!

— Nie,—odparł inspektor, człowiek o rozumnej twarzy, z jasnym wąsem, odzywając się po raz pierwszy, — młot, którym to zrobił, leży tam, tuż przy murze kościelnym. Zastaliśmy go tam przy trupie — leży dotąd nienaruszony.

Na te słowa wszyscy odwrócili głowy, tylko mały księżulek podszedł bliżej i w milczeniu patrzył na młot, który leżał na ziemi. Był to mały i lekki młoteczek, który nigdyby nie zwrócił uwagi, gdyby na jego żelaznej krawędzi nie była widoczna krew i kosmyk żółtych włosów.

Po chwili milczenia mały ksiądz przemówił, nie podnosząc oczu — tylko w bezbarwnym jego głosie można było wyróżnić nowy ton.

— Gibbs popełnił drobną omyłkę, twierdząc, że niema w tem wszystkim zagadki. Ja przynajmniej dostrzegam jedną zagadkę—dlaczego miałby człowiek tak wielki zadać tak wielki cios — tak małym młotkiem?

— Ale! Mniejsza o to! — zawołał podniecony Gibbs. — Co należy zrobić z Simeonem Barnesem?

— Zostawić go w spokoju — odpowiedział łagodnie ksiądz. — On tu i tak nadchodzi. Znam zresztą obu tych ludzi, którzy z nim idą — są to dwaj pocziwcy z Greenford. Przychodzą tu w sprawie kaplicy prezbiterjańskiej.

— W chwili, w której wyrzekł te słowa, kowal skręcił właśnie na rogu kościoła i ruszył już prosto ku kuźni. Kiedy wszedł na dziedziniec, przystanął, a młot wypadł mu z ręki. Inspektor, który zachowywał zupełne panowanie nad sobą, zbliżył się do niego natychmiast.

— Nie będę się pana pytał, panie Barnes — zaczął spokojnie — czy panu cośkolwiek wiadomo o tem, co zaszło, czy nie. Nie jest pan obowiązany mówić. Mam nadzieję, że pan o niczem nie wie i że będzie pan mógł to udowodnić. Ale będąc zmuszonym trzymać się ściśle litery prawa, aresztuję pana w imieniu Jego Królewskiej Mości za zamordowanie pułkownika Normana Bohuna.

— Nie jesteście obowiązani do mówienia — rzekł natrętny łaciarz podnieconym głosem. — Oni muszą mieć na wszystko dowód. Narazie nie dowiedli jeszcze, że ta rozbita głowa należy do pułkownika Bohuna.

— Temu nie da rady — rzekł doktor na boku do księdza — toby się zaledwie nadawało do noweli kryminalnej. Jako domowy lekarz pułkownika, znałem jego ciało lepiej od niego samego. Ręce

miał bardzo piękne, ale znamienne było to, że drugi i trzeci palec były tej samej długości. O! nie ma wątpliwości, że to jest pułkownik.

I kiedy przy tych słowach spojrzął na trupa obryzganego mózgiem, stalowe oczy znieruchomiałego kowala podążyły za nim i także spoczęły na trupie.

— Więc pułkownik Bohun nie żyje? — zapytał najspokojniej w świecie kowal. — W takim razie jest potępiony.

— Cicho bądź! cicho bądź! — zawołał łaciarz ateista, omal nie tańcząc w ekstazie uwielbienia dla angielskiego kodeksu prawnego — albowiem nikt nie jest tak legalny, jak dobry sekularysta.

Kowal zwrócił ku niemu dostojną twarz fanatyka i rzekł:

— To wy, niewierni, możecie się wykręcać, jak lisy, ponieważ świecka ustawa was chroni, ale Pan Bóg ma Swojego w Swojej pieczy, jak się o tem dziś jeszcze przekonacie!

To powiedziawszy, wskazał palcem na zwłoki pułkownika i zapytał:

— Kiedy zdechł ten pies za swoje grzechy?

— Hamujcie wasze słowa! — rzekł doktor.

— Pohamujcie słowa biblji, to ja swoje pohamuję. Kiedy on zginął?

— O szóstej rano widziałem go jeszcze przy życiu — wyjąkał Wilfryd.

— Bóg jest dobry — rzekł kowal. — Panie inspektorze, nie mam nic przeciw temu, by mnie

pan aresztował — co najwyżej pan może się tego wyrzec sam. Chętnieby także opuścił to miejsce bez cienia plamy na moim honorze. Ale pan będziesz zgrzytał zębami, gdy przyjdzie opuścić to podwórko z czemś, co będzie przeszkodą w pańskiej karierze.

Po raz pierwszy lojalny inspektor zmierzył kowala bystrem okiem, podobnie, jak uczynili wszyscy, za wyjątkiem małego osobliwego księdza — ten ciągle jeszcze przyglądał się małemu młotkowi, który zadał tak straszny cios.

— Za tem ogrodzeniem stoj dwóch ludzi — ciągnął dalej z niezwykłą przytomnością umysłu kowal — dwóch godnych obywateli z Greenfordu, których panowie wszyscy znacie. Oni przysięgną, że widzieli mnie wczoraj od północy aż do świtu i jeszcze długo później w sali posiedzeń naszej Misji Religijnej, która obraduje przez całą noc, aby zbawić dusze. W samym Greenford dwudziestu ludzi przysięgłoby na to samo. Gdybym był poganinem, pane inspektorze, przyprawiłbym pana o klęskę. Ale jako chrześcijanin, poczuwam się do obowiązku zwrócenia pańskiej uwagi na pewne możliwości i szanse dla pana, i zapytam, czy chce pan usłyszeć moje alibi tu czy w sądzie?

Po raz pierwszy inspektor zdawał się być poruszony.

— Oczywiście — rzekł — byłbym rad oczyścić pana na miejscu z zarzutów.

Na te słowa kowal, tym samym długim i wol-

nym krokiem wyszedł na drogę i wrócił po swoich dwóch towarzyszy z Greenford, którzy istotnie znali się doskonale z wszystkimi prawie tu obecnymi. Obaj powiedzieli parę słów, w które nikt nie wahał się wątpić. Kiedy skończyli, niewinność Siameona była tak niezachwiana, jak niezachwiany wielki kościół nad ich głowami.

Nastąpiło owo milczenie, które jest trudniejsze do zniesienia i bardziej niesamowite od słów.

Ni stąd, ni zowąd — aby tylko przerwać milczenie — ksiądz wikary odezwał się do katolickiego księdza:

— Jak widzę, ten młotek przykuwa jakoś dziwnie waszą uwagę, Ojcie Brown?

— Tak, w istocie — odpowiedział Ojciec Brown. — Zastanawiam się nad tem, dlaczego młotek jest taki mały?

Doktór jednym skokiem był przy nim.

— Na Jowisza — to prawda! — zawołał. — Któż użyłby małego młotka, skoro dziesięć dużych ponieważ się dokoła?

Potem, zniżając głos, szeptał wikaremu do ucha:

— Tylko ktoś, kto nie potrafiłby unieść dużego młota! W sprawach dotyczących mężczyzny i kobiety, nierozchodzi się nigdy ani o siłę, ani o odwagę. Jest to poprostu kwestja pierwszego porwy. Odważna kobieta potrafi popełnić dziesięć zbrodni lekkim młotkiem i ani przytem drgnie!

Ale nie potrafiłaby uśmiercić ciężkim młotem chrabąszcza!

Wilfryd Bohun spojrzał na doktora wzrokiem zahipnotyzowanego, podczas gdy Ojciec Brown słuchał uważnie i w skupieniu, głowę zlekka przechyliwszy w bok. Doktor ciągnął dalej, kładąc większy nacisk na każde słowo:

— Dlaczego ci idjoci zawsze twierdzą, że jedyną osobą, która nienawidzi kochanka żony, jest mąż żony? Dziewięć razy na dziesięć, osobą, która najbardziej nienawidzi kochanka żony — jest żona sama. Kto wie, jak nikczemnie, albo zdradziecko on z nią postąpił? Spójrzcie tam, moi panowie — tu wskazał zwinnym ruchem ręki miedzianowłosą kobietę na ławce. Teraz uniosła już ona głowę zlekka w górę, a łzy zwolna osychały na jej uroczej twarzy. Ale oczy, jak martwe, z błędnym wyrazem spoczywały na trupie.

Ksiądz Bohun uczynił ruch, jakgdyby chciał odegnąć od siebie wszelką chęć dowiedzenia się prawdy. Ale ksiądz Brown, strzepując z rękawa popiół, który naniósł wiatr z kuźni, odezwał się z wrodzoną sobie pozorną obojętnością:

— Doktorze! jesteś pan taki sam, jak inni lekarze: pańska wiedza duchowna jest przekonywująca, natomiast niedopuszczalna jest pańska wiedza fizykalna. Zgadzam się na to jedno, że kobieta bardziej pożąda śmierci współwinnego niżli pokrzywdzony. I na to się zgodzę, że kobieta zawsze chwyci raczej za młotek, niż za młot. Ale jest tu

trudność natury czysto fizycznej: żadna żyjąca kobieta nie potrafiłaby rozplatać mężczyźnie czaszki w ten sposób, jak tutaj widzimy — na miazgę. Po chwili dodał w zamyśleniu: oni wszyscy nie dostarli do samej istoty sprawy. Rzecz ma się tak, że zmarły miał na sobie żelazny hełm, który przez uderzenie rozsypał się na szczyrby jak szkło. Proszę teraz spojrzeć na tę kobietę — na te ramiona!...

Znowu zapanowało milczenie, potem rzekł do którego zgorzkniałym głosem:

— Zresztą, może się mylę; i tu znajdują się względy, sprzeciwiające się mojemu twierdzeniu. Ale ja jeszcze raz wracam do zasadniczego punktu i przy nim trwam. Tylko jakiś idjota porwałby ten mały młotek, mając duży pod ręką.

Ledwie skończył, gdy Bohun chudem i drżącymi rękami sięgnął do głowy i chwycił się oburącz za kosmyki żółtych włosów. Ale po chwili opuścił ręce wdół i zawołał:

— To jest to słowo, którego potrzebowałem! Pan to słowo wymówił!

Potem ciągnął dalej, opanowując zdenerwowanie:

— Słowa, które pan wymówił brzmiały: tylko jakiś idjota porwałby ten młotek, mając pod ręką duży młot.

— Tak — odparł doktor — i cóż z tego?

— To, że nikt inny nie mógł tego popełnić, tylko idjota — odpowiedział wikary.

Zebrani wlepili w niego nieruchome oczy, pod-

czas gdy on mówił dalej w jakimś gorączkowym podnieceniu.

— Jestem księdzem — zawołał w najwyższym rozdrażnieniu — a ksiądz nie powinien powodować rozlewu krwi. To znaczy że — nie powinien nikogo zapędzać na szubienicę. Teraz Bogu niech będą dzięki za to, że widzę już wyraźnie zbrodniarza, — ponieważ jest to zbrodniarz, którego nie można zaprowadzić na śmierć.

— Czy ksiądz dobrodziej nie wyjawi jego nazwiska? — zapytał doktor.

— Jeżeli nawet wyjawię, nie będzie mógł być powieszony — odparł Wilfryd z dzikim, ale dziwnie szczęśliwym uśmiechem. Dziś rano, kiedy wszedłem do kościoła, zastałem tam modlącego się obłąkańca — tego biednego Jaśka, który całe życie był niespełna rozumu. Bóg raczy wiedzieć, o co się modlił, ale nietrudno przypuścić, że modlitwa, którą odmawia takie osobliwe stworzenie, jest też osobliwa. Wydaje się tedy dość prawdopodobne, że warjat modlił się przed popełnieniem zbrodni. Kiedy ostatni raz obejrzałem się za biednym Jaśkiem, stał właśnie, obok mego brata. Brat mój czytał sobie zeń drwinki.

— Na Jowisza — zawołał doktor — nareszcie widzę jakiś sens! Ale jak to sobie wytłumaczyć?

Ksiądz Bohun drżał niemal z podniecenia na samą myśl, że wreszcie prawda zaświtała, i zawołał rozgorączkowanym głosem:

— Jakże to! czyż nie widzicie? Jest to jedyna

teorja, która pokrywa się z oboma sprzecznymi faktami i daje rozwiązanie obu zagadek. Owe dwie zagadki to mały młotek i silne uderzenie. Kował mógłby być zadać silny cios, ale nie byłby wybrał małego młotka. Jego żona, na odwrót, byłaby może wybrała młotek, ale nie byłaby zadała takiego ciosu. Ale warjat mógł dokazać jednego i drugiego. Co do młotka — przecież to był właśnie warjat, który byłby chwycił za pierwszy lepszy przedmiot. A jeżeli chodzi o silne uderzenie — czy nie wiadomo wam, doktorze, że manjak w przystępie paroksyzmu może mieć siłę dziesięciu ludzi?

Doktór westchnął głęboko i rzekł:

— Na Boga! zdaje mi się, że ksiądz trafił w samo sedno rzeczy.

Ojciec Brown utkwiał wzrok w mówiącego i patrzył weń tak długo i tak intensywnie, jakgdyby chciał dowieść, że jego duże szare oczy nie były tak zupełnie bez wyrazu, jak reszta jego twarzy.

Kiedy nastało milczenie, rzekł głosem, w którym brzmiał głęboki szacunek:

— Mr. Bohun, pańska hipoteza jest — z pośród dotąd przedstawionych — taką, że pod każdym względem dałoby się utrzymać i zasadniczo nie daje się obalić. Dlatego sędzę, że zasłużył pan na to, abym — na podstawie tego, co mi pozytywnie jest wiadome — oświadczył, że pańska hipoteza nie jest prawdziwa. — Po tych słowach mały księżulek oddalił się i znowu zatopił wzrok w młotku.

— On zdaje się wiedzieć o tem więcej, niż powinien — szepnął złośliwie doktor do Wilfryda.
— Ci księża papiescy mają djabła za skórą!

— Nie, nie — odrzekł Bohun bezmiernie zmęczonym głosem — to warjat zrobił! To warjat zrobił!

Grupa złożona z obu księży i doktora, odłączyła się była od grupy urzędowej, w której znajdował się inspektor, oraz człowiek niedawno przezeń aresztowany. Obecnie, kiedy się rozeszli, zaczęli słuchać, co też mówią tamci? Wikary obrzucił ich spojrzeniem, a kiedy zpowrotem opuścił oczy, usłyszał głośne słowa kowala:

— Spodziewam się, że przekonałem pana, panie inspektorze? Słusznie pan zauważył, że jestem silnym człowiekiem, ale nie potrafiłbym nigdy rzucić młotkiem z Greenford do kuźni! Mój młot nie ma skrzydeł, aby mógł przelecieć pół mili, ponad pola, płoty i zagrody!...

Inspektor uśmiechnął się przyjaźnie i rzekł:

— Nie, zdaje mi się, że można pana istotnie wykluczyć z całej tej afery, chociaż nie widziałem jeszcze tak dziwnego zbiegu okoliczności. Mogę tylko prosić, aby zechciał nam pan dopomóc w odnalezieniu człowieka tak rośłego, jak pan. Zaprawdę — przydałby się nam pan bodaj do samego przytrzymania go! Przypuszczam, że nie ma pan na nikogo podejrzenia?

— Może i mam — odrzekł kowal bladej na twarzy — ale to nie jest męczyzna, — a widząc, że

przerażone oczy wszystkich kierują się na jego żonę, położył swoje przeogromne ramiona na jej ramieniu i rzekł:

— Kobieta także nie.

— Jak to pan rozumie? — zapytał z humorem inspektor. — Pan chyba nie przypuszcza, aby krowy używały młotka, — czyż nie tak?

— Zdaje mi się, że żadna żywa istota nie miała tego młotka w ręku — zauważył kowal stłumionym głosem, — mówiąc po ludzku, zdaje mi się, że ten człowiek zginął sam.

Wilfryd gwałtownym ruchem postąpił krok naprzód i wlepił w niego płonące oczy.

Wtem odezwał się łaciarz:

— Słuchaj Barnes, a więc ty przypuszczasz, że młot sam z ziemi się porwał i powalił pułkownika?

— O, wy możecie, panowie, patrzeć i kpić sobie! — krzyknął Simeon. — Wy, księża, którzy opowiadacie nam w niedzielę, jak to wpośród ciszy Pan nasz zgładził Semacheryba! Ja wierzę, że Ten, który sam niewidzialny zaziera w głąb każdego domu, obronił mój honor i uśmiercił nikczemnika przed progiem moich drzwi! Wierzę, że siła, która była w tem uderzeniu, była taką samą siłą, jaka jest w trzęsieniu ziemi — ani o krztę mniejsza!

Na to rzekł Wilfryd, głosem nie dającym się zgoła opisać:

— To ja sam mówiłem dzisiaj Normanowi, aby się strzegł pioruna!

— Ten czynnik usuwa się z pod mojej kompetencji... zauważył inspektor, uśmiechając się zlekka.

— Ale pan wchodzisz w zakres kompetencji Jego! — odciął się kowal. — I to pan zważ!

To powiedziawszy, obrócił się na pięcie i wszedł do domu.

Wilfryd, wstrząśnięty do głębi, dał się poprowadzić Ojcu Brownowi, który potrafił znaleźć dlań ton łagodny i przyjacielski.

— Opuśćmy to miejsce pełne grozy — przemówił do niego — czy mogę odwiedzić pański kościół? Słyszałem, że jest to jeden z najstarszych kościołów w Anglii. Nas, jak panu wiadomo, trochę to zajmuje — te stare anglikańskie kościoły — dodał z zabawną miną na twarzy.

Wilfryd Bohun nie zdobył się na uśmiech — wszak humor nie był nigdy jego siłą. Ale skinięciem głowy okazał swą gotowość zaprowadzenia Ojca Browna do kościoła. Czuł się w swoim właściwszym żywiole, kiedy mógł pokazywać komuś przepych owego gotyku — komuś, kogo, według wszelkiego prawdopodobieństwa, bardziej to zajmowało, niż, dajmy na to, prezbiterjańskiego kowala, czy ateistycznego łaciarza.

— Spróbujmy wejść od tej strony — rzekł i ruszył naprzód, ku wyżej położonym drzwiom kościoła, do których prowadziło parę stopni.

Ojciec Brown wszedł właśnie na pierwszy stopień, kiedy uczuł, że ktoś zdaleka dotknął jego ramienia, a skoro się obejrzał, ujrzał chudą, ciemną postać doktora, którego twarz, na skutek podejrziwości, pociemniała jeszcze bardziej.

— *Sir* — rzekł szorstko lekarz — pan zdaje się więcej wiedzieć o tej nieczystej sprawie. Ośmielam się zapytać, czy pan zamierza zachować tajemnicę dla siebie?

— Mój doktorze — odparł Brown z dobrodusznym uśmiechem — istnieje bardzo poważny powód, dla którego człowiek mego zawodu zachowuje dla siebie rzeczy, których nie jest zupełnie pewny — mianowicie ten powód, że jest stale jego obowiązkiem zachowywać dla siebie rzeczy, o których posiada zupełną pewność. Ale jeżeli pan uważa, że wobec pana, albo kogokolwiek innego zachowałem niegrzeczne milczenie — gotów jestem dotrzeć aż do ostatecznej granicy mego zwyczajnego postępowania: dam panu dwie ważne wskazówki.

— Słucham — odezwał się ponuro doktor.

— Po pierwsze — zaczął Ojciec Brown spokojnie — cała sprawa leży najzupełniej w zakresie pańskiej wiedzy. Jest to kwestja wiedzy fizykałnej. Kował jest w błędzie — może nie dlatego, że pochodzenie ciosu przypisuje wprost Panu Bogu, ale niewątpliwie dlatego, że wyraził się, iż cios ten wziął się jakoby z cudu. To nie był cud, doktorze — chyba o tyle, o ile człowiek sam w sobie jest

cudem, człowiek ze swoim sercem dziwnem, grzesznem a jednak heroicznem. Siła, która zgruchotała czaszkę, była siłą dobrze uczonym znaną — wywodzi się z jednego, z najdokładniej zgłębionych praw przyrody.

Doktór, zmarszczywszy brwi, przysłuchiwał się z uwagą słowom księdza — potem spytał:

— A druga wskazówka?

— *Druga jest następująca: Czy pamiętasz, doktorze, jak kowal — chociaż wierzy w cuda — wyraził się z lekceważeniem o niewiarygodnej bajce, jakoby młot jego miał skrzydła i mógł przelecieć pół mili ponad okolicą?*

— Tak. Pamiętam.

— Otóż ta bajka, — dodał Ojciec Brown z szerokim uśmiechem — z pośród wszystkich tych prawd, o których dzisiaj była mowa — najbardziej jest bliska istotnej prawdy.

Po tem oświadczeniu odwrócił się i po schodkach podążył wślad za wikarym.

Ksiądz Wilfryd, który oczekiwał go blady i zniecierpliwiony, jakgdyby ta drobna zwłoka dopełniła już miary jego nerwowej wytrzymałości, poprowadził go bez namysłu do swego ulubionego zakątka — tej części galerji, która wiodła pod rzeźbionym stropem, rozświetlona kolorami cudownego witrażu z aniołem.

Mały księżulek katolickiego kościoła oglądał i badał wszystko wyczerpująco, gawędząc pogodnie, choć nie podnosząc przez cały czas głosu.

W trakcie zwiedzania kościoła, natknął się na boczną bramę i kręcone schody, po których Wilfryd zleciał był nadół, aby ujrzeć zwłoki swego brata. Ojciec Brown nie skierował się wdół, ale z małą zwinnością pobiegł nagle na górę. Natychmiast zabrzmiał z górnego tarasu jego srebrny głos:

— Mr. Bohun, proszę wejść tu na górę, świeże powietrze dobrze panu zrobi.

Bohun podążył za głosem, aż dotarł w końcu do kamiennej galeryjki, czy balkonu, zawieszonego zewnątrz budynku. Rozpościerał się stąd widok na bezbrzeżną równinę, zalesioną od stóp wzgórza, aż hen, po purpurowy widnokrąg i nakrapianą gdzie niegdzie wioskami i folwarkami. W dole, pod nogami, można było rozeznąć najwyraźniej kwadratową zagrodę kowala, na której inspektor wciąż jeszcze spisywał swoje uwagi i ciągle jeszcze leżał trup, zgnieciony, jak mucha.

— To mogłaby być mapa świata — nieprawdaż? — zauważył Ojciec Brown.

— Tak — odparł bardzo poważnie Bohun i skinął głową.

Bezpośrednio pod nimi i wokół nich kontury gotyckiej budowli tonęły w próżni z zawrotną szybkością, podobną do samobójstwa. Jest w architekturze średniowiecza element jakowejś tytanicznej energii, która sprawia, że linje, z jakiegokolwiek widziane punktu, zdają się pędem uciekać z przed oka, niby silny grzbiet spłoszonego konia.

Stary ten kościół ciosany był z odwiecznego

martwego kamienia, obrosłego grzybem i poplamionego gniazdam i ptaków. A jednak, widziany z dołu, wytryskał jak fontanna w górę, aż do gwiazd — a kiedy spojrzeli nań, jak teraz oto, od góry — spadał, niby wodospad w martwą przepaść.

Dwaj ludzie, pozostawieni sami sobie, stali w obliczu owej, tak groźnej fantazji Gotyku. Potworne dysproporcje — perspektywy odbierające dech — małe przebliski wielkich spraw i wielkie — małych. Jakiś bezład głazów w pośrodku atmosfery! Fragmenty kamieni wyolbrzymione przez bliskość, uwypuklały się, podobne reliefom, na tle wzorzystych pól i form, skarłowaciałych w swem oddaleniu. Jakiś ptak, czy inny zwierz, wykuty w kamieniu na którymś z narożników — wydawał się ogromnym smokiem, czółgającym się, lub lecącym nad lasami i wioskami, i niosącym spustoszenie. W powietrzu zawisło coś odurzającego i pełnego grozy — jakgdyby nad ludzkością zastygały w ruchu skrzydła olbrzymów-genjuszów. Mogło się zdawać, że cały stary kościół, wspinały i jak katedra wyniosły, spoczywa nad oblaną słońcem równiną, niby chmura, każdej chwili grożąca wybuchem.

Zdaje mi się, że miejsca wyniesione tak wysoko, mają w sobie coś niebezpiecznego, chociażby nawet chodziło tylko o modlitwę — rzekł Ojciec Brown. — Wysokości są nato, aby patrzeć — nie z nich, na dół, ale do nich — do góry.

— Czy ma pan na myśli, że można stąd spaść?
— zapytał Wilfryd.

— Myślę, że chociażby ciało mogło nie spaść —
ale dusza może — odpowiedział Ojciec Brown.

— Niedobrze pana rozumiem — zauważył niewyraźnie Bohun.

— Proszę spojrzeć naprzykład na tego kowala — mówił dalej spokojnie ojciec Brown — dobry człek, ale nie chrześcijański — hardy, despotyczny, nieprzebaczący. Coprawda, jego szkocką religję stworzyli ludzie, którzy modlili się na wysokich i skalistych górach i uczyli się więcej patrzeć wdół na świat, niżli wgórę do nieba. Uniżoność jest matką olbrzymów. Można duże rzeczy dostrzegać z doliny, ale z wierchołka — tylko małe.

— Ale on tego nie uczynił — drżącym głosem rzekł Bohun.

— Nie, to wiadome, że nie uczynił — odrzekł, patrząc spokojnie swą wyblakłą szarą oczyma na równinę. — Znałem człowieka — który zrazu pospołu z innym oddawał cześć Bogu przed ołtarzem, ale z czasem wołał modlić się z miejsc wysokich i samotnych, z zakątków i nisz dzwonnicy, i na wysokiej wieży. I raz, w jednym z tych miejsc zawrotnych, kiedy cały świat zdawał się jak koło pod nim wirować, mózg jego wpadł także w wir i człowiek wyobraził sobie, że jest Bogiem, Tak, że chociaż był człowiekiem dobrym, popełnił wielką zbrodnię.

Wilfryd stał z odwróconą twarzą, ale kościste jego ręce zbielewały i posiniały, kiedy je zacisnął na parapecie z kamienia.

Myślał, że dane mu jest sądzić i zgładzić grzesznika. — mówił dalej Brown. — Nigdyby podobna myśl nie była mu przyszła do głowy, gdyby był klęczał z innymi na ziemi. Ale on patrzył na wszystkich ludzi, jak na owady czołgające się w prochu. Szczególnie jednego owada widział w dole, jak pełz z miną napuszoną, zuchwały i w oczy bijący — w swoim jaskrawym zielonym kapeluszu — zły, jadowity owad.

Wrony zakrakały za rogiem dzwonnicy, ale żadnego innego szmeru nie można było uchwycić, zanim nie odezwał się znowu głos Ojca Browna:

— I to go także skusiło, że trzymał w ręku jedną z najstraszniejszych machin przyrody — mam na myśli siłę grawitacji, ów szalony i zmagający się pęd, dzięki któremu wszystkie twory ziemi lecą zpowrotem do jej serca, kiedy są już wyzwolone.

Spójrz, księżo — właśnie inspektor kroczy zwolna po dziedzińcu kuźni — tu pod naszą nogami. Gdybym przerzucił choćby mały kamyk przez ten parapet, rzut mój równałby się impetowi kuli karabinowej, do czasu, w którymby kamień w niego ugodził. Gdybym spuścił młotek — choćby mały młoteczek...

Wilfryd Bohun przerzucił jedną nogę przez parapet, ale już ojciec Brown trzymał go za kołnierz.

— Nie temi drzwiami — rzekł łagodnie. — Te drzwi prowadzą do piekła.

Bohun, chwiejąc się, cofnął się pod mur i prze-
rażonem i oczyma patrzył na księdza.

— Skąd pan wie o wszystkim? — zawołał — czy jesteś pan diabłem samym?!

— Jestem człowiekiem — odparł poważnie ojciec Brown — i dlatego mam wszystkich djabłów w mojem sercu. Posłuchaj mnie — przemówił po chwili — wiem, co pan zrobił — przynajmniej mogę się po większej części domyślić: kiedy rozstał się pan ze swoim bratem, niesłuszną wściekłość ogarnęła panem do tego stopnia, że chwyciłeś za młotek, już prawie gotów zniszczyć brata swego razem z jego podłością. Ale wzdrygnąwszy się przed czynem, schowałeś młotek za surduty i pognałeś do kościoła. — Bywało, w niejednym miejscu pan się modlił, pod oknem z aniołem, wysoko, na galerji, i na jeszcze wyższym tarasie, z którego widział pan wyraźnie wschodni kapelusz pułkownika, niby kadłub zielonego chrabąszcza, leżącego po ziemi. Wtedy załamało się coś w pańskiej duszy i — wypuściłeś z rąk — mój księże — piorun Boga.

Wilfryd przyłożył osłabłą rękę do czoła i cichym głosem zapytał:

— Jak mógł pan wiedzieć, że kapelusz wyglądał — jak zielony chrząszcz?

— O, to odpowiedział mi zwyczajny chłopski rozum — odrzekł tamten z odcieniem uśmie-

chu — ale proszę mnie dalej wysłuchać. Powiadam, że wiem o wszystkim, ale nikt inny o tem wiedzieć nie będzie. Następny krok należy do pana — ja już dalszych kroków nie uczynię. Zapieczętuję wszystko pieczęcią spowiedzi. Jeżeli zapyta mnie pan, dlaczego? — ot, dużo jest względów, ale tylko jeden dotyczy pana. Pozostawiam panu te sprawy, ponieważ nie dotarłeś w zbrodni tak daleko, jakby to uczynił zwyczajny zbrodniarz.

— Nie starałeś się zrzucić winy na kowala, kiedy można było tego z łatwością spróbować, — ani na jego żonę, choć i to nie przedstawiało trudności. Próbowaleś zważyć winę na owego idjotę, o którym wiedziałeś dobrze, że nie na tem nie ucierpi. Był to jeden z tych promyków, które mi powołanie moje nakazuje odnaleźć w duszy każdego zbrodniarza.

A teraz proszę zejść nadół, do wsi i udać się, dokąd oczy pana poniosą — albowiem ja rzekłem moje ostatnie słowo.

Zeszli nadół w głębokiem milczeniu i wyszli na słońce, opodal kuźni. Wilfryd Bohun ostrożnie odemknął drewniane wrota, które prowadziły na dziedziniec i podszedł do inspektora, rzekł:

— Pragnę oddać się w pańskie ręce. To ja zabiłem mojego brata.

OKO APOLLINA

Dziwnie zadymiona woda Tamizy, mętna i zarazem przezroczystą — co jest szczególną osobliwością tej rzeki — zmieniała się coraz bardziej i nabierała w swoje szare nurty coraz więcej srebrzystego połysku, w miarę, jak słońce zbliżało się do zenitu ponad Opactwem Westminsteru.

W tym samym czasie dwóch ludzi mijało właśnie most. Jeden z nich był bardzo wysoki, a drugi bardzo niski. Przy bujnej fantazji możnaby ich porównać do wyniosłej aroganckiej wieży parlamentu obok pokornych, skulonych bark Opactwa — zwłaszcza, że mały człowieczek miał na sobie strój duchowny.

Urzędowy tytuł wysokiego człowieka brzmiał: Pan Herkules Flambeau, detektyw prywatny; udawał on się właśnie do swego nowego biura, które znajdowało się w nowowypbudowanym bloku domów, naprzeciw głównej bramy Opactwa. Oficjalny tytuł małego człowieczka brzmiał: Ksiądz J. Brown, z kościoła św. Franciszka Xavier'a

w Camberwell; wracał właśnie stamtąd, od łoża śmierci, a teraz towarzyszył swojemu przyjacielowi, którego nowe biuro chciał obejrzeć.

Nowy dom należał do typu amerykańskich drapaczy chmur, nie tylko ze względu na swoją wysokość, ale i ze względu na sprawnie funkcjonującą maszynę telefonów i wind. Budowa jego została dopiero niedawno ukończona i rusztowanie nie było jeszcze w całości uprzątnięte. Załedwie trzy lokale znalazły dotąd swoich lokatorów — jedno biuro mieściło się ponad biurem Flambeau'a, a drugie o piętro niżej, tuż pod jego lokalem. Dwa piętra wyższe i trzy dolne stały jeszcze pustką. Na tej nowej wieży niezliczonych pięter jedna rzecz przykuwała na pierwszy rzut oka uwagę przechodnia. Osobliwy szczegół, bijący w oczy, znajdował się na zewnątrz budynku, tuż ponad biurem detektywa, obok kilku pozostałych jeszcze wiązań rusztowania. Był to ogromny, wyłaczany model oka ludzkiego, okolonego złotymi promieniami, a był tak wielki, że zajmował szerokość dwóch czy czterech biurowych okien.

— Na miły Bóg! Cóż to ma oznaczać? — zapytał O. Brown i przystanął.

— To? — nową religję — zaśmiał się Flambeau. — Jedną z tych nowych religij, która wybaczę człowiekowi wszystkie grzechy, albowiem — jak utrzymuje — człowiek w żadnym wypadku grzechu nie popełnia. Zdaje mi się, że jest to coś

w rodzaju „Wiedzy Chrześcijańskiej“. W każdym razie jakiś jegomość, który nazywa siebie „Kalon“ — nie wiem, jak mu naprawdę na imię, ale nie przypuszczam, aby się tak nazywał w rzeczywistości — wynajął pokoje nad moim biurem. Moje sąsiedztwo stanowią zatem dwie stenotypistki, które urzędują pode mną, i ten stary szarlatan na górze. Nazywa sam siebie nowym kapłanem Apollina i czci słońce.

— Niech je tam sobie czci, — rzekł O. Brown. — Słońce było zawsze najokrutniejszym bogiem... Ale cóż oznacza to potworne oko?

— O ile zdołałem zrozumieć, mają oni własną teorię, — odrzekł Flambeau, — która powiada, że człowiek potrafi wszystko znieść, jeżeli tylko duch jego pozostanie nieugięty. Słońce i rozwarte oko — to dwa najważniejsze ich symbole. Utrzymują bowiem, że człowiek mógłby wpatrywać się rozwartą źrenicą w słońce, gdyby tylko był naprawdę w pełni zdrowia.

— Gdyby człowiek był naprawdę w pełni zdrowia — zauważył O. Brown, — nie dbałby o to, aby gapić się na słońce.

— To wszystko, co wiem o tej nowej religii — ciągnął dalej Flambeau obojętnie. — Głosi ona oczywiście, że jest w stanie uleczyć wszystkie fizyczne dolegliwości.

— Czy tę jedną umysłową chorobę także potrafi wyleczyć? — zapytał O. Brown.

— A jakąż to choroba umysłowa? — uśmiechnął się Flambeau.

— Choroba człowieka, który myśli, że jest zdrow — rzekł jego przyjaciel.

Spokojne, małe biuro, położone pod lokalem Flambeau'a, przykuwało w znacznie większej mierze zainteresowanie detektywa, niż płomienna świątynia Apollina na górze. Flambeau, typ krańcowego południowca, nie mógł sam siebie pomyśleć w innej roli, jak zagorzałego katolika, albo takiego samego ateisty. Nowe religie, blade, czy jaskrawe w charakterze, nie przypadły mu do smaku. Natomiast zawsze przypadła mu do smaku ludzkość — szczególnie, kiedy była urodziwa. A owe panie stanowiły poza tem interesujące w swoim rodzaju typy.

W biurze owem pracowały dwie siostry, obie szczupłe brunetki. Jedna z nich była wysoka i wzrostem i postacią zwracała na siebie uwagę. Miała ciemny, ostry, orli profil i należała do tych kobiet, które ludzie wyobrażają sobie zawsze z profilu; profil jej przywodził na myśl ostrze jaskowej broni. Zdawała się przebojem torować sobie drogę przez życie. Oczy jej miały olśniewający blask — był to jednak raczej połysk stali, niż blask djamentów, a cała jej smukła, wyniosła postać była jakgdyby o cień za sztywna, jak na wdzięk, który w sobie kryła. Młodsza siostra wyglądała, jak cień starszej w skrócie — bledsza, bardziej szara, bardziej niepokazna.

Obie były zawsze czarno ubrane, po zawodowemu, i nosiły małe męskie kołnierzyki i mankiety. Tysiące podobnych ubogich, dzielnych kobiet snuje się po biurach londyńskich, ale niezwykłość tych dwóch sióstr leżała raczej w ich istotnem, aniżeli pozornem stanowisku.

Starsza, Paulina Stacey, była spadkobierczynią herbu i połowy hrabstwa, oraz wielkiego majątku. Wychowywała się w pałacach i ogrodach, zanim sroga jakaś zawziętość, tak właściwa nowoczesnej kobiecie, nie zagnała jej do tego, co uważała za surowszą i wyższą formę egzystencji. Nie wyrzekała się jednak pieniędzy. Takie romantyczne, czy małpie wyrzeczenie się, byłoby zupełnie obce jej despotycznemu utylitaryzmowi. Mawiała, że chowa majątek na praktyczne, społeczne cele. Część majątku włożyła w swoje przedsiębiorstwo, które miało być zalążkiem wielkiej wzorowej centrali stenotypistek, część zaś rozdała pomiędzy różne ligi i związki, celem propagandy tego rodzaju pracy wśród kobiet. Do jakiego stopnia siostra jej i współpracowniczka Joanna, brała udział w tym zlekka prozaicznym idealizmie, tego nikt nie był w stanie osądzić. To pewna, że słuchała swojej przełożonej z psią uległością, w której było więcej czułości, niepozobawionej pewnego cienia tragizmu, aniżeli w surowej, dumnej naturze starszej siostry. Paulina Stacey bowiem nie miałaby o tragiczności nic do powiedzenia — nie wierzyła rzekomo nawet w jej istnienie.

Jej szorstkość i porywczność, jej chłodna niecierpliwość ubawiły Flambeau'a, kiedy po raz pierwszy udawał się do swego biura. W oczekiwaniu *lift-boy'a*, który wioził zwyczajnie obcych na różne piętra, przystanął wtedy u drzwi windy, w głównym hall'u domu. Wtedy ta dziewczyna o sokolim wzroku ostro zaprotestowała przeciw uzależnieniu się od służby; oświadczyła stanowczo, że sama umie się z windą obchodzić i nie ma zamiaru zdawać się na usługi *liftboy'ów*, ani mężczyzn w ogólności. Jakkolwiek biuro znajdowało się zaledwie na trzeciem piętrze, zdążyła jednak w tych niewielu sekundach jazdy naszkicować detektywowi szereg swoich zasadniczych poglądów. Wynikało z nich, że jest kobietą modną, pracującą i że kocha pracującą maszynę. Jej czarne, połyskujące oczy pały abstrakcyjnym gniewem na tych wszystkich, którzy nie doceniają wiedzy o maszynach i pragną powrotu do romantyczności. Każdy człowiek powinien umieć posługuwać się maszyną, — mówiła — podobnie, jak i ona umiała maszyny używać. Zdawała się czuć, nieomal dotknięta tym faktem, że Flambeau otworzył przed nią drzwi windy — w rezultacie dżentelmen ów udał się do swego biura, doznając nieco mieszanych uczuć i śmiejąc się w duchu na myśl o tej młodzieńczej niezależności.

Paulina była niewątpliwie z natury porywcza, miała przytem silne poczucie praktyczności. Ruchy jej chudych, wytwornych rąk były gwałtowne

i prawie niszczące. Raz, kiedy Flambeau odwiedził ją w biurze w sprawie jakiegoś maszynowego odpisu, zauważył, jak właśnie rzuciła na podłogę parę okularów, własność swej siostry i rozgniotła je nogą. W następnej sekundzie zasypała siostrę etyczną tyradą na temat „chorobliwej troskliwości lekarskiej“, oraz karygodnego dopuszczania do siebie myśli o chorobie, którą taki przyrząd musi siłą rzeczy narzucać. Odgrażała się siostrze, na wypadek, gdyby jeszcze raz zechciała przynieść do biura takie sztuczne, nienaturalne „śmiecie“, wreszcie spytała, czy Joanna zgodziłaby się nosić drewniane nogi, sztuczne włosy, czy szklane oczy — a kiedy to mówiła, wzrok jej połyskiwał, niby straszny kryształ.

Flambeau, przerażony tym wybuchem fanatyzmu, nie mógł się, w swojej prostej francuskiej logiczności, oprzeć zapytaniu — dlaczegoż to okulary miałyby stanowić bardziej chorobliwy dowód słabości, niż winda, i jeżeli wiedzy wolno nieść nam pomoc w jednym wysiłku, dlaczego w innym miałyby to być niedopuszczalne?

— O! To *całkiem* co innego! — rzekła wyniosłe Paulina Stacey. — Baterje i motory i inne podobne rzeczy są oznaką siły człowieka — tak, panie Flambeau! — i oznaką siły kobiety w nie mniejszej mierze! I na nas przyjdzie bowiem kolej pracy przy tych wielkich maszynach, które pochłaniają przestrzeń i drwią sobie z czasu. Te rzeczy są wielkie i wspaniałe — oto jest wiedza praw

dziwa! Ale te wszystkie podpórki i plasterki, które sprzedają lekarze, to są poprostu znamiona tchórzostwa! Lekarze doprawiają nam ręce i nogi, jak gdybyśmy byli urodzonymi kalekami i chorymi niewolnikami! Ale ja urodziłam się człowiekiem wolnym, panie Flambeau! Wydaje się ludziom, że się bez tych rzeczy nie zdołają obejść, ponieważ chowano ich w wiecznej obawie, zamiast wychowywać ich w odwadze i w poczuciu mocy, podobnie, jak głupie piastunki nie pozwalają dzieciom wpatrywać się w słońce i dlatego nie umiemy tego potem uczynić bez mrużenia powiek. A dlaczego miałyby się pomiędzy gwiazdami znajdować choćby jedna gwiazda, której ja bym nie mogła widzieć? Słońce nie jest moim panem — ja chcę otwierać oczy i patrzeć w słońce, ilekroć mi się tak spodoba.

— Oczy pani olśniły słońce...—rzekł Flambeau, kłaniając się zczudzoziemska. Prawienie komplementów tej osobliwej, sztywnej piękności, sprawiło mu radość — po części dlatego właśnie, że ją wyprowadzało to trochę z równowagi. Ale kiedy udał się na górę i znalazł się u siebie w biurze, westchnął głęboko, a potem gwizdnął i rzekł do siebie: — A zatem i ona wpadła w ręce tego jego mościa z góry, szarlatana ze złotem okiem! — Chociaż mało wiedział o nowej religji Kalona i mało o nią dbał, poznał jednak tę szczególną teorię o wpatrywaniu się w słońce.

Flambeau odkrył wkrótce, że duchowy związek, jaki zachodził pomiędzy piętnem nad nim,

a piętnem pod nim, był ścisły i zacieśniał się coraz bardziej. Jegomość nazwiskiem Kalon był wspa-
niałym okazem męczyzny — w znaczeniu fizy-
cznem godzien był w zupełności stać się kapłanem
Apollina. Był prawie tego wzrostu, co Flambeau,
ale był odeń dużo piękniejszy. Miał złotopłową
brodę, mocno niebieskie oczy i grzywę, zwisającą
w tył głowy, jak u lwa. Budową ciała stanowił typ
owej „*blonde Bestie*“ Nietzsche’go, jedynie inte-
lekt jego i pewne uduchowanie postaci prześwie-
tlały i łagodziły jego zwierzęcą urodę i nadawały
jej wyraz większej pogody. Jeżeli przypominał
któregoś z wielkich królów saskich, to podobny
był do tych, którzy byli zarazem świętymi. I to
mimo całą powszedniość swego prozaicznego oto-
czenia, mimo że biuro jego mieściło się przy Vic-
toria = street, że jego pisarz, dość pospolity mło-
dzień w zwyczajnym garniturku, przesiadywał
w pierwszym pokoju, pomiędzy rezydencją Kalo-
na a korytarzem, i że nazwisko jego widniało na
miedzianej płycie, a złoty emblemat jego religji
wisiał nad ulicą, niby reklama okulisty. Cały ten
krąg powszedniości nie mógł jednak przeszkodzić
przytłaczającemu wrażeniu natchnienia, które pro-
mieniowało z ciała i ducha człowieka, zwanego Ka-
lon.

Mimo wszystko, cośmy powiedzieli, w towarzy-
stwie tego szarlatana udzielało się ludziom poczu-
cie obecności wielkiego człowieka. Nawet w zwy-
czajnym białym, wolno opadającym płaszczu płó-

ciennym, który nosił w biurowych godzinach, był postacią fascynującą i budzącą grozę. I kiedy odziany w białe szaty, ze złotą opaską na czole, oddawał codziennie hołdy słońcu, wyglądał istotnie tak wspaniale, że nieraz śmiech zamierał przechodniom na ustach. Trzy razy dziennie nowy ten czciciel słońca wychodził na mały balkon i w obliczu całego Westminsteru odmawiał jakoweś litanje do swego promienistego pana; raz o świcie, raz o zachodzie słońca i raz z uderzeniem południa.

I kiedy właśnie zegary wieży parlamentu i parafjalnego kościoła wybijały godzinę dwunastą, Ojciec Brown, przyjaciel Flambeau'a, pierwszy spojrział w górę i zobaczył białego kapłana Apollina.

Flambeau aż nadto często był świadkiem owych południowych powitań Feba, to też zniknął w bramie wysokiego domu, nie obejrzawszy się nawet, czy jego przyjaciel w sutannie podąży za nim. Ale O. Brown, zapewne dla zawodowego zainteresowania dla błazeńskich kawałów, przystanął i wlepił wzrok w balkon czciciela słońca, tak, jak gdyby zagapił się na zabawną pantominę. Prorok Kalon stał wyprostowany w swoich srebrzystych szatach i wznosił obie ręce do góry. Dziwnie przenikliwy dźwięk jego głosu, odmawiający słoneczną litanję, rozbrzmiewał na całą gwarną i ruchliwą ulicę. Był już w pośrodku modlitwy — oczy jego utkwily w płonącym dysku. Jest rzeczą wielce wątpliwą, czy mógł w tej chwili widzieć cośkol-

wiek, lub kogokolwiek na ziemi, to pewna, że nie dostrzegał przysadkowatego księżulka o puciołowatej twarzy, który stojąc na dole, w tłumie, patrzył nań mrugającemi oczyma. I w tem właśnie była uderzająca różnica pomiędzy tymi dwoma ludźmi, znajdującymi się w tej chwili daleko od siebie.

O. Brown nie mógł na nie patrzeć, nie mrugając przytem oczyma, ale kapłan Apollina mógł spojrzeć w płonący blask, w samo południe, nie drgnawszy nawet powieką.

— O, słońce! — wołał prorok. — O, gwiazdo, która jesteś zbyt wielka, aby przebywać wśród gwiazd! O krynico, która przepływasz spokojnie tajemniczem przestworzem! Białe ojczyzny — białych płomieni, białego kwiecia, białych szczytów! Ojczyzny, któryś jest bardziej niewinny, niżli najniewinniejsze twoje dzieci! O czystości, której spokoju...

Nagły trzask, niby wystrzał rakiety, przeszył powietrze przeraźliwym, przeciągłym łoskotem. Pięciu ludzi wpadło do bramy domu, jednocześnie trzech innych wypadło z bramy i przez chwilę wszyscy zagłuszyli się nawzajem. Przecucie nie szczęścia przeniknęło ulicę, tem gorsze, że nikt nie wiedział, co się stało. Jedyne dwie postacie pozostały w ogólnem poruszeniu nieruchome — piękny kapłan Apollina na wysokim balkonie i pod nim — brzydki sługa Chrystusa.

Wreszcie wysoka postać Flambeau'a, o wyra-

zie tytanicznej energii na twarzy, pojawiła się w bramie domu i opanowała zamęt małego zbiegowiska. Wysokim głosem, który brzmiał, niby trąbka alarmu, polecił Flambeau zawezwać lekarza, a kiedy obrócił się i usiłował przedostać do ciemnej, natłoczonej bramy, przyjaciel jego O. Brown wcisnął się za nim niepostrzeżenie. Znużony i ściśnięty w tłumie, ciągle jeszcze słyszał monotonną, ale wspaniałą melodię kapłana słońca, który nie przestawał wzywać szczęśliwego boga, przyjaciela wodotrysków i kwiatów.

O. Brown zastał Flambeau'a i jeszcze kilku ludzi wokół zamkniętej klatki, w którą zwyczajnie zjeżdża winda. Ale teraz winda nie zjechała — zjechało coś innego. Coś, co powinno było zjechać w windzie.

Flambeau stał przez chwilę z wzrokiem utkwionym w ziemię — dostrzegł ociekającą krwią i obryzganą mózgiem postać owej pięknej kobiety, która nie wierzyła w istnienie tragedji. Ani przez chwilę nie wątpił, że była to Paulina Stacey i chociaż posłał po lekarza, nie miał najmniejszej wątpliwości, że Paulina Stacey już nie żyje. Nie zdawał sobie w tej chwili dobrze sprawy z tego, czy ją lubił, czy nie — wszakżeż tyle miał powodów do sprzecznych uczuć. W każdym razie nie była mu obojętna. Pamięć nieznaczących szczegółów i pewnego przyzwyczajenia do jej osoby bolała go teraz, niby ukłucie sztyletu. Z tą nagłą dziwną wyrazistością, która stanowi całą gorycz śmierci,

przypomنياł sobie teraz jej ładną twarz i jej groteskowe przemowy. W okamgnieniu — jak grot z nieba, jak piorun, runęło znikąd to piękne, zuchwale ciało w otwartą otchłań windy, aby znaleźć na dnie śmierć. Byłoby to samobójstwo? Samobójstwo tej nieugiętej optymistki wydało mu się dość nieprawdopodobne. A może morderstwo? Ale któż mógłby go dokonać w tym domu, niemal pozbawionym mieszkańców?

Kilkoma chrapliwemi słowami, które miały brzmieć ostro, a nagle wydały mu się bezsilne, zapytał, gdzie w tej chwili podziewa się Kalon? Jakiś głos, z natury ociężały, spokojny i zrównoważony zapewnił go, że Kalon przez ostatnich piętnaście minut znajdował się na swoim balkonie, zatopiony w modłach do swego boga. Kiedy Flambeau usłyszał głos O. Browna i poczuł dotknięcie jego ręki, odwrócił swoją pociemniałą twarz i rzekł gwałtownie:

— A zatem, jeżeli on był tam przez cały czas — któż mógł to uczynić?

— Chodźmy na górę — może tam coś wymyślimy... — odrzekł ksiądz. — Mamy jeszcze pół godziny czasu do nadejścia policji.

Flambeau zostawił zwłoki zamordowanej spadkobierczyni opiece lekarza i pognął na górę do biura, w którym urzędowały siostry, biuro było jednak puste. Poleciał więc do siebie, ale zaledwie wszedł do środka, odwrócił się i ze zmienioną twarzą stanął przed przyjacielem.

— Jej siostra wyszła widocznie na przechadzkę — rzekł z przykrą powagą...

O. Brown skinął głową. — Albo poszła może na górę, do tego kapłana słońca? — rzekł. — Na twojem miejscu zarazbym to sprawdził. Potem omówimy całą tę sprawę u ciebie. Nie! — dodał nagle, jakgdyby coś sobie przypomniał — co też za głupstwa ja plotę! Omówimy ją oczywiście w ich biurze, tam na dole.

Flambeau spojrzał zdziwiony, ale podążył za małym księżułkiem nadół, do pustego biura sióstr Stacey, gdzie niedocieczony ksiądz zajął miejsce na szerokim, czerwona skórą obitem krześle u samego wejścia do biura, skąd mógł obserwować schody i klatkę schodową — i tam czekał. Nie czekał długo. Upłynęło może cztery minuty, kiedy ujrzał trzy postacie schodzące po schodach, wszystkie trzy równie uroczyste. Pierwszą z nich była Joanna Stacey, siostra zmarłej — widocznie w istocie była na górze, w doczesnej świątyni Apollina. Drugą osobą był sam kapłan Apollina, który po odbyciu praktyk religijnych zstępował po schodach w pełni swego majestatu — w białych jego szatach, w brodzie i puklach włosów było coś, co przypominało Dore'go Chrystusa, opuszczającego pretorjum — trzecią osobą był Flambeau. Brwi jego wydawały się jeszcze czarniejsze, a cała postawa zdradzała wzburzenie.

Panna Joanna Stacey, brunetka o pociągłej twarzy i włosach przetkanych przedwcześnie tu

i ówdzie srebrnemj nitkami, podeszła prosto do swojego biurka ; zwyczajnym ruchem wyjęła zeń jakieś papiery. Sam ten fakt przywrócił wszystkim przytomność. Gdyby Joanna Stacey była zbrodniarką — byłaby to zbrodniarka zimna i wyrachowana. O. Brown przez długą chwilę patrzył na nią z dziwnym, nieznacznym uśmiechem i po chwili, nie spuszcżając z niej oczu, zwrócił się do kogoś innego:

— Proroku, — rzekł, przypuszczalnie w stronę Kalona. — Byłbym wdzięczny, gdyby mi pan ze-
chciał powiedzieć coś niecoś o swojej religji.

— Czułbym się zaszczycony — rzekł Kalon, chyląc głowę, ciągle jeszcze przepasaną złocistą wstęgą — ale nie wiem, czy dobrze pana zrozumiałem?

— Rozchodzi mi się o to, — rzekł O. Brown swoim szczerym, trochę niepewnym głosem: uczono nas, że jeżeli podstawowe zasady człowieka są złe, to jest to po części z własnej jego winy. Ale nawet pomijając to — można uczynić pewną różnicę pomiędzy człowiekiem, który gwałci swoje szczere sumienie, a człowiekiem, którego sumienie jest więcej czy mniej przyćmione sofisteryjami. Otóż — czy dopatruje się pan czegoś złego w morderstwie?

— Czy to ma być oskarżenie? — zapytał bardzo spokojnie Kalon.

— Nie — odrzekł równie spokojnie O. Brown.
— To ma być mowa obronna.

Upłynęła długa chwila milczenia, pełnego niepokoju. Prorok Apollina podniósł się powoli z miejsca i zaprawdę, wyglądało to tak, jakgdyby słońce wstało. Swoją promienną żywiołowością wypełnił pokój całkowicie — wydawało się, iż równie łatwo mógłby wypełnić równinę Salisbury. Sfałdowane jego szaty zdawały się zwisać ze ścian pokoju, niby klasyczne draperje, jego epickie ruchy zdawały się dosięgać wspaniałych perspektyw — tak, że na ich krańcach mała, ciemna postać współczesnej sutanny wydała się jakimś przekroczeniem i natręctwem, okrągłą, czarną plamą na splendorze Hellady.

— Kaifasz! Nareszcie spotkaliśmy się! — rzekł prorok. — Twój kościół i mój — to jedyne rzeczywistości na tej ziemi. Ja uwielbiam słońce — a ty jego zaćmienie. Ty jesteś kapłanem ginącego, ja — wieczyście żyjącego boga. W tej chwili twój podejrzliwy i oszczerczy wysiłek jest godny twojej sutanny i twojej wiary. Cały twój kościół nie jest niczem innem, jeno kościołem czarnej policji, a wy sami niczem innem, jeno szpiegami i detektywami, pragnącym wydrzeć ludziom wyznanie winy — obojętna, czy drogą zdrady, czy tortury. Wy chcielibyście tylko dowodzić ludziom winy — ja zaś niewinności. Ty chciałbyś wmawiać im grzech — ja zaś cnotę.

— Ty, który czytasz księgi złego, posłuchaj jeszcze jednego słowa, zanim na zawsze rozwieję przed twojem oczyma nedorzeczne, nocne przy-

widzenia. Ani nawet w przybliżeniu nie potrafił-
byś zrozumieć, jak mało o to dbam, czy zdołasz
mi udowodnić winę, czy też nie. To, co ty nazy-
wasz karą, czy — szubienicą, jest dla mnie
takim samym postrachem, jakim jest ludo-
żerca z dziecinnej książeczki dla dojrzałego
człowieka. Powiedziałeś, że wygłaszasz mowę ob-
ronną. Ja zaś tak mało dbam o życie, o tę krainę
złudzeń, że sam gotów jestem ofiarować ci akt
oskarżenia. Istnieje tylko jedna okoliczność, której
można użyć w tej sprawie przeciw mnie — i ja
sam ci tę rzecz wyjawię. Kobieta, która tam leży
nieżywa, była moją oblubienicą i żoną. Nie na ten
sposób, który wasze blaszane kaplice nazywają
legalnym, ale na mocy prawa czystsze-
szego, niżlibyś ty kiedykolwiek zdołał pojąć. Ona
i ja kroczyliśmy po innym świecie, aniżeli wasz,
i stąpaliśmy przez kryształowe pałace, podczas
kiedy wyście chodzili po korytarzach i norach z
cegły. Wiadomo mi, że policjanci i teolodzy i inni
tego pokroju, wyobrażają sobie zawsze, że gdzie
była miłość, tam musi wkrótce nastąpić nienawiść
— oto masz pierwszy punkt do aktu oskarżenia.
Ale drugi punkt jest jeszcze gorszy—nie zataję go
przed tobą. Nietylko prawdą jest, że Paulina mnie
kochała, ale jest prawdą również, że dzisiaj rano,
zanim zginęła, napisała przy tym oto stole testa-
ment, w którym mnie i mojemu nowemu kościo-
łowi przeznaczyła pół miljona. Zbliż się! Gdzież
są twoje kajdanki? Czy przypuszczasz, że zależy

mnie na tem, co ze mną zrobicie? Kara śmierci nie będzie dla mnie niczem innym, jeno oczekiwaniem jej na jakiejś bocznej stacyjce, a szubienicą — autem, które mnie w zawrotnym pędzie zawiezie do niej.

Mówił stanowczym, porywającym tonem mówcy, tak że Flambeau i Joanna Stacey wpatrywali się weń w niemym podziwieniu. Twarz Ojca Browna nie wyrażała nic innego, tylko ogromne przygnębienie. Patrzył w ziemię, a wzdłuż jego czoła zarysowała się głęboka zmarszczka cierpienia. Prorok słońca oparł się wygodnie o krawędź kominka i ciągnął dalej.

— W kilku słowach przedłożyłem wam po krótku to, co przeciw mnie świadczy—oto jedynie możliwe dowody przeciwko mnie. Jeszcze zwiększę rozbiję te zarzuty w puch, tak, że nawet ślad po nich nie zostanie. Na zapytanie, czy ja popełniłem tę zbrodnię? — odpowiedzieć można prawdziwie jednym, jedynym zdaniem. Nie mogłem tej zbrodni popełnić. Paulina Stacey upadła z tego piętra nadół, pięć minut po dwunastej. Setkę ludzi poświadczy przed sądem, że stałem na balkonie mojego mieszkania, tam na górze, od uderzenia dwunastej do kwadransu na pierwszą — jest to zwyczajna pora, w której publicznie odmawiam modlitwy. Mój urzędnik, uczciwy chłopak z Clapham, którego nie łączą ze mną żadne inne stosunki, gotów przysiąc, że cały ranek przesiedział w pierwszym pokoju biurowym i że nikt się ze mną nie

porozumiewał. Przysięgnie także ; na to, że przyszedłem pełnych dziesięć minut przed wybiciem godziny, a na piętnaście minut, zanim ktokolwiek wyszeptał pierwsze słowo o wypadku, i że przez cały ten czas nie opuszczałem biura, ani balkonu. Czy miał kto kiedykolwiek tak niezawodne *alibi*? Mógłbym zawezwać do sądu pół Westminsteru. Zdaje mi się księżu, że możesz z powrotem odłożyć kajdanki. Sprawa jest zakończona.

— Ale ostatecznie, aby ani cień, ani atom podejrzenia nie pozostał w powietrzu — powiem ci księżu, wszystko,—czego pragniesz się dowiedzieć. Zdaje mi się, że wiem, w jaki sposób moja nieśczęśliwa przyjaciółka przyprawiła się o śmierć. Możesz, jeśli chcesz, potępić mnie za to — mnie, albo przynajmniej moją filozofję i wiarę — ale to pewna, że nie zdołasz mnie zamknąć w więzieniu. Wiadomo wszystkim uczącym się wyższych prawd, że pewni adepci i illuminaci osiągnęli w historii moc lewitacji — to znaczy, że sami, własną mocą potrafili się utrzymać w powietrzu. Jest to tylko drobna cząstka naszych zwycięstw nad materją, tych rozległych zdobyczy, które są głównym elementem w naszej okultystycznej nauce. Biedna Paulina była z natury impulsywna i ambitna. Zdaje mi się — prawdę powiedziawszy — że uważała się za głębiej wtajemniczoną w misterja, aniżeli była w istocie. Mawiała do mnie często, kiedyśmy zjeżdżali razem windą, że gdyby wola człowieka była dostatecznie silna, wtedy mógłby sam spłynąć

wdół tak lekko i bez szkody, jak piórko. Wierzę uroczyście, że w przystępie ekstazy szlachetnych myśli usiłowała dokazać cudu. Jej wola, czy wiara musiała ją w krytycznym momencie zawieść i niższe prawo materji wywarło swoją okrutną zemstę. Oto cała historia, panowie, bardzo smutna i, jak się wam zapewne wydaje, bardzo śmiała i zła, ale z pewnością nie kryminalna i nie mająca żadnego związku ze mną. W sprawozdaniu dla policji najlepiej nazwać to samobójstwem. Co do mnie, będę ją zawsze nazywał heroicznym, choć daremnym wysiłkiem dla pchnięcia wiedzy naprzód i przyśpieszenia naszego powolnego zdobywania nieba.

Po raz pierwszy ujrzał Flambeau, że O. Brown został zwyciężony. Siedział on ciągle jeszcze na tem samem krześle, z oczyma opuszczonemi wdół i brwią boleśnie, jakby ze wstydu, ściągniętą. Było wprost niemożliwością nie poddać się temu uczuciu, że oto ponury, zawodowy oskarżyciel ludzi został wreszcie pokonany przez dumniejszego i czystsze go ducha naturalnej wolności i zdrowia.

W końcu rzekł O. Brown, mrugając oczyma, jakgdyby doznawał fizycznego cierpienia:

— Jeżeli tedy sprawy tak się mają, nie pozostaje ci nic innego, jak zabrać testament, o którym wspomniałeś i odejść. Ciekaw też jestem, gdzie go biedaczka zostawiła?

— Prawdopodobnie leży na jej biurku, przy drzwiach — rzekł Kalon tonem tak niewzruszonej niewinności, że to samo musiało go już uniewin-

nić do reszty. — Jeszcze dziś rano powiedziała mi, że go napisze i w istocie sam widziałem, jak go pisała, kiedy jechałem windą do mojego biura.

— Czy drzwi do jej biura były wtedy otwarte? — zagadnął ksiądz, utkwivszy wzrok w rogu chodnika.

— Tak, — odparł spokojnie Kalon.

— A — odtąd pozostały już otwarte — rzekł tamten i znowu w niemem milczeniu zaczął studjować róg chodnika.

— Oto jakiś papier — odezwała się nagle po nura Joanna głosem nieco osobliwym.

Podeszła do biurka siostry, koło drzwi, trzymając w ręce arkusz kancelaryjnego papieru. Na twarzy jej zarysował się szyderczy uśmiech, który w tej okoliczności wydał się dość nie na miejscu, tak, że Flambeau spojrzał na nią, marszcząc brwi.

Prorok Kalon stał zdaleka od owego dokumentu, z tą królewską obojętnością, która go nie opuszczała. Ale Flambeau zabrał papier z rąk Joanny i odczytał go w najwyższem zdumieniu. Początek istotnie miał zwyczajną formę testamentu, ale po słowach „ofiarowuję, daję i zapisuję wszystko, co po mnie pozostaje“, pismo urywało się nagle szeregiem zamazanych kresek i zygzaków, bez śladu nazwiska, jakiegokolwiek spadkobiercy. Flambeau w zdziwieniu wręczył ten niedokończony testament swojemu przyjacielowi w sutannie,

który obrzucił go przelotnem spojrzeniem i podał go dalej kapłanowi słońca.

W chwilę potem, ów arcykapłan przemierzył w swoich powłóczystych szatach pokój dwoma susami i stanął nad Joanną Stacey, mierząc ją z góry jowiszowem spojrzeniem dziko wytrzeszczonych oczu:

— Co ty mi tu za djabelskie żarty urządzasz?!
— zawołał. — To nie jest wszystko, co Paulina napisała!

Zdumieli się wszyscy, kiedy usłyszeli zupełnie odmienny głos, z jaskrawą domieszką akcentu Yankesów. Cała wyniosłość kapłana i dobra angielszczyzna spadły zeń, niby suknia.

— Znalazłam tylko ten jeden papier na jej biurku — rzekła Joanna i rzuciła nań przeciągłe spojrzenie z tym samym wyrazem nieżyczliwego uśmiechu.

Nagle człowiek ten wybuchnął potokiem niewiarygodnych obelżywych słów. Było coś wstrząsającego w tem odrzuceniu maski — było to tak, jakgdyby nagle odleciała z człowieka jego prawdziwa twarz.

— Słuchaj ty! — Jestem może awanturnik, ale ty jesteś napewno morderczynią! Tak, panowie, oto macie wytłumaczenie śmierci i to bez lewitacji! Biedne dziewczę pisze testament na moją korzyść, a ta jej przekłeta siostra wchodzi, wyrywa jej gwałtem pióro, a potem zawleka ją nad tę studnię i rzuca wdół, zając tamta mogła ukończyć pisa-

nie! Do stu piorunów, myślę, że przecież przydadzą się nam kajdanki!

— Jak pan szczerze zauważył, urzędnik pański jest bardzo godnym młodzieńcem, który z wagą przysięgi — odparła Joanna z niebywałym spokojem. — On zaś przysięgnie w każdym sądzie, że pięć minut przed upadkiem mojej siostry i pięć minut potem, znajdowałam się w pańskim biurze, gdzie układałam papiery. Pan Flambeau potwierdzi też, że mnie tam na górze zastał.

W pokoju nastało głucho milczenie. Po chwili przerwał je Flambeau:

— A zatem Paulina była sama, kiedy upadła — wobec tego było to jednak samobójstwo.

— Paulina była wprawdzie sama, kiedy upadła — rzekł O. Brown — ale to nie było samobójstwo.

— Więc w jaki sposób zginęła? — zapytał zniecierpliwiony Flambeau.

— Została zamordowana.

— Ale była przecież sama! — zauważył detektyw.

— Była sama i została zamordowana — odrzekł książd.

Wszyscy spojrzeli na niego w zdumieniu, ale on pozostał w tej samej pozycji, z wyrazem smutku na twarzy i nieosobistego wstydu. Zmarszczka na jego czole nie ustępowała, głos był bezbarwny i przygnębiony.

— Chciałbym nareszcie wiedzieć — krzyknął

Kalon wśród przekleństw — kiedy nareszcie policja zabierze do stu djabłów tę wyrodną siostrę! Zabiła swoją krew i swoje ciało i mnie obrabowała z połowy miljona, która była moją własnością tak święcie, jak...

— No, no — proroku — przerwał Flambeau, a w głosie jego brzmiała ironja. — Pamiętaj, że życie jest krainą złudzeń...

Kapłan boga słońca, usiłował wdrapać się z powrotem na swój piedestał: — Tu nie rozchodzi się jedynie o pieniądze! — zawołał. — Chociaż pieniądze popchnęłyby moją sprawę naprzód, na cały świat! Ale chodzi także o życzenie mojej ukochaanej! Dla Pauliny wszystko to było świętością! W oczach Pauliny...

Ojciec Brown zerwał się na równe nogi tak gwałtownie, że krzesło z hałasem przewróciło się za nim wtył. Był śmiertelnie błądy, lecz zdawało się, że jakaś nadzieja wstąpiła w jego oczy, które zaświeciły nowym blaskiem.

— Oto właśnie! — zawołał przejrzystym głosem. — Oto droga, skąd należy wyjść! W oczach Pauliny...

Wysoki prorok cofał się przed maleńkim księżulką w jakimś nieomal panicznym bezładzie. — Co to znaczy? Jak śmiesz? — wołał raz po raz.

— W oczach Pauliny! — powtórzył ksiądz, a jego własne oczy świeciły coraz mocniej. — Mów dalej, mów, na miłość boską! Najnędzniejsza zbrodnia, jaką podszeptywały potwory, maleje i dozna-

je ulgi po spowiedzi, a ja błagam cię, abyś się wy-
spowiadał! Mów, mów dalej — w oczach Pauliny...

— Puść mnie! — Szatanie! — zagrzmiał Kalon,
walcząc, niby olbrzym schwytany w sidła. — Kim
jesteś, przeklęty szpiegu, który snujesz twoją pa-
jączą sieć dokoła mnie i zaglądasz we mnie? Puść
mnie!

— Czy mam go zatrzymać? — zapytał Flam-
beau, znalazłszy się jednym susem u wyjścia. —
Kalon bowiem już był otworzył drzwi.

— Nie — pozwól mu odejść, — rzekł O. Brown
z westchnieniem tak głębokiem, jakgdyby wycho-
dziło z głębin wszechświata. — Pozwól odejść Ka-
lonowi, albowiem należy on do Boga.

Podczas gdy tamten opuszczał pokój, zapano-
wało przeciągłe milczenie, które zawziętemu Flam-
beau wydawało się długą agonją całej tej zagadki.
Panna Joanna Stacey z zimną obojętnością ukła-
dała na biurku papiery.

— Ojcie, — odezwał się wreszcie Flambeau —
to jest mój obowiązek, nie tylko z prostej cieka-
wości, to jest mój obowiązek — odkryć — o ile
tylko potrafię — kto popełnił tę zbrodnię?

— Jaką zbrodnię? — zapytał Ojciec Brown.

— Tę oczywiście, z którą mamy do czynienia!
— odpowiedział zniecierpliwiony przyjaciel.

— Mamy do czynienia z dwiema zbrodniami—
rzekł Brown. — Zbrodniami o bardzo różnej wa-
dze popełnionemi przez zupełnie różnych zbro-
dniarzy!

Panna Joanna Stacey, zebrawszy i ułożywszy papiery, zabierała się do zamknięcia biurka. A Ojciec Brown mówił dalej, zwracając równie mało uwagi na nią, co ona na niego.

— Obie zbrodnie — zauważył — zostały skierowane przeciw jednej i tej samej słabości jednej osoby, z jednym zamiarem — zagarnięcia jej pieniędzy. Sprawca większej zbrodni został zaskoczony mniejszą zbrodnią i sprawca mniejszej zbrodni zabrał pieniądze.

— Ależ dajmy pokój temu wykładowi! — mruknął Flambeau. — Można przecież to wszystko powiedzieć w kilku słowach.

— Nawet w jednym słowie — odpowiedział jego przyjaciel.

Panna Joanna Stacey, z miną osoby bardzo zajętej swojemi sprawami, nasadziła kapelusz przed małym zwierciadłem i podczas, gdy rozmowa toczyła się dalej, wzięła torebkę, sięgnęła po parasolkę i najspokojniej w świecie wyszła z pokoju.

— Prawda mieści się w jednym słowie i to krótkim słowie — rzekł O. Brown.

— Paulina Stacey była ślepa.

— Ślepa! — powtórzył Flambeau i podniósł się powoli z krzesła, ukazując swoją olbrzymią postać w całej wyniosłości.

— Z urodzenia miała skłonność do tego kalectwa — ciągnął dalej O. Brown. — Jej siostra byłaby też używała okularów, gdyby Paulina była

na to zezwoliła. Ale osobliwa jej filozofja, czy urojenie zabraniało jej pielęgnowania takich słabości przez uleganie im. Nie chciała się przyznać do ślepienia. Usiłowała raczej zwalczyć je wolą. I tak, z natężenia, oczy jej słabły coraz bardziej, ale najszkodliwszych wysiłków podjęła się później. Pojawiły się one wraz z tym cennym prorokiem, czy jak on tam sam siebie nazywa, który uczył ją, jak należy patrzeć gołym okiem w rozpalone słońce. Nazywało to się: wchłaniać w siebie Apollina. O, gdyby ci nowi poganie byli tylko starymi poganami — mieliby trochę więcej rozum! Starzy poganie wiedzieli, że kult nagiej natury ma swoją straszną stronę! Wiedzieli, że oko Apollina potrafi opalić i oślepić.

Znowu nastało milczenie a potem ksiądz opowiadał dalej, bardziej miękkiem, a nawet złamanym głosem.

— Obojętna, czy ten djabeł z rozmysłem powodował jej ślepienie — w każdym razie nie ulega wątpliwości, że z rozmysłu zabił ją zapomocą jej ślepoty. Prawdziwa prostota tej zbrodni przypomina o mdłości. Jak ci wiadomo, zarówno on, jak i ona, używali windy bez pomocy *liftboy'a* — wiadomo ci także, jak gładko i cicho idzie winda. Kalon wyjechał windą na piętro, na którym znajduje się biuro sióstr. Widział przez uchylone drzwi, jak dziewczyna powoli, sposobem ślepców, spisywała swoją ostatnią wolę, w myśl tego, co mu

przysięgła. Zawołał wesoło, że winda stoi dla niej w pogotowiu i prosił, aby wyszła, skoro ukończy pisanie. Następnie pociągnął guzik i bez szmeru wyjechał do siebie na górę, wszedł do biura, wyszedł na balkon i już bezpiecznie modlił się wobec zebranej gawiedzi, podczas gdy nieszczęśliwe dziewczę, ukończywszy pisanie, wybiegło pośpiesznie tam, gdzie czekała na nią winda i kochanek, i wesoło...

— Dosyć! — krzyknął Flambeau.

— Za to pociśnięcie guzika miał otrzymać pół miliona — mówił dalej mały ksiądz bezbarwnym głosem, jakim zawsze opowiadał o strasznych rzeczach. — Ale to mu się nie udało. Nie udało się dlatego, ponieważ znalazł się jeszcze ktoś inny, kto także pożył pieniądze Pauliny i który także znał tajemnicę jej oczu. Jest jeden szczegół w tym testamencie, którego nikt zdaje się nie zauważył: Jakkolwiek testament nie był ukończony i brakło w nim jeszcze podpisu, to jednak druga panna Stacey, oraz ktoś z ich służby, podpisali się już byli, jako świadkowie. Joanna pierwsza położyła swój podpis, mówiąc — z owem typowo kobiecem lekceważeniem legalnej formy — że Paulina może testament ukończyć później. Joanna chciała, aby jej siostra podpisała testament w nieobecności świadków. A dlaczego? Zaraz przyszła mi na myśl ślepotą i wtedy nabrałem przekonania, że dlatego chciała ona, aby Paulina podpisała dokument bez

świadków, ponieważ w ogólności nie chciała, aby Paulina dała swój podpis.

— Ludzie tacy, jak siostra Stacey zwykli używać wiecznych piór, szczególnie naturalne było to u Pauliny. Dzięki przyzwyczajeniu, swojej silnej woli, oraz dzięki swej pamięci umiała pisać nieomal tak dobrze, jakgdyby widziała. Nie mogła tylko wiedzieć, kiedy należało pióro na nowo napelnić. Dlatego siostra z wielką starannością napelniała jej pióra, wszystkie — z wyjątkiem tego jednego. Tego jednego z tą samą starannością *nie* napelniła. Resztki atramentu starczyły zaledwie na tych parę wierszy, aż wypisały się doszczętnie. A prorok stracił pięćset tysięcy funtów i popełnił jedną z najbrutalniejszych i najświatniejszych zbrodni w historii ludzkości — napróżno.

Flambeau podszedł do otwartych drzwi i usłyszał odgłos kroków policji na schodach. Odwrócił się i rzekł:

— Musiałeś śledzić wszystko djabło zbliska, skoroś w dziesięć minut wytropił zbrodnię Kalona.

Ojciec Brown obruszył się raptownie.

— O! Jego bynajmniej! — rzekł. — Musiałem raczej śledzić zbliska Joannę i owe wieczne pióra. Ale co do Kalona — wiedziałem, że on jest owym zbrodniarzem, zanim jeszcze wszedłem do bramy.

— Żartujesz chyba? — zawołał Flambeau.

— Mówię zupełnie poważnie — odpowiedział

ksiądz. — Powiadam ci: wiedziałem, że to on popełnił, zanim jeszcze wiedziałem, co takiego popełnił.

— Jakżeż to?

— Ci pogańscy stoicy — rzekł Brown w zamyśleniu, — zawodzą zawsze dzięki swojej sile. Ów łoskot i krzyk rozległ się na całą ulicę, a kapitan Apollina ani drgnął. Nie wiedziałem wtedy, co się stało. Ale wiedziałem, że on tego oczekiwał.

ZNAK ZŁAMANEGO MIECZA

Tysięczne ramiona lasu zawlókł szary cień, z którego połyskał miljon ich srebrnych palców. Na ciemnem niebie, podobnem do zielonawoniebieskiej płyty łupku, iskrzyły się gwiazdy, niby połupany lód. Ostry, krzepki mróz nadawał gęsto zalesionej, a zrzadka zaludnionej okolicy wyraz białej martwoty. Czarne czeluście pomiędzy drzewami przypominały czarne otchłanie bezdusznego skandynawskiego piekła — piekła bezmiernego chłodu. Nawet od graniastej wieży kościoła wiało zimno dzikiej północy, jakgdyby była barbarzyńską wieżycą pośród morskich skał Islandji.

Nie była to szczególnie stosowna noc do zwiedzania cmentarza. A jednak, z drugiej strony, warto się było może tam wybrać.

Cmentarz wylaniał się nagle z pośród szarego lasu, niby garb, czy kopuła zielonej murawy, która wydawała się szarą w oświetleniu gwiazd. Groby były po większej części ułożone na pochyłości, a ścieżka wiodąca do kościoła, była stroma, jak

schody. Na szczycie wzgórza, w miejscu płaskiem i wyniosłem, stał pomnik, z którego miejsce to słyszano. Pomnik odbijał dziwnie od tła, które stanowiły rozrzucone dokoła bezkształtne groby, był zaś dziełem jednego z największych rzeźbiarzy współczesnej Europy. A jednak sławę rzeźbiarza przyćmiewała z miejsca sława człowieka, którego pomnik uwieczniał. Pod dotknięciem srebrnego olówka nikłych gwiazd, widniała potężna metalowa postać spoczywającego żołnierza, z rękami złożonemi do skupionej modlitwy, z dużą głową opartą na armacie. Dostojną twarz okalała broda, a raczej bokobrody w dawnym żołnierskim stylu pułkownika Newcome'a. Zlekka zaznaczony był nowoczesny mundur polowy żołnierza. U prawego boku wisiała szabla, której koniec był odłamany, przy lewym boku leżała biblia.

W letnie słoneczne południa roilo się tu od pojazdów, w których zjeżdżali obywatele przedmiejscy oraz Amerykanie, aby obejrzyć grobowiec. Ale nawet i wtedy rozległe zalesione obszary z ową przysadkowatą wyżyną cmentarza i kościołem wydawały się dziwnie martwe i opuszczone. W zamarzłych ciemnościach zimy mogłoby do cna wyglądać na to, że grób pozostawiony jest wyłącznie samotności i gwiazdom. Niemniej, w ciszy martwego lasu, zaskrzypiały nagle drewniane wrota i dwie ciemne, czarno odziane postacie jęły pisać się po ścieżce, wiodącej do grobowca. Tak nagle było mroźne światło gwiazd, że nic nie można

było na obu czarnych sylwetkach rozeznaczyć, poza tem, że jeden człowiek był niezwykle wysoki, a drugi, może przez kontrast, wydawał się uderzająco mały.

Podszedłszy do grobowca sławnego żołnierza, przystanęli na chwilę, aby mu się przejrzeć. Dookoła, w dużym promieniu, nie było żadnej ludzkiej, a może i żadnej żyjącej istoty. Przy wybujałej fantazji można było zwątpić, czy obaj przybyłe wogóle należą do rodzaju ludzkiego. W każdym razie początek ich rozmowy mógł się wydać co najmniej dziwny. Po pierwszej chwili milczenia mały człowiek odezwał się do wysokiego:

— Gdzie mądry człowiek ukryłby kamień?

Wysoki odpowiedział półgłosem:

— Na kamienistym wybrzeżu.

Mały człowieczek skinął głową, a po krótkim milczeniu rzekł:

— Gdzie człowiek mądry ukryłby liść?

A tamten odparł:

— W lesie.

Znowu nastało milczenie, a potem wysoki spytał:

— Czy ma to znaczyć, że gdyby mądry człowiek zechciał ukryć prawdziwy brylant — ukryłby go między fałszywymi?

— Nie, co to, to nie — odparł z uśmiechem mały — ale mniejsza o to.

Przez chwilę tupał zmarzniętymi nogami o ziemię, poczem odezwał się:

— Nie to miałem na myśli, ale coś całkiem innego, coś całkiem osobliwego.

— Zaświeć, proszę, zapalkę.

Wysoki mężczyzna sięgnął do kieszeni i za chwilę potarł zapalną. Płomień złotym błyskiem oświecił całą płaską stronę pomnika. Wryte były na niej czarnymi literami słowa, dobrze znane Amerykanom, którzy je z czcią wielką czytali: Pamięci Generała Sir Artura St. Clare, Bohatera I Męczennika. Który Zawsze Zwyciężał Nieprzyjaciół i Zawsze Bywał Dla Nich Wspaniałomyślny, A Wreszcie Zginął Z Ich Zdradzieckiej Ręki. Oby Bóg, Któremu Ufał, Pomścił i Nagrodził Jego Krzywdę.

Zapalka popiekła palce wysokiego mężczyzny, zwęgliła się i upadła. Już chciał zapalić drugą, gdy towarzysz powstrzymał go:

— To wystarczy, Flambeau, mój przyjacielu. Widziałem już to, czego mi było trzeba. A raczej nie widziałem tego, czego nie chciałem zobaczyć. A teraz trzeba będzie przespacerować się półtorej mili na drodze do najbliższej oberży. Tam spróbuję ci to wszystko wytłumaczyć. Bóg świadkiem, że należy się człowiekowi dobry ogień na kominku i szklanka piwa, kiedy ma opowiedzieć taką historję.

Zeszli stromą ścieżką, zasunęli zpowrotem skrzypiące wrota i ruszyli mozolnym marszem w dół leśnej zmarzłej drogi. Kiedy uszli już dobre ćwierć mili odezwał się mały człowiek:

— Tak jest, mądry człek ukrywa kamień na wybrzeżu. Ale co pocznie, kiedy wybrzeża niema? Czy słyszałeś kiedy o tej wielkiej tragedji St. Clare'a?

— Nie — odrzekł tamten. — O angielskich generałach nie wiem nic, choć wiadomo mi niejedno o angielskich policjantach — dodał z uśmiechem. — To tylko mogę powiedzieć, że ksiądz wlecze mnie już całkiem spory kawał czasu do wszystkich pomników jegomości, który niech tam sobie będzie, czem chce. Gotówby kto pomyśleć, że pochowano go w sześciu różnych miejscach. Widziałem jeden pomnik generała St. Clare'a w opactwie Westminsteru, widziałem go na pomniku konnym, jako kłusującego rycerza, nad brzegiem Tamizy, widziałem tablicę pamiątkową generała na domu, w którym się urodził i drugą, w ulicy, przy której mieszkał. A teraz daję się wlec w ciemnościach na cmentarz wiejski do jego trumny. Zaczyna mnie już ta wielka osobistość trochę nudzić, tem bardziej, że nie mam najmniejszego pojęcia, kim ona była? Właściwie, na co ksiądz dobrodziej poluje po tych wszystkich kryptach i pomnikach?

— Szukam tylko jednego, jedyne go słowa — rzekł Ojciec Brown. — Słowa, którego tam nie było.

— Więc może wreszcie zechce mi ksiądz coś o tem powiedzieć? — zapytał Flambeau.

— I owszem, ale muszę tę historję podzielić

na dwie części. — odparł ksiądz. — Pierwsza część to ta, o której wszyscy wiedzą. A druga, to ta, o której wiem tylko ja sam. Otóż to, co wiedzą wszyscy, jest krótkie i proste. Jest też zarazem najzupełniej fałszywe.

— Dobra sobie! — rzekł rozbawiony wysoki człowiek, nazwiskiem Flambeau. — Zaczniemy w takim razie od tego fałszywego końca. Zaczniemy od tej części, o której wszystkim wiadomo, a która jest nieprawdziwa.

— Jeżeli niezupełnie nieprawdziwa, to przynajmniej bardzo niejasna — zauważył ksiądz Brown. — W każdym razie to, co jest powszechnie wiadome, da się streścić w następujących kilku słowach: Publiczność wie, że Artur St. Clare był wybitnym i zasłużonym generałem angielskim. Wie także, że po odbyciu świetnych, ale zarazem żmudnych wypraw do Indyj i do Afryki dowodził armją w wojnie przeciw Brazylii, kiedy to wielki patriota brazylijski Olivier ogłosił swoje ultimatum. Wie dalej, że wtedy St. Clare, mając pod sobą garstkę żołnierzy, zaatakował Oliviera, który stał na czele ogromnej armji i że po heroicznym oporze, dostał się St. Clare do niewoli. Wie jeszcze i to, że potem, ku przerażeniu całego cywilizowanego świata, został St. Clare powieszony na najbliższem drzewie. Kiedy Brazylijczycy cofnęli się, znaleziono go tam wiszącego, ze złamaną szablą zawieszoną u szyi.

— Więc ta wersja miałaby być nieprawdziwa?
— zapytał Flambeau.

— Nie — odparł jego przyjaciel spokojnie. —
Do tego punktu jest zupełnie prawdziwa.

— No, zdaje mi się, że ten punkt jest już chyba ostateczny... — rzekł Flambeau. — Ale jeżeli ta popularna anegdota jest prawdziwa — w czym leży tedy tajemnica całej sprawy?

Minęli setki szarych i upiornych drzew, zanim mały ksiądz odpowiedział. Długo gryzł w zamyśleniu palec, aż rzekł:

— Owa tajemnica jest tajemnicą psychologii, a raczej tajemnicą dwu psychologii. W tej brazylijskiej aferze, dwóch najślawniejszych ludzi współczesnej historii postąpiło najzupełniej wbrew swojej naturze. Olivier i St. Clare — uważasz — obaj byli bohaterami dawnego typu, to nie ulega żadnej wątpliwości. Walka ich miała w sobie coś z walki Hektora z Achillesem. A teraz — cóżbyś powiedział na taką historję, w której Achilles jest tchórzem, a Hektor zdrajcą?

— No, dalej, — rzekł niecierpliwie wysoki człowiek, podczas gdy tamten znowu gryzł palec.

— Sir Artur St. Clare był żołnierzem starego religijnego typu — ten typ ocalił nas podczas Powstania. — ciągnął dalej Brown. — Obowiązek był u niego zawsze przed osobistym porywem. Mimo całą swą osobistą odwagę, był dowódcą zdecydowanie roztroptym, który w pierwszym rzędzie nie znosił niepotrzebnego marnowania żołnierza. A

jednak, w owej ostatniej bitwie, przedsięwziął coś, co dziecko małe uznałoby za niedorzeczność. Nie trzeba być strategikiem, aby wiedzieć, że był to czyn szaleńca, tak samo, jak nie trzeba być strażnikiem, aby wyminąć na drodze samochód. Otóż to jest pierwsza zagadka: co się stało z głową angielskiego generała? Druga zagadka jest: co się stało z głową generała brazylijskiego? Można powiedzieć, że prezydent Olivier był marzycielem, albo że był nudziarzem — ale nawet wrogowie jego przyznawali, że w swojej wielkoduszności miał on coś z błędnego rycerza. Wszystkim nieomal jeńcom wojennym darowywał wolność, a nawet szczerze ich obdarzał. Ludzie, którzy wyrządzali mu srogie krzywdy, odchodzili wzruszeni jego słodyczą. Czemuż, u licha, miałby on nagle, raz jeden w życiu, zemścić się tak okrutnie? I to właśnie za ten jeden szczególny cios, który go bynajmniej tak dotkliwie nie ugodził? Otóż widzisz — tak się ta sprawa przedstawia. Jeden z najrozsądniejszych ludzi świata, niewiadomo z jakiego powodu, postąpił, jak okrutnik — także niewiadomo, dlaczego. Masz tu, chłopcze, przebieg tej historii od A do Z. Rozwiązanie oddaję tobie.

— O, to ja już lepiej pozostawię księdzu — uśmiechnął się tamten. — Ksiądz będzie wiedział lepiej ode mnie, jak tę zagadkę rozwiązać.

— Niech i tak będzie, — odpowiedział Ojciec Brown. — Kłamałbym, gdybym chciał powiedzieć, że ogólna opinia była taka właśnie, jak ją przed

chwila przedstawilem. Należy bowiem dodać, że od tego czasu zaszły dwie rzeczy. Co prawda, nie może rzec, aby rzucały nowe światło na sprawę, nikt bowiem nie potrafiłby dorozumieć się z nich nowego sensu. Ale rzuciły one jakiś nowy rodzaj ciemności — rzuciły tę ciemność w nowym kierunku. Pierwsza rzecz była następująca: lekarz domowy St. Clare'ów pokłócił się z tą rodziną i ogłosił szereg gwałtownych artykułów, w których utrzymywał, że zmarły generał był manjakiem religijnym. Jak jednak głosiła wersja, generał był poprostu religijnym człowiekiem i nic więcej. W każdym razie afera ta spelzła na niczem. Wszystkim było oczywiście wiadomo, że St. Clare nie był pozbawiony pewnej przesady na punkcie purytańskiej pobożności. A teraz drugie wydarzenie, znacznie bardziej zastanawiające: w nieszczęsnym pułku, który urządził ów gwałtowny atak nad Czarną Rzeką, znajdował się niejaki kapitan Keith, który był podówczas zaręczony z córką St. Clare'a i który później z nią się ożenił. Wraz z innymi dostał się on do niewoli Oliviera i podobnie jak inni — z wyjątkiem generała — miał zostać hojnie obdarowany i wypuszczony na wolność. W jakich dwadzieścia lat później, ten że sam człowiek, już jako podpułkownik, ogłosił rodzaj autobiografii pod tytułem „Oficer brytyjski w Burmach i Brazylii“. W miejscu, w którym czytelnik oczekuje niecierpliwie jakiegoś opisu, czy wyjaśnienia zagadkowej katastrofy, St. Clare'a, znajdują się na-

stepujące słowa: „W książce tej opisałem wszystkie wydarzenia wiernie, tak, jak się odegrały, będąc zdania, że sława Anglii jest dość silnie ufundowana, iżby sama mogła dbać o siebie. Jedynym wyjątkiem jest pominięcie klęski nad Czarną Rzeką, a względy, dla których to czynię, chociaż natury prywatnej, są honorowe i przymusowe. Tyle tylko mogę oświadczyć w imię sprawiedliwości, oraz dla wiecznej pamięci tych dwóch wybitnych mężów: generał St. Clare został w tej sprawie oskarżony o nieudolność. Mogę poświadczyć przynajmniej, że akcja ta była, w całym tego słowa znaczeniu, jedną z najświetniejszych i najśnielszych w jego życiu. Prezydenta Oliviera spotyka w tym samym wypadku sroga krzywda. Poczuję się do obowiązku oddania nieprzyjacielowi należnego mu hołdu stwierdzeniem, że i w tej sprawie złożył niezbite dowody swojej wrodzonej wielko duszności. Aby się jaśniej wyrazić — mogę zapewnić moich rodaków, że St. Clare żadną miarą nie był tak głupi, ani Olivier tak okrutny, jak to się wydaje. To jest wszystko, co mam do powiedzenia. Żadne ludzkie względy nie zdołają mnie skłonić do tego, abym jedno słowo jeszcze dodał w tej sprawie“.

Duży zmarzły księżyc, niby błyszcząca kula śniegu, zaczął się przed ich oczyma wynurzać z pośród powikłanych gałęzi i w świetle jego mógł opowiadający dopomódz pamięci tekstem kapitana Keitha, wydrukowanym na małej kartce pa-

pieru. Kiedy O. Brown złożył kartkę i schował z powrotem do kieszeni, Flambeau zawołał w podnieceniu, gestykulując żywo zfrancuska:

— Zaraz, zaraz! Zdaje mi się, że mam już najprostsze w świecie rozwiązanie! — Po tym wykrzykniku ruszył dalej, wyciągając czarną głowę wprzód i wyprężając szyję, jak zwycięzca w wyścigu sportowym.

Mały ksiądz, rozbawiony i zaciekawiony, z trudem dotrzymał mu kroku. Drzewa rozstały się nieco przed nim, w lewo i prawo; droga prowadziła teraz poprzez jasną, światłem księżyca oblaną polanę, aby zanurzyć się znowu, niby królik, w zwał nowego lasu. Wejście do niego było ciasne i wąskie, niby czarny otwór odległego tunelu kolejowego. Oddalone było jeszcze o setkę jardów i rozwierało się, jak czeluść korytarza, kiedy Flambeau znowu się odezwał:

— Mam ją! — zawołał, bijąc się dużą dłonią w kolano. — Dość mi było czterech minut — a już mogę wyjaśnić ci całą tę historję!

— To bardzo dobrze! — przyklasnął przyjaciel. — A więc mów!

Flambeau podniósł głowę, ale zniżył głos.

— Generał Sir Artur St. Claire — rzekł, — pochodził z rodziny, w której szaleństwo było dziedziczne. Jedyną jego troską było zataić to przed swoją córką, a o ile to było możliwe, także i przed swoim przyszłym zięciem. Słusznie, czy niesłusznie, czując, że zbliża się końcowy rozpad.

postanowił odebrać sobie życie. Ale zwyczajne samobójstwo mogło naprowadzić właśnie na domysł, którego się obawiał. Podczas kampanji umysł jego stawał się coraz bardziej zamroczony, aż wreszcie, w przystępie szału, poświęcił sprawię prywatnej obowiązku publiczny. Rzucił się szaleńczo w wir walki, spodziewając się paść od pierwszej kuli. Kiedy zobaczył, że wpadł tylko w sromotną niewolę, — złamał swoją szablę i powiesił się.

Flambeau wlepił oczy w szarą fasadę lasu, w ten jeden czarny otwór, podobny do grobowej czeluści, w której tonęła ich ścieżka. W tem nagłym urwaniu się drogi była może jakowaś groza, która ożywiła plastyczną wizję tragedji, bo Flambeau wstrząsnął się cały i rzekł:

— Straszna historia!

— Straszna historia, — powtórzył ksiądz ze zwieszoną głową. — Ale nieprawdziwa.

Poczem odrzucił głowę wtył z odcieniem rozpacz i zawołał:

— Och, jakbym chciał, aby była prawdziwa!

Wysoki Flambeau odwrócił się i zatopił w księdzu pytające spojrzenie.

— Twoja historia jest czysta, — zawołał Ojciec Brown, głęboko wzruszony. — Słodka, czysta, uczciwa historia, tak szczerza i jasna, jak ten księżyc. Szaleństwo i rozpacz, to rzeczy dość niewinne. Ale bywają gorsze, Flambeau!

Flambeau spojrzał błędnym wzrokiem na księ-

życ, postawiony właśnie za wzór. Na tarczy księżycowej czerniła się jakowaś gałąź, zakrzywiona zupełnie nakształt djabelskiego rogu.

— Ojcie — ojcie, — zawołał z francuską gestykulacją i coraz bardziej przyśpieszając kroku. — Czy sądzisz, że było gorzej?

— Gorzej jeszcze — rzekł Paweł, jakby echo z za grobu.

Kiedy zanurzali się w czarną czeluść lasu, znaleźli się na drodze, oskrzydłonej ciemną ścianą pni, niby w ciemnym korytarzu z sennego widziadła.

Dotarli wkrótce do samego jądra lasu i ociecali się o liście, których nie widzieli, kiedy ksiądz znowu się odezwał:

— Gdzie ukrywa mądry człowiek liść? W lesie. — Ale co poczyną, skoro niema lasu?

— No, dobrze, dobrze — zawołał poirytowany Flambeau. — Cóż tedy robi?

— Stwarza las, aby w nim liść ukryć, — rzekł ksiądz ponurym głosem. — Straszny to grzech.

— No patrzcież! — krzyknął jego przyjaciel zniecierpliwiony — albowiem ciemny las i to ciemne gadanie zaczęły mu już działać na nerwy. — Czy chcesz mi wreszcie powiedzieć tę historję, czy nie? Cóż jest jeszcze w tej sprawie wiadome?

— Istnieją jeszcze trzy inne dowody, — rzekł tamten — które wygrzebałem po różnych zakątkach i zaraz ci je przedstawię, i to w porządku logicznym raczej, niż chronologicznym. Przedewszystkiem naturalnie wiadomości nasze o przebie-

gu i wyniku bitwy opierają się na oficjalnych komunikatach Oliviera, które są dosyć jasne. Olivier okopał się z dwoma, czy trzema pułkami na wzgórzach, opadających ku Czarnej Rzece, którei przeciwległy brzeg był niski i bardzo grząski. Za tym brzegiem ciągnęły się nieznaczne wzgórza, na których stały angielskie forpocztzy. Główne siły Anglików znajdowały się w dość znacznej odległości. Naogół armja angielska była w silnej liczebnej przewadze, ale szczególnie jeden angielski pułk był dość oddalony od swojej podstawy operacyjnej, tak, iż Olivier zaczął rozważać projekt przebycia rzeki i odcięcia go od głównej armji. Ale pod wieczór odstąpił od powziętego pierwotnie planu i postanowił pozostać jednak na dawnej, szczególnie silnej pozycji. Jakież było następnego ranka jego zdumienie, na widok owej garstki żołnierzy, która, niezasilona od tyłów, przerzuciła się przez rzekę, częścią mostem od prawej, a częścią przeszła ją brodem u góry i zbierała się na bagnistym brzegu u jego stóp. Było aż nadto nieprawdopodobne, aby ta garstka zamierzała zaatakować wroga, znajdującego się w tak korzystnej pozycji. Ale Olivier zauważył coś jeszcze osobliwszego. Szalony ten bowiem pułk, znalazłszy się pomiędzy wzgórzem nieprzyjacielskiem a rzeką, nie przedsięwziął żadnych dalszych kroków, ale ugrzązł w bagnie, niby muchy w syropie, zamiast przenieść się na teren bardziej korzystny. Oczywiście, że Brazylijczycy zasypali

ich granatami, na co tamci odpowiedzieli ochotczym, ale słabnącym coraz bardziej ogniem karabinów. Nie ugięli się jednak aż do końca. Olivier kończy swój krótki opis bitwy wyrazami najgłębszego podziwu dla nieziemskiej waleczności tych głupców. — Linja nasza — powiada Olivier — posunęła się wkońcu naprzód i zepchnęła ich do rzeki. Generała St. Clare'a i kilku innych oficerów pojмалиśmy do niewoli, pułkownik i major polegli w bitwie. Muszę przyznać, że postawa tego nadzwyczajnego pułku mało znajduje analogij w historii wojen. Ranni oficerowie wyrwali karabiny poległym żołnierzom, a sam generał, na koniu, stawiał nam czoło z odkrytą głową i złamaną szablą. — O dalszych losach generała Olivier zachowuje takie same milczenie, jak kapitan Keith.

— No, dobrze, — mruknął Flambeau. — Ale jakież są dalsze dowody?

— Znalezienie dalszych dowodów wymagało dłuższego czasu — rzekł ksiądz Brown. — Ale opowiedzieć da się znacznie krócej. Odnalazłem w końcu w jakimś przytułku w Lincolnshire Fens starego żołnierza, który nie tylko że był ranny nad Czarną Rzeką, ale nawet klęczał u boku pułkownika, kiedy ten umierał. Pułkownikiem był niejaki Clancy, typowy rosły irlandzki byk. Zdawać się mogło, że umiera nietyle od kuli, ile z wściekłości. Jakkolwiek sprawy się miały, nie on był odpowiedzialny za tę niepoczytalną szarżę. Najwidoczniej narzucił mu ją był generał. Ostatnie

jego zdumiewające słowa, według relacji mojego informatora, były następujące: — Patrzcie na tego przekłętego starego osła, z ułamanym końcem szablil! Wolałbym, aby to się stało z jego głową! Wszyscy, jak widzisz, zdają się zauważać ten jeden szczegół — ułamane ostrze szabli, chociaż po większej części wyrażają się o tem z większą czcią, niż zmarły pułkownik Clancy. A teraz przejdźmy do trzeciego szczegółu.

Ścieżka wiodąca przez las, zaczynała się coraz bardziej wspinać, tak, że ksiądz przerwał na chwilę, aby nabrać tchu. Potem ciągnął dalej tym samym jakby urzędowym tonem:

— Jaki miesiąc temu umarł w Anglii pewien brazylijski urzędnik, który poróżnił się był z Olivierem i opuścił swoją ojczyznę. Był to Hiszpan, osobistość znana zarówno tu, jak i na kontynencie — nazywał się Espado. Ja sam znałem go także, tę żółtą twarz starego lowelasa z orlim nosem. Dla różnych względów natury poufnej, udzielono mi wglądu w pozostałe po nim papiery. Był to oczywiście katolik; spędziłem z nim ostatnie chwile przed jego śmiercią. Dookoła tego człowieka nie było nic takiego, co mogłoby rzucić jakie światło na ciemną aferę St. Clare'a, wyjąwszy pięć, czy sześć zeszytów z dziennika jakiegoś angielskiego żołnierza. Mogę tylko przypuścić, że któryś z Brazylijczyków znalazł je u jednego z poległych. Jakkolwiek się sprawa ma — dziennik urywa się nagle w przeddzień bitwy.

Ale opis ostatniego dnia przed śmiercią owego biedaczyny doprawdy wart jest przeczytania. Mam go przy sobie, ale jest za ciemno, aby go móc odczytać tutaj — spróbuję ci opowiedzieć treść. Otóż pierwsza część tych zapisków jest pełna żartów które widocznie krążyły pomiędzy żołnierzami na temat niejakiego „Sępa“. Osoba ten nie był, zdaje się, ani żołnierzem, ani nawet Anglikiem, nie wspominają o nim też wyrażnie, jako o wrogu. Wszystko przemawia raczej za tem, że był to jakiś gość, który kręcił się pomiędzy nimi, i nie kombatant — może był to przewoźnik, albo dziennikarz. Był w zażyłych stosunkach z pułkownikiem Clancy, ale częściej widywano go na rozmowie z majorem. Major zdaje się wogóle odgrywać wybitną rolę w opowiadaniu owego żołnierza. Miał to być mężczyzna chudy, czarnowłosy, nazwiskiem Murray — północny Irlandczyk i purytanin. Spotyka się ustawicznie żarty na temat kontrastu między ponurością Ulsterczyka a jowialnością pułkownika Clancy. Jest tam również mowa o jednym figlu, dotyczącym jaskrawych spodni Sępa. Ale cały ten żartobliwy ton zostaje nagle przerywany, jak gdyby złowrocznym sygnałem myśliwskiego rogu.

W tyle, za frontem angielskim i prawie równolegle do rzeki biegł jeden z nielicznych w tych stronach wielkich gościńców. Ku zachodowi gościeńiec skręcał do rzeki i przechodził w most, o którym była przedtem mowa, ku wschodowi zaś

wiódł poprzez stepy do najbliższej placówki angielskiej, oddalonej od rzeki o jakie dwie mile. Od tej strony doszedł ich owego wieczora na drodze tętent i szcęk lekkiej kawalerji, w której nasz kronikarz rozpoznał ze zdumieniem generała i jego sztab. Generał jechał na swoim wielkim białym koniu, tak, jak to widziałeś nieraz w pismach ilustrowanych i na akademickich obrazach. To pewna, że ci, którzy go witali, nie ograniczali się jedynie do ceremonjalnego ukłonu, on jednak, nie tracąc czasu na ceregiele, zeskoczył czem prędzej z siodła, wmieszał się w grupę oficerów i wdał się z nimi w energiczną, choć poufną rozmowę. Co najbardziej uderzyło naszego kronikarza, to szczególne upodobanie generała do dyskusji z majorem Murray, choć zaprawdę w owym wyszczególnieniu — jak długo nikt nie zwrócił na nie uwagi — nie było nic nienaturalnego. Obaj ci ludzie byli jakby stworzeni do wzajemnej sympatji.

Obaj byli to ludzie, którzy „czytali Biblię“, były to dwa stare ewangeliczne typy oficerów. Jakkolwiek rzecz się miała, to pewna, że kiedy generał znowu dosiadał konia, ciągle jeszcze rozprawał poważnie z Murray'em i kiedy ruszył stępą w kierunku rzeki, wysoki Ulsterczyk korczył przy uździenicy, zatopiony w poważnej debacie.

Żołnierze patrzali za nimi, póki nie znikli za kępą drzew, tam, gdzie droga skręcała ku rzece. Pułkownik wrócił do swego namiotu, a żołnierze na swoje stanowiska. Człowiek z pamiętnikiem

przystanął jeszcze na chwilę i oto oczom jego ukazał się niezwykle widok.

Duży biały koń, który dopiero co stąpał drogą zwolna, tak jak nieraz już stąpał na różnych pochodach, gnał teraz w gaolpie zpowrotem, jak gdyby za wszelką cenę chciał wygrać wyścig. W pierwszej chwili myśleli wszyscy, że koń po niósł, unosząc jeźdźca na grzbiecie, ale zmiarkowali natychmiast, że generał, świetny jeździec, sam poganiał konia do największego wysiłku. Koń i jeździec przemknęli koło nich, jak burza, poczem generał zatrzymał się jednym szarpnięciem cugli i zwróciwszy ku nim rozplómieloną twarz, zawołał na pułkownika głosem, niby trąba, która budzi zmarłych.

Wyobrażam sobie, że wszystkie te wydarzenia, podobne katastrofie trzęsienia ziemi, spiętrzyły się jedno na drugich, niby kłody, w umysłach tego pokroju, co nasz przyjaciel z dzienniczkiem. W najwyższem, nieprzytomnem podnieceniu wpadli — dosłownie wpadli w szeregi i dowiedzieli się, że bezzwłocznie zostanie poprowadzony atak za rzekę. Generał i major odkryli coś pono przy moście, a teraz miało ledwie jeszcze starczyć czasu do walki o życie. Major już był wyruszył na tyły, aby ściągnąć z głębi kraju rezerwy; było wątpliwe, czy nawet ten bezzwłoczny apel zdoła dotrzeć do nich na czas. Do nocy należało jednak przebyć rzekę, a rano zająć wzgórze. Na tem zamieszaniu i za-

męcie, którym zaczęła się owa romantyczna nocna wyprawa, urywa się nagle dziennik.

Ojciec Brown szedł teraz przodem, ścieżka leśna stawiała się bowiem coraz węższa, coraz bardziej stroma i kręta, aż wreszcie wydało się im, że wspinają się po kręconych schodach. Z pośród ciemności zabrzmiał głos księdza:

— Zaszła tam jeszcze jedna rzecz, drobna, a doniosła. Kiedy generał wezwał ich do owej kawalerskiej szarży, wydobyl swoją szablę do połowy z pochwy, ale potem, jakgdyby się powstydzil takiej melodramatyczności, schował ją zpowrotem. — Uważasz? — znowu mowa o szabli.

Półmrok włamał się ponad nimi poprzez sieć gałęzi, rysując u ich stóp tajemniczy cień sieci. Wspinali się bowiem znowu w bladym świetle nagej nocy. Flambeau wyczuwał już dookoła siebie prawdę, jakgdyby zwietrzył jej atmosferę — nie zwietrzył jeszcze domysłu. Odpowiedział ze wzburzeniem:

— No, dobrze — ale cóż jest właściwie z tą szablą? Przecież oficerowie mają zawsze szable — czyż nie?

— We współczesnych wojnach nie wspomina się o nich nazbyt często — rzekł tamten obojętnie. — Ale w tej historii natrafia się raz po raz na tę kaduczną szablę!

— Cóż więc jest właściwie w tem wszystkim? — mruknął Flambeau. — Nie widzę tu nic niezwykłego — poprostu stary pan złamał swoje

szablę w swojej ostatniej bitwie. Każdy poszedłby w zakład, że po wszystkich gazetach była o tem wzmianka, jak też rzeczywiście było. Na wszystkich tych grobowcach i pomnikach widać owo ułamane ostrze. Spodziewam się, że nie dlatego wybraliśmy się na tę polarną wyprawę, ponieważ dwóch ludzi o bystrym wzroku widziało złamana szablę St. Clare'a.

— Nie! — odpalił Ojciec Brown, jakgdyby wystrzałem z pistoletu. — Ale kto widział tę szablę, kiedy nie była jeszcze złamana?

— Cóż to ma znaczyć? — krzyknął tamten i przystanął cicho pod gwiazdami. Znaleźli się teraz poza mroczną uwięzią lasu.

— Powiadam — kto widział nieułamana szablę? — powtórzył Ojciec Brown z uporem. — W każdym razie nie autor tego dzienniczka. Wszakże generał schował ją na czas do pochwy.

Flambeau spojrzał nań w świetle księżyca, tak jak człowiek tknięty ślepotą, który patrzy w słońce. Przyjaciel jego ciągnął dalej ze wzmożonym zapalem:

— Flambeau, — wołał — ja tego udowodnić nie mogę, nawet teraz, po gonitwie poprzez te wszystkie grobowce. Ale posiadam pewność! Pozwól mi dodać jeszcze jeden drobny szczegół, który wywraca całą sprawę do góry nogami! Pułkownik był, dziwnym zbiegiem okoliczności, jednym z pierwszych, którego ugodziła kula. A ugodziła go na długo, zanim doszło do starcia wręcz. Ale

już wtedy widział złamaną szablę St. Clare'a. Dlaczego była złamana? Jakim sposobem została złamana? Mój przyjacielu — szabla była złamana przed bitwą!

— Och! — rzekł przyjaciel z pewnego rodzaju frasobliwym humorem. — A gdzież jest, proszę, ułamany kawałek?

— Mogę ci to powiedzieć — odparł z miejsca ksiądz. — Znajduje się w północnowschodnim zakątku cmentarza protestanckiej Katedry w Belfast.

— Czy doprawdy? — spytał tamten. — Czy ksiądz go widział?

— Niestety, nie mogłem — odpowiedział Brown ze szczerym żalem. — Znajduje się tam, na jednym grobie duży marmurowy pomnik. Pomnik bohaterskiego majora Murray, który poległ sławnie w sławnej bitwie nad Czarną Rzeką.

Zdawało się, że Flambeau, jakby zgalwanizowany, ocknął się nagle do życia.

— Myślisz, — zawołał ochrypłym głosem — że generał St. Clare nienawidził Murray'a i zamordował go na polu bitwy, ponieważ...

— Twoje domysły są ciągle jeszcze zbyt dobre i czyste, — rzekł tamten. — Było znacznie gorzej.

— Ha! — rzekł wysoki człowiek. — Moja wyobraźnia złego jest już wyczerpana.

Ksiądz zdawał się zaprawdę wahać, czy pójść dalej w opowieści, wreszcie rzekł znowu;

— Gdzie mądry człowiek ukryłby liść?
W lesie.

Tamten nie odpowiedział.

— A gdyby lasu nie było, stworzyłby las.
A gdyby zechciał ukryć liść martwy, stworzyłby
martwy las.

Milczenie było odpowiedzią. Ksiądz dodał cisz-
szej tonem łagodniejszym i bardziej zrównoważo-
nym:

— A gdyby człowiek miał ukryć trupa, stwo-
rzyłby pole trupów, aby go ukryć pomiędzy nimi.

Flambeau począł iść naprzód krokiem, nie cier-
piącym ani chwili zwłoki w czasie ani przestrzeni,
ale Ojciec Brown mówił dalej, jakgdyby kończąc
ostatnie zdanie:

— Sir Artur St. Clare, jak już wspominałem,
był człowiekiem, który czytał swoją Biblię. W tem
jest właśnie sęk. Kiedyż ludzie rozumieją wresz-
cie, że to jest bez użytku — czytać swoją Biblię,
jeżeli się nie czyta jednocześnie Biblii innych lu-
dzi. Drukarz czyta Biblię dla błędów drukarskich.
Mormon czyta swoją i znajduje, że nie mamy rąk
ani nóg. St. Clare był to stary protestancki żołnierz
angielski z indyjskiej kolonii. Pomyśl, co to może
znaczyć i na miłość boską, nie chciej mnie zrozu-
mieć fałszywie. Znaczy, że ten człowiek fizycznie
potężnie rozwinięty, przebywa pod tropikalnem
słońcem, w towarzystwie orjentalnem i rozczytuje
się bezkrytycznie i na ślepo w orjentalnej książce.
Oczywiście, czytywał raczej Stary Testament, niżli

Nowy. Oczywiście, znalazł w Starym Testamencie wszystko, czego pragnął — lubieżność, tyraństwo, zdradę. Och, śmiem twierdzić niewątpliwie, że był — jak wy to nazywacie — prawy. Ale cóż jest do brego w prawości człowieka, który wielbi nieprawość?

W tych wszystkich gorących, tajemniczych krajach, w których przebywał, utrzymywał haremy, poddawał świadków torturom, gromadził hańbiące złoto. Ale z pewnością byłby bez drgnięcia powieki twierdził, że czyni tak na chwałę Pana. Moja własna teologia jest dość wyraźna, abym mógł spytać — jakiego Pana? W każdym razie, zło takie to ma do siebie, że otwiera bramy piekieł, jedną po drugiej, aż do coraz mniejszych i jeszcze mniejszych zakamarków. Istota zbrodni leży w tem, że człowiek nie staje się coraz dzikszy i dzikszy — staje się tylko coraz podlejszy i podlejszy. St. Clare dusił się wnet w opresjach ustawicznych szantażystów i koniecznych przekupstw i coraz bardziej brakło mu pieniędzy. A w czasie bitwy nad Czarną Rzeką runął, spadając z jednego świata do drugiego, tam, gdzie, według Danta, jest już najniższy szczebel wszechświata.

— Co masz na myśli? — zapytał znowu jego przyjaciel.

— Mam na myśli *to!* — odparł ksiądz i nagle wskazał kałużę ściętą lodem, który połyskiwał w księżycu. — Czy pamiętasz, kogo Dante umieścił w ostatnim kręgu lodowym?

— Zdrajców, — rzekł Flambeau i wzdygnął się. Spojrzał dokoła na upiorny krajobraz drzew, na ich kontury drwiące, prawie bezwstydné, i wydało mu się, że jest nieomal Dantem, a ksiądz, ze swym potokiem słów, zaprawdę Wirgiljuszem, wiodącym go przez kraj wieczystych grzechów.

Słowa brzmiały dalej: — Olivier, jak ci wiadomo, był rycerzem i nie byłby sam pozwolił na tajną służbę szpiegów. Jednakowoż tę sprawę, jak wiele innych, załatwiono poza jego plecami. Pokierował nią mój stary przyjaciel, Espado. On to był owym srokatym lowelasem, którego, dla haczykowatego nosa, przewzano Sępem. Uchodząc na froncie za pewnego rodzaju filantropa, potrafił znaleźć drogą do armji angielskiej, a w końcu ująć w swoje palce jedyne go skorumpowanego człowieka — mój Boże! — człowieka, który stał na czele wszystkich, St. Clare potrzebował właśnie gwałtownie pieniędzy, góry pieniędzy. Poważniony lekarz domowy groził wydobyciem na światło dzienne różnych niezwykłych sprawek, które zaczął nawet ogłaszać, zanim ich potem nagle poniechał. Były to potworne odwieczne historie z Park Lane, sprawy angielskiego ewangelika, które pachniały krwią ludzką i niewolnictwem.

Nie było pieniędzy, nie było ich na posag dla córki. Rozgłos bogactwa miał dlań ten sam urok, co bogactwo samo. Chwycił się ostatniej deski ratunku, szepnął słowo Brazylii i złoto posypało

się z rąk angielskich wrogów. Ale był jeszcze jeden człowiek, z którym, podobnie jak z nim, rozmawiał Sęp-Espado — wiecznie posepny i ponury major z Ulsteru odgadł straszną prawdę. Na drodze do mostu, kiedy wolnym krokiem szedł obok generała, oświadczył Murray, że generał musi złożyć dowództwo, w przeciwnym razie zostanie postawiony przed sąd doraźny i rozstrzelany. Generał uspokajał go tak długo, aż znaleźli się w gąszczu drzew tropikalnych przy moście i tutaj na oczach szumiącej rzeki i skapanych w słońcu palm — widzę ten obraz, jak na dłoni — generał dobył szablę i przebił nią majora.

Zimowa ścieżka biegła zygzakami poprzez zamarzłe bruzdy i wyboje. Po bokach czerniły się okrutne kształty gąszczów i zarośli. Flambeau miał jednak wrażenie, że dostrzega ponad niemi bladą smugę łuny, która nie była ani światłem gwiazd, ani księżyca, ale szła z ognia, jak rozniecają ludzie. Patrzył tam, podczas kiedy opowiadanie zbliżało się do końca.

— St. Clare był z piekła rodem, ale miał głowę na karku. Przysięgłbym, że nigdy nie był tak silny i tak trzeźwy, jak wówczas, kiedy ten biedny Murray, niby zimna kłoda, zwałił się do jego nóg. Nigdy, w żadnym swoim triumfie — jak słusznie powiedział kapitan Keith — nie był ten wielki człowiek tak wielki, jak w swojej ostatniej, na całym świecie osławionej klęsce. Zimnem okiem patrzył na broń, kiedy ją ocierał z krwi,

i spostrzegł, że ostrze, które wbił pomiędzy łopatki ofiary, ułamało się w jej ciele. I z całym spokojem ujrzał, jakby przez okno wystawy, wszystko, co musiało nastąpić. Wiedział, że jego ludzie muszą znaleźć zagadkowego trupa, muszą wydobyć z jego ciała zagadkowe ostrze szabli, muszą zauważyć zagadkowo nadłamaną szablę — albo też jej brak. Zabił, ale nie ukrył zbrodni. Hardy jego umysł zbuntował się jednak przed taką perspektywą. Pozostawała jeszcze jedna droga. Można było uczynić trupa mniej zagadkowym. Można było wnieść całą górę trupów, aby ukryć tego jednego. W dwadzieścia minut później, ośmiuset angielskich żołnierzy poszło po swoją śmierć.

Ciepły blask z poza czarnego zimowego lasu wyzierał coraz jaśniej i szczytściej; Flambeau zmierzzał szybko ku niemu. I Ojciec Brown przyspieszył kroku, ale najwidoczniej był zupełnie pochłonięty opowiadaniem.

— Tak wielkie było męstwo owego angielskiego tysiąca i tak wielki był genjusz ich dowódcy, że gdyby odrazu z miejsca byli zaatakowali wzgórze, mimo całą szaloność tego kroku, może byliby doznali powodzenia. Ale zły duch, który bawił się nimi, jak pionkami, miał inne cele i powody. Musieli pozostać w moczarach przy moście przynajmniej tak długo, aż trupy angielskie utworzyły tam jeden zwarty wał. A potem ta ostatnia wspaniała scena: siwowłosey żołnierz od-

daje swój wyszczerbiony miecz, aby wstrzymać dalszą rzeź. O, to było świetnie urządzone, jak na improwizację! Ale mam wrażenie — choć nie mogę tego dowieść, że kiedy ugrzęzli w tem przekletem trzęsawisku, wtedy znalazł się jeden, który miał wątpliwości — i jeden, który odgadł.

Ksiądz zamilkł na chwilę, potem mówił dalej:

— Jakiś niewiadomy głos mówi mi, że człowiekiem, który odgadł, był ów zakochany — człowiek, który miał poślubić dziecko starego żołnierza.

— A cóż było z Olivierem i jego szubienicą?
— zapytał Flambeau.

— Olivier po części z rycerskości, po części ze względów taktycznych, rzadko obciążał się podczas marszu jeńcami, — wyjaśniał opowiadający. — W większości wypadków uwalniał wszystkich. I w tym wypadku wszystkich uwolnił.

— Wszystkich, z wyjątkiem generała, — zauważył wysoki człowiek.

— Wszystkich — rzekł ksiądz.

Flambeau zmarszczył swoje czarne brwi. — Ciągle jeszcze nie mogę się przez to wszystko przegryźć — rzekł.

— Jeszcze jeden obraz, Flambeau, — rzekł Brown półgłosem i bardziej tajemniczo. — Nie mogę tego dowieść. Ale mogę więcej — widzę go. Jest na nim pole, pnące się ku górze, nagie, wyschnięte pagórki o brzasku dnia i brazylijskie mundury, zwinięte w oddziały i kolumny gotowe do

marszu. Jest na nim czerwona koszula i długa czarna rozwiana na wietrze broda Oliviera. W ręku trzyma on kapelusz o szerokich krysach. Żegna właśnie wielkiego swego wroga, któremu zwraca wolność — prostego, siwego jak gołąb angielskiego weterana, który dziękuje mu w imieniu swoich ludzi. Angielskie niedobitki stoją za nim i prezentują broń, obok nich zapasy i pojazdy do odwrotu. Bębny warczą. Brazylijczycy ruszają — Anglicy stoją cicho, niby posągi. Są nieruchomi, dopóki ostatni pogłos i błysk nieprzyjaciela nie zniknie za tropikalnym horyzontem. Potem nagle zmieniają wszyscy postawę, niby umarli, kiedy wracają do życia. Pięćdziesiąt twarzy zwraca się do generała — twarze, których nie sposób zapomnieć.

Flambeau aż podskoczył. — Ach! — krzyknął — Ty myślisz.

— Tak, — przerwał Ojciec Brown głosem poruszonym do głębi. — Angielskie to były ręce, które założyły stryczek na szyi St. Clare'a i może nawet ta sama ręka, która włożyła pierścień na palec jego córki. Angielskie to były ręce, które zawlokły go pod drzewo hańby, ręce tych ludzi, którzy go uwielbiali i szli za nim po zwycięstwo. I angielskie były serca — niech nam Bóg przebaczy i ma nas w Swojej opiece! — które patrzyły, jak kołysał się pod obcym niebem na zielonej palmowej szubienicy, i modliły się w nienawiści, aby spadł z niej prosto do piekła.

Kiedy obaj znaleźli się u szczytu drogi, nagle buchnęło na nich jaskrawe szkarłatne światło poprzez czerwone żaluzje angielskiej oberży. Stała ona na uboczu, jakgdyby oddaliła się od drogi, aby rozszerzyć krąg swojej gościnności. Troje rozwartych drzwi zapraszało do wnętrza, skąd dolatywał głośny gwar i śmiech ludzkości, szczęśliwej przez jedną noc.

— Więcej nie mam już nic do powiedzenia — rzekł Ojciec Brown. — Osądzili go w tem dzikim pustkowiu, a potem, dla honoru Anglii i dla dobrego imienia jego córki, odebrali wzajemnie od siebie przysięgę, że po wieczne czasy dochowają tajemnicy zdradzieckich pieniędzy i morderczej szabli. Może — niech nieba będą im łaskawe — może postarali się zapomnieć o tem. Dlatego i my postarajmy się zapomnieć. Oto i nasza oberża.

— Z serdeczną ochotą! — rzekł Flambeau, wchodząc właśnie do jasnej, hałaśliwej izby, gdy wtem cofnął się i omal nie upadł.

— Spójrz tam — do diabła! — krzyknął i sztywnym ruchem ręki wskazał prostokątną drewnianą tabliczkę, przytwierdzoną ponad gościńcem. Widniał na niej nieco zatarty, niezgrabny kształt rękojeści szabli i fałszywie archaizowane litery napisu: „Znak złamanego miecza“.

— Nie spodziewałeś się tego? — spytał łagodnie Ojciec Brown. — On jest bogiem tej oko-

licy. Połowa zajazdów, i parków, i ulic bierze imię z jego imienia i z jego historii.

— Myślałem, żeśmy już skończyli z tym trędowatym! — krzyknął Flambeau i odwrócił wzrok w stronę gościńca.

— Nie skończymy z nim nigdy tutaj, w Anglii — rzekł ksiądz, patrząc na ziemię. — Dopóki miedź jest twarda i póki starczy kamieni, jego marmurowe posągi będą przez wieki porywały dusze dumnych, niewinnych chłopaków, jego wiejska mogiła, niby lilja, będzie pachnieć prawością. Miljony tych, którzy go nie znali, będą go kochać, jak ojca — tego człowieka, którego wdeptali w błoto ci ostatni, nieliczni, którzy go poznali naprawdę. Będzie uchodził za świętego i nikt nie dowie się prawdy o nim, ponieważ tak ostatecznie postanowiłem. W złamaniu tajemnicy jest tyleż dobrego, co i złego, wolę więc wystawić się na próbę.

Wszystkie papierzyska zaginą, burza antybrazylijska ucichła, Olivierowi oddają już wszędzie należne honory. Ale to sobie postanowiłem, że gdyby gdziekolwiek, na metalu, czy marmurze, który przetrwa piramidy, pokrzywdzone zostało imię pułkownika Clancy, lub kapitana Keith'a, czy prezydenta Oliviera, czy innego niewinnego człowieka — wtedy zabrałbym głos. Ale gdyby szło tylko o to, że St. Clare odbiera niezasłużone hołdy — milczałbym. I tak też uczynię.

Weszli do osłoniętej czerwonymi żaluzjami

tawerny, która była urządzona nietylko wygodnie, ale i z przepychem. Na jednym ze stołów stał srebrny model grobowca St. Clare'a — srebrna głowa przechylona, srebrny miecz złamany. Na ścianach wisiały kolorowane fotografie tegoż grobowca, oraz pojazdów w różnych rodzajach, które zabierały turystów, aby im grobowiec pokazać. Usiedli na wygodnie wyściełanych ławkach.

— Ależ mróz! — zawołał Ojciec Brown. — Napijmy się wina, albo piwa.

— Albo wódki — rzekł Flambeau.

TRZY NARZĘDZIA ŚMIERCI

Zarówno z powołania swego, jak i z przekonania, wiedział Ojciec Brown najlepiej, że śmierć przydaje każdemu człowiekowi godności. Aliści nawet on doznał jakiegoś bolesnego poczucia niedorzeczności, kiedy z brzaskiem dnia doniesiono mu, że Sir Aaron Armstrong został zamordowany. Było coś absurdalnego i nieprawdopodobnego w tym tajemniczym gwałcie, związanym z tak wyjątkowo pogodną i popularną postacią. Sir Aaron Armstrong był bowiem zabawny, aż do granic komizmu i tak dalece popularny, że stał się już nieomal przysłowiową postacią. Było to tak niewiarygodne, jak na przykład wiadomość, że Sunny Jim powiesił się, albo że Mr. Pickwick umarł w Hanwell. Bo chociaż Sir Aaron Armstrong był filantropem i w ten sposób porał się z ciemnymi stronami naszego społecznego ustroju, to jednak chętnie się tem, że czyni to w stylu możliwie wesołym. Jego polityczne i socjalne przemówienia były kataraktami anegdot i dowci-

pów, organizm jego tryskał zdrowiem, jego etyka był optymizm. Problem „Picia“ zaś traktował z ową nieśmiertelną, albo nawet monotonną wesołością, która po największej części jest symptomatyczna dla abstynentów, którym się dobrze wiedzie.

Oklepana historia jego nawrócenia się, zadowiała się na wszystkich bardziej purytańskich kazalnicach i przygodnych katedrach — opowiadano więc wielokroć, jak to, będąc młodym chłopcem, drapnął od szkockiej teologii do szkockiej wódki, jak się potem wzwolnił od obu i doszedł (jak to sam skromnie sformułował) do tego, czem jest. A jednak na widok jego białej, długiej brody, jego twarzy cheruba i okularów, połyskujących na niezliczonych kongresach i przyjęciach, trudno było jakoś uwierzyć, że ten sam człowiek był niegdyś czemś tak chorobliwym, jak nim może być tylko nałogowy pijak, albo Kalwin. Czuło się, że jest to najpoważniejszy wesołek pośród wszystkich synów ziemi.

Sir Aaaron Armstrong mieszkał na zamieszkich krańcach Hampstead'u, w pięknym domu, wysokim, choć nie obszernym; była to modna, prozaiczna wieża. Najwyższa z jej wąskich ścian wychodziła na zielony nasyp kolejowy i drżała w posadach za każdym przejściem pociągu. Sir Aaaron Armstrong nie miał nerwów, jak to chętnie zaznaczał. Ale jeżeli zazwyczaj pociąg

wtrząsał domem, to tego ranka role się odwróciły — dom stał się tym, który wstrząsał pociągiem.

Maszyna zwolniła biegu i przystała tuż za miejscem, w którym jeden róg domu przechodził w stromą spadzistość murawy. Po największej części zahamowanie mechanizmów musi odbywać się powoli, aliści w tym wypadku żywa przyczyna była bardzo nagła. Jakiś człowiek, odziany całkowicie na czarno, aż po przerażający szczegół: czarne rękawiczki — co nie uszło niczyjej uwagi — pojawił się na wzgórzu, ponad lokomotywą i zaczął wymachiwać swojemi czarnemi rękami, niby jaki żałobny wiatrak. Samo przez się, nie byłoby to jeszcze zatrzymało pociągu, mimo że już zwalniał biegu. Atoli człowiek ten dobył z siebie jednocześnie okrzyk, o którym później jeszcze wspominało, jako o czemś najzupełniej nienaturalnem i niebywałem. Był to jeden z tych okrzyków, które są potwornie wyraźne, nawet wtedy, kiedy nie można dosłyszeć, co oznaczają. W tym wypadku było to słowo „Morderstwo“!

Ale maszynista przysięga, że byłby tak samo zatrzymał pociąg, gdyby nawet nie był dosłyszał samego słowa, a tylko przeraźliwy i ostry ton.

Pociąg stanął nagle i pierwszy rzut oka mógł już być ujawnić szereg dowodów tragedji. Czarno odziany człowiek, który stał na zielonym nasypie, był to Magnus, służący Sir Aarona Armstronga. Baronet śmiał się był nieraz w swoim optymizmie z czarnych rękawiczek swego ponu-

rego sługi. Ale teraz nie chciało się jakoś nikomu śmiać na jego widok.

Kiedy jeden i drugi pasażer zeszedł z toru i przelazł zadymiony płot, ujrzał natychmiast ciało starszego pana w żółtym szlafroku, podbitym jaskrawą, szkarłatną tkaniną; ciało to stoczyło się nieomal do podnóża nasypu. U jednej nogi płatał się strzęp jakiegoś sznura, zamotanego widocznie podczas jakiejś walki. Dostrzeżono ślady krwi, chociaż były bardzo nieznaczne. Atoż! ciało było połamane, czy skrecone w kształt, jak na żyjącą istotę, niemożliwy. Był to Sir Aaron Armstrong. Nie ochłonięto jeszcze z przeżenienia, kiedy zjawił się wysoki mężczyzna z jasną brodą, w którym kilku obecnych poznało sekretarza zmarłego, Patricka Royce, znanego ongiś w kołach cyganerii i nie pozbawionego nawet artystycznej sławy. Patrick Royce powtórzył nieby echo śmiertelny okrzyk sługi, mniej jaskrawo, ale może nawet bardziej przejmująco. A kiedy trzeci mieszkaniec tego domu, Alicja Armstrong, córka zmarłego człowieka, zbiegła do ogrodu, chwiejąc się i drżąc na całym ciele, wtedy maszynista przerwał ową przerwę jazdy. Zabrział gwizdek i pociąg ruszył, aby zawezwać pomocy na najbliższej stacji.

Ojciec Brown został tedy zawezwany pośpiesznie przez olbrzymiego Patricka Royce'a, ex-artystę i sekretarza. Royce był z urodzenia Irlandczykiem. Był katolikiem tego przypadkowe-

go pokroju, który nigdy nie pamięta o swojej religji, dopóki nie znajdzie się w prawdziwej opresji. Aliści prośbie Royce'a nie uczynionoby może tak pośpiesznie zadość, gdyby jeden z urzędowych detektywów nie był przyjacielem i wielbicielem prywatnego detektywa, Flambeau'a, nie możliwą rzeczą było zaś być przyjacielem Flambeau'a a nie znać niezliczonych historyj związanych z osobą Ojca Browna. Toteż kiedy młody detektyw (nazwisko jego brzmiało Merton) prowadził małego księdza poprzez pola do kolejowego toru, rozmowa ich była bardziej poufna, niż by się tego można było spodziewać po dwóch najzupełniej obcych ludziach.

— Jak to narazie widzę, — mówił Merton z całą otwartością, — brak w tem wszystkim racji spełnienia zbrodni. Niema nikogo, na którego możnaby skierować podejrzenie. Magnus jest to uroczysty stary dureń, o wiele, wiele za głupi na mordercę. Royce był od lat najserdeczniejszym przyjacielem baroneta, córka jego ubóstwiała go ponad wszelką wątpliwość. Poza tem wszystko to jest zaledwie absurdalne. Któż mógłby zabić takiego wesołego starego kompana, jak Armstrong? Kto mógłby umaczać ręce we krwi bankietowego oratora? To byłoby jakby zabicie świętego Mikołaja!

— To był istotnie wesoły dom — potwierdził Ojciec Brown. — Był bardzo wesoły za jego ży-

cia. Czy przypuszcza pan, że będzie nadal wesoły po jego śmierci?

Merton obruszył się nieznacznie i odrzucił swego towarzysza ożywionem spojrzeniem.

— Po jego śmierci? — powtórzył.

— Tak — odrzekł ksiądz tępo. — On był wesoły. Ale czy ta jego wesołość udzielała się komu? Przyznajmy sobie — czy poza nim był jeszcze ktoś wesoły w tym domu?

Jakoweś okno otwarło się w głowie Mertona i w dziwnem, niespodziewanem świetle ujrzał po raz pierwszy rzeczy, które oddawna były mu wiadome. Merton nieraz bywał w domu Armstrongów, w drobnych, urzędowych sprawach filantropa. Teraz przyszło mu na myśl, że to był w istocie smutny dom. Pokoje były bardzo wysokie i bardzo zimne urządzenie prostackie i zaściankowe. Korytarze, po których hulały przeciągi, oświetlone były lampkami elektrycznymi, bledszymi od księżyca. A chociaż szkarłatna twarz i srebrna broda starca płonęły niby radosny ogień naprzemian po pokojach i korytarzach, to jednak nie było tam ciepła. Niewątpliwie, upiorny brak komfortu w tym domu wynikał po części z nadmiernej żywotności i bujnego temperamentu właściciela, który mawiał, że nie potrzebuje pieców ani lamp, ponieważ własny żar nosi z sobą. Ale kiedy Merton przypominał sobie pozostałych mieszkańców, musiał przyznać, że wyglądali oni, jak cienie swego pana. Ponury lokaj w swych

potwornych, czarnych rękawiczkach, wyglądał bezmała jak zmora; sekretarz Royce był to silny, duży, bawoli typ mężczyzny, odziany w szkockie materiały i z krótką brodą, ale jasna broda była już dziwnie przetkana szaremi nitkami, niby materiał ubrania, a wysokie czoło było poorane przedwczesnymi zmarszczkami. Była to dobra natura, ale dobroć jego była z rodzaju smutnych, nieomal z rodzaju tych, które wywodzą się ze złamanego serca — ogólny jego wygląd mówił o zawodach, które ten człowiek w życiu przeszedł. Co się zaś tyczy córki Armstronga — trudno było nieomal uwierzyć, że była ona jego córką, tak blada była w kolorach i subtelna w liniach. Była pełna wdzięku, ale w postaci jej było coś tak wiotkiego, niby w drzeniu osiki. Merton myślał często, że to turkot mijających pociągów nauczył ją stulać się, jak kwiat.

— Widzi pan, — rzekł Ojciec Brown, mrugając skromnie oczyma. — Nie jestem pewny, czy owa wesołość Armstronga była tak bardzo wesoła — dla innych. Powiada pan, że nikt nie mógłby zamordować tego starego szczęśliwca, ale nie jestem tego pewny — *ne nos inducas in tentationem*. Gdybym kiedykolwiek kogoś zamordował, — dodał z całą prostotą, — przyznam panu, że mógłby to być optymista.

— Dlaczego? — zawołał rozbawiony Merton. — Czy pan uważa, że ludzie nie lubią wesołości?

— Lubią tych, którzy się często śmieją, — odpowiedział Ojciec Brown. — Ale nie uważam, aby lubili bezustanny uśmiech. Weselość bez humoru jest rzeczą bardzo męczącą.

Jakiś czas szli w milczeniu wzdłuż prostego, wystawionego na wiatr kolejowego nasypu i właśnie kiedy wchodzili w wydłużony cień wysokiego domu Armstrongów, Ojciec Brown rzekł nagle, jak człowiek, który odpędza raczej od siebie przykrą myśl, aniżeli ją poważnie wypowiada:

— Oczywiście — pić, to samo przez się nie jest ani rzecz zła, ani dobra. Ale nie mogę się pozbyć uczucia, że ludzie tacy, jak Armstrong, powinni od czasu do czasu napić się kieliszek wina, aby się trochę zasępić.

Przełożony Mertona z urzędu, szpakowaty i zdolny detektyw Gilder, stał na zielonym nasypie i w oczekiwaniu swego młodszego kolegi rozmawiał z Patrickiem Royce, którego duże bary i szczeciniasta czupryna i broda wznosiły się wysoko ponad nim. Było to o tyle godne uwagi, że Royce chodził zawsze silnie wprzód pochylony i zdawał się porać ze swojemj drobnemi, domowemj obowiązkami tak ciężko i koślawo, jak bawół wlokący ciężki wóz.

Skoro tylko ujrzał księdza, natychmiast odciągnął go nabok, a na twarzy jego odmalowało się niezwykle zadowolenie. Tymczasem Merton zwrócił się do starszego detektywa z respektem, nie

pozbawionym jednak pewnej chłopięcej niecierpliwości.

— A zatem, panie Gilder, czy zaszedł pan już daleko w wyświetleńiu tej tajemnicy?

— To nie żadna tajemnica — odparł Gilder, patrząc z pod sennych powiek na dom.

— Dla mnie, w każdym razie, tak — uśmiechnął się Marton.

— To jest dosyć proste, mój chłopcze — zauważył starszy detektyw, gładząc swoją szpakowatą, spiczastą bródkę. — W trzy minuty po tem, jak pan poszedł, na prośbę pana Royce'a, po proboszcza, cała rzecz wyszła na jaw. Pan zna tego służącego z ciastowatą twarzą, w czarnych rękawiczkach, który zatrzymał pociąg.

— O, tego wszędziebym poznał. Dreszcz mnie na jego widok przechodzi.

— Doskonale — cedził Gilder. — Otóż kiedy pociąg ponownie się oddalił, on oddalił się razem z nim. Zimną krew ma ten zbrodniarz, skoro uciekł tym samym pociągiem, który wyruszył po policję, nie uważa pan?

— Pan jest, jak widzę, rzeczywiście pewny, że to on naprawdę zamordował swego pana? — zapytał młody człowiek.

— Tak, mój synu, jestem najzupełniej pewny — odpowiedział Gilder oschle — a to z tej błahej przyczyny, że zabrał ze sobą dwadzieścia tysięcy funtów w papierach, które były w biurku jego pa-

na. Nie, jedyna rzecz, która zasługuje na miano trudności, jest—jak on go zamordował? Czaszka wydaje się jakby zdruzgotana od jakiejś dużej broni, ale nigdzie dokoła niema ani śladu broni, a chyba morderca musiałby być szaleńcem, aby ją zabrać ze sobą — chyba, że broń była za mała, aby ją móc zauważyć.

— A może broń była za duża, aby ją móc zauważyć? — rzekł ksiądz z jakimś dziwnym, lek-
kim chichotem.

Gilder obruszył się na tę dziką uwagę i dość ostro spytał, co Brown ma na myśli?

— Wyraziłem się trochę za głupio, ja wiem — tłumaczył się Brown. — To brzmi trochę jak z bajeczki z czarami. Ale biedny Armstrong zginął od kolby olbrzyma, wielkiej zielonej kolby, za wielkiej, aby ją można było dostrzec — nazywamy ją ziemią. Rozbił się o ten oto zielony nasyp, na którym stoimy.

— Jak pan to myśli? — przerwał detektyw.

Ojciec Brown podniósł swoją puciołowatą twarz ku wąskiej fasadzie domu i mrugając oczyma, patrzył beznadziejnie w górę. Idąc za jego wzrokiem, dostrzegli nawprost u góry tej poza tem ślepej bocznej ściany, poddasze, którego okno było rozwarte.

— Czy nie widzicie — tłumaczył, wskazując trochę niezgrabnie, jak dziecko, palcem — że on spadł stamtąd wdół?

Gilder zmierzył badawczo okno, potem rzekł:

— No tak, to jest z pewnością możliwe. Nie wiem tylko, skąd pan nabył takiej pewności?

Brown rozwarł szeroko swoje szare oczy. — Stąd — rzekł — że dokoła nogi zmarłego owinięty jest strzęp sznura. Czy pan nie widzi, że drugi taki sam strzępek wisi tam, w rogu okna?

Na tej wysokości wyglądał sznur, jak cieniutkie włókienko pajęczyny lub włosów, niemniej przebiegły stary detektyw był zadowolony.

— Ma pan zupełną rację — rzekł do Ojca Browna. — Słuszność jest z całą pewnością po pańskiej stronie.

Mówił jeszcze ostatnie słowa, kiedy specjalny pociąg o jednym wagonie minął zakręt toru na lewo od nich i przystanawszy, wyrzucił nową grupę policjantów. W pośrodku nich ukazał się ów urzędnik, Magnus, zbiegły lokaj.

— Na Boga, złapali go! — zawołał Gilder i z napływem nowej energii postąpił wprzód.

— Macie pieniądze? — spytał pierwszego z brzegu policjanta.

Tamten spojrzał mu w twarz z dość zdziwioną miną i rzekł:

— Nie. — Potem dodał: — Przynajmniej nie przy sobie.

— Który z panów jest inspektorem, proszę — zapytał człowiek, nazwiskiem Magnus.

Kiedy się odezwał, wszyscy zrozumieli odrazu, dlaczego jego głos zatrzymał pociąg. Był to mężczyzna o wyglądzie głuptaska, z gładkimi czar-

nemi włosami i bezbarwną twarzą, a skośny układ oczu i ust nasuwał skojarzenia z dalekim Wschodem. Jego pochodzenie, oraz imię, pozostały dość wątpliwe, z tych czasów jeszcze, kiedy go Sir Aaron „wybawił“ od zajęć kelnerskich w jakiejś londyńskiej restauracji, a nawet (jak mawiał niektóry) od bardziej jeszcze sromotnych zajęć. Ale głos jego był tak żywy, jak martwą była jego twarz. Niewiadomo, czy dla większej wyrazności w przemawianiu obcym językiem, czy z szacunku dla jego pana (który był nieco głuchawy), ton głosu Magnusa miał zabarwienie tak jaskrawo przenikliwe i skrzeczące, że całą grupę przeszedł wstrząs, kiedy się odezwał.

— Wiedziałem zawsze, że to się stanie — rzekł głośno, z niewzruszonym spokojem. — Mój biedny stary pan robił sobie żarty z mojego czarnego ubrania, ale ja mówiłem zawsze, że będę już gotów na jego pogrzeb.

Przy tych słowach uczynił przelotny ruch obiejma dłońmi w czarnych rękawiczkach.

— Sierżancie, — rzekł inspektor Gilder, patrząc z pasją na owe czarne dłonie. — Dlaczego nie założyliście kajdanków temu łotrowi? Wygląda chyba dość niebezpiecznie.

— Trudno, panie, — rzekł sierżant z tem samem niezrozumiałem zdziwieniem na twarzy. — Nie wiedziałem, czy możemy to zrobić.

— Co takiego? — spytał tamten ostro. — Czyście go nie aresztowali?

Na rozwartych ustach sierżanta zarysowała się nieznaczna ironja, w tej samej chwili gwizd zbliżającego się pociągu zdawał się dziwnym trafem przydawać echa temu szyderstwu.

— Aresztowaliśmy go — odpowiedział sierżant poważnie — w tej chwili, kiedy wychodził właśnie z komisariatu w Highgate, gdzie oddał wszystkie pieniądze swego pana do rąk inspektora Robinsona.

Gilder spojrzał na sługę z najwyższem zdumieniem.

— Dlaczegoś, do licha, to zrobił? — spytał Magnusa.

— Aby ochronić ten depozyt przed zbrodniarzem, rozumie się — odpowiedziało spokojnie indywiduum.

— Przecież — rzekł Gilder, — pieniądze Sir Aarona mogły pozostać bezpiecznie u rodziny Sir Aarona?

Ostatnie słowa tej sentencji utonęły w turkocie pociągu, który przejeżdżał mimo, grzmiąc i dudniąc, ale poprzez cały piekielny łoskot, na który ów nieszczęsny dom bywał raz po raz wystawiony, można było dosłyszeć zgłoski odpowiedzi Magnusa w całej ich jaskrawej wyrazistości:

— Nie mam żadnego powodu, aby ufać rodzinie Sir Aarona.

Całemu znieruchomiałemu otoczeniu wydało się, jakgdyby jakaś nowa osoba, niby duch, ukazała się pomiędzy nimi. Merton zdziwił się zale-

dwie, kiedy podniósłszy oczy ujrzał bladą twarz córki Armstronga ponad ramieniem Ojca Browna. Była młoda i piękna w swoim jakby srebrzystym tonie, ponieważ włosy jej były brązowe, w tak szarym i bezbarwnym odcieniu, że wydawało się, jakby w niektórych pasmach zupełnie posiwiały.

— Uważaj, co mówisz!—rzekł ostro Royce.— Przestraszysz pannę Armstrong!

— O to mi właśnie chodzi — odrzekł człowiek z przenikliwym głosem.

A kiedy kobieta zadrżała, a po wszystkich przeszedł dreszcz zdumienia, dodał:

— Ja już trochę przywykłem do dreszczów panny Armstrong. Wiedziałem, jak się tu trzęsie, i to przez całe lata. Jeden mówił, że to trzęsienie jest z zimna, a drugi, że to trzęsienie jest ze strachu, ale ja wiem, że ona się trzęsła z nienawiści i z gniewu — te potwory miały dzisiaj rano swoją ucztę! Gdyby nie ja, byłaby już daleko stąd razem ze swoim kochankiem i z pieniędzmi. Wszystko dlatego, że mój biedny stary pan zabronił jej wyjść za tego pijaka i szubrawca.

— Dość! — rzekł Gilder bardzo surowo.— Nie chcemy nic wiedzieć o tych rodzinnych twoich urojeniach, czy podejrzeniach. Jeżeli nie masz istotnych dowodów, to twoja gołosłowna opinia...

— O! Ja panu dam istotne dowody — przerwał Magnus swoim siekany tonem. — Będzie mnie pan musiał wezwać na świadka, panie inspektorze, a ja będę musiał powiedzieć prawdę. A pra-

wda jest ta: w chwilę potem, jak ten pokrwawiony staruszek został strącony z okna, poleciałem na poddasze; zastałem jego córkę; leżała zemdłona na podłodze, a w rękę trzymała zakrwawiony sztylet. Pan mi pozwoli doręczyć to także odpowiedniej władzy.

Wyciągnął z tylnej kieszeni długi nóż z rogową rękojeścią, splamiony czerwienią, i wręczył go uprzejmie sierżantowi. Potem stanął znowu w tyle, a szpary jego oczu znikły prawie w twarzy, w szerokim szyderskim uśmiechu Chińczyka.

Merton doznał nieomal mdłości na ten jego widok i szepnął do Gildera:

— Zechce pan chyba wysłuchać zeznania panny Armstrong przeciw niemu?

Ojciec Brown podniósł nagle w górę twarz, tak niewiarygodnie świeżą, jakgdyby ją dopiero co umył.

— Tak jest — rzekł, promieniejąc niewinnością. — Ale czy zeznanie panny Armstrong będzie przeciw niemu?

Dziewczyna wydała urwany, nikły okrzyk przerażenia. Wszyscy spojrzeli na nią. Ciało jej zmartwiało, jakby tknięte paraliżem, tylko twarz, obramowana bladym bronzem włosów, żyła panicznym zdumieniem. Stała, jak człowiek schwytyany na lasso i duszony.

— Ten człowiek — rzekł poważnie Gilder — powiada, że zastał panią tuż po zabójstwie nieprzytomną, z ręką na sztylecie.

— On mówi prawdę — odpowiedziała Alicja.

Następnym faktem, który rozegrał się w ich oczach, było to, że Patrick Royce wszedł z pochyloną, szarą głową w ich krąg i odezwał się urywaniem w te słowa:

— Dobrze, skoro już do tego doszło, to chcę jeszcze przedtem mieć trochę przyjemności.

Jego ogromne ramię uniosło się. Żelazną pięścią trzasnął Manusa w sam środek gładkiego mongolskiego oblicza i rozciągnął go na trawniku, na płask, jak rozgwiazdę. Dwóch czy trzech policjantów położyło natychmiast ręce na Patricku, ale pozostałym wydało się, jakgdyby się wszystek ich rozsadek rozprysnął, a wszechświat wirował dookoła w jakiejś nedorzecznej arlekinadzie.

— Co to, to nie, panie Royce! — krzyknął Gilder władczo. — Aresztuję pana za gwałt!

— Nie, panie — odparł sekretarz głosem podobnym do żelaznego gongu. — Pan mnie przyaresztuje za morderstwo.

Gilder rzucił niespokojne spojrzenie w kierunku człowieka rozciągniętego na ziemi, ale skoro ujrzał, że znieważone indywiduum siedzi już na trawie i ściiera parę kropel krwi z nieuszkodzonego poważnie oblicza, spytał krótko:

— Co to ma znaczyć!

— Prawdą jest, co powiedział ten łotr — tłumaczył Royce. — Że zastał pannę Armstrong ze sztylblem w ręce. Ale nóż ten schwyciła nie poto, aby napaść na swego ojca, ale aby go obronić.

— Aby go obronić — powtórzył Gilder poważnie. — Przed kim?

— Przede mną — odpowiedział sekretarz.

Alicja spojrzała nań z twarzą zmieszaną i zaskoczoną. Potem szepnęła:

— Po tem wszystkiem cieszę się przynajmniej, że pan jest dzielnym człowiekiem.

— Chodźcie na górę — rzekł ociężałym głosem Patrick Royce. — Tam wam przedstawię tę całą przekłątą historję.

Pokoik na poddaszu, który był prywatnem ustroniem Royce'a (raczej za małym, jak na celę tak ogromnego pustelnika) zdradzał wszystkie ślady gwałtownego dramatu. Blisko środka pokoju leżał na podłodze duży rewolwer, jakby ciśnięty precz. Blisko lewej ściany potoczyła się butelka wódki, otwarta, ale niezupełnie wypróżniona. Narzutka małego stolika leżała pomięta i zdeptana a u framugi okna umocowany był sznur, przerzuty jednym końcem przez okno nazewnątrz — taki sam, jaki znaleziono przy trupie. Dwie wazy potłuczone leżały na kominku, a jedna na ziemi.

— Byłem pijany — rzekł Royce. W prostocie tego przedwcześnie zniszczonego człowieka był jakowyś patos pierwszego grzechu dziecka.

— Wiecie o mnie wszystko — ciągnął dalej ochryplym głosem. — Wiadomo wszystkim, od czego się moja historia zaczęła, niechże się teraz na tem samem skończy! Nazywali mnie ongiś mą-

drym człowiekiem — mogłem zostać łatwo i szczęśliwym. Armstrong uratował resztki mózgu i ciała z szynków i zawsze był dla mnie, na swój sposób, dobry — biedaczysko! Nie chciał tylko pozwolić Alicji wyjść za mnie i zawsze przyznam, że miał rację. Otóż tak, możecie teraz ukształtować swoje wnioski ; już bez mojej pomocy odgadnąć resztę szczegółów. Tutaj w kącie jest moja flaszka wódki wypróżniona do połowy, tu leży mój rewolwer wystrzelony do ostatniego naboju. Z mojego kufra był sznur, który znaleziono przy trupie i z mojego okna zrzucono ciało wdół. Nie trzeba na to detektywów, aby się grzebać w mojej tragedji. Jest to dość powszednia sprawa na tym świecie. Oddaję się sam w ręce kata i, na Boga, dosyć o tem!

Na ledwie dostrzegalny znak policja osaczyła wysokiego człowieka, aby go odprowadzić, ale oględność, z jaką się do tego zabrano, spotęgowało jeszcze zastanawiające zachowanie się Ojca Browna, który na czworakach tkwił u progu drzwi, na dywanie, jakgdyby odprawiał jakieś nieprzyzwojne modlitwy. Będąc zazwyczaj człowiekiem niewrażliwym na to, jakie społeczne stanowisko sobą wyobraża, pozostawał w tej pozycji ; zwrócił tylko swoją pogodną, okrągłą twarz ku zebrany, przedstawiając się im w postaci czworonoga o nad wyraz komicznej ludzkiej głowie.

— Powiadam — rzekł dobrodusznie — że to żadną miarą tak nie idzie, rozumiecie panowie?

Z początku nazywało się to, że nie znaleźliśmy żadnej broni. Ale teraz znaleźliśmy jej za dużo — teraz mamy nóż do przebijania, i powróż do duszenia, i rewolwer do strzelania, a koniec końcem oflaira wylatuje przez okno i łamie kark! To tak nie idzie. To nie jest ekonomiczne. I zaczął potrząsać głową ku ziemi, jak koń na pastwisku.

Inspektor Gilder otworzył usta z poważnym zamiarem zabrania głosu, ale zanim zdołał się odezwać, groteskowa figura na podłodze wypuściła cały potok słów:

— A teraz trzy rzeczy zupełnie niemożliwe. Po pierwsze, te dziury w dywanie, w których utkwiło sześć kul. Poco, u licha, miałby ktoś strzelać w dywan? Pijany człowiek celuje w głowę przeciwnika, t. j. w tę rzecz, która go prowokuje, ale nie szuka sobie awantur z jego stopami, ani nie zamierza się na jego pantofle. A potem ten sznur—to powiadając, mówca odjął ręce od podłogi i wsunął je do kieszeni, pozostając jednak niezmiennie i najobojętniej na klęczkach. — Do jakiego stopnia człowiek musiałby być wstawiony, aby naprzód zakładać komuś sznur na kark a w końcu owiązać mu nim nogę? Tak, czy owak, Royce nie był znowu do tego stopnia pijany, inaczej spałby teraz, jak kłoda. A co jest najjaskrawsze z wszystkiego, to flaszka wódki. Przypuśćmy, że ten alkoholik bił się o wódkę, a potem, kiedy ją zdobył, kopnął ją daleko w kąt, tak że połowa wylała się, a połowa

została w butelce. To jest ostatnia rzecz, którąby pijak uczynił!

Poczem wstał niezgrabnie na nogi i rzekł do samozwańczego mordercy tonem najszczerzej skruchy:

— Bardzo żałuję, kochany panie, ale pańska bajka jest naprawdę bardzo głupia.

— Panie — szepnęła do księdza cichym głosem Alicja. — Czy mogę się z panem przez chwilę rozmówić w cztery oczy?

Ksiądz z całą gotowością wyszedł z nią na korytarz, ale zanim jeszcze mógł otworzyć w drugim pokoju usta, dziewczyna mówiła już do niego dobitnie, a rezerolucie:

— Pan jest mądrym człowiekiem — rzekła — i ja wiem, że pan chce uratować Patricka. Ale to się na nic nie przyda. Dusza tej całej sprawy jest czarna, i czem więcej rzeczy pan odkryje, tem więcej świadczyć będzie przeciw temu nieszczęśnikowi, którego kocham.

— Dlaczego? — spytał Brown dobitnie, nie spuszczaając z niej wzroku.

— Dlatego! — odpowiedziała również dobitnie. — Ponieważ widziałam na własne oczy, jak popełnił zbrodnię.

— Ach! — rzekł niewzruszony ksiądz. — I cóż on takiego zrobił?

— Byłam właśnie w tym pokoju, obok nich — wyjaśniała. — Drzwi były tu i tam zamknięte, ale

nagle usłyszałam głos, jakiego nie słyszałam nigdy w życiu. Wrzeszczał: Piekło, piekło, piekło! raz po raz a potem obojgiem drzwi wstrząsnął pierwszy wystrzał rewolweru. Jeszcze trzy razy huknął strzał, zanim zdołałam oboje drzwi otworzyć — zastałam pokój pełen dymu, ale rewolwer dymił w rękę mojego biednego szalonego Patricka i widziałam na własne oczy, jak wypalił ostatni morderczy nabój! Potem rzucił się na mego ojca, który w panicznym strachu przywarł do framugi okna i mocując się z nim, usiłował go zadusić sznurem. który mu zarzucił na szyję, który jednak w bójce ześlizgnął mu się po ramionach aż do nóg. Potem sznur zacisnął się dokoła nogi, a Patrick włókł go po ziemi, jak warjat. Chwyciłam za nóż, który leżał na macie i rzuciłam się między nich — udało mi się przeciąć sznur, zanim zemdlałam.

— Rozumiem — rzekł Ojciec Brown z tą samą sztywną uprzejmością. — Dziękuję pani.

Dziewczyna opadła z sił pod ciężarem tych wspomnień, ale nieugięty ksiądz przeszedł do sąsiedniego pokoju, gdzie zastał Gildera i Mertona, sam na sam z Patrickiem Royce, który siedział na krześle ze skutem rękami. Ksiądz odezwał się uległym tonem do inspektora:

— Czy mogę w obecności panów powiedzieć jedno słowo do waszego ienca i czy mógłby on na jedną minutkę zdjąć tę zabawną bransoletkę?

— On jest bardzo silny — szepnął Merton. — Poco pan chce zdjąć mu kajdanki?

— Poco? — rzekł ksiądz pokornie. — Myślałem, że może mógłby mnie spotkać ten prawdziwie wielki zaszczyt podania mu ręki.

Obaj detektywi osłupieli, a Ojciec Brown dodał:

— A więc, czy zechce mu pan to powiedzieć?

Człowiek na krześle potrząsnął swoją rozwieszoną czupryną, ksiądz obruszył się niecierpliwie.

— W takim razie ja to uczynię — rzekł. — Życie jednostki jest ważniejsze, niż reputacja publiczna. Ja chcę ratować żywych — niechaj umarli przebiegają umarłych.

Podszedł do fatalnego okna i wyjrzał zeń na dwór, poczem mówił dalej:

— Powiedziałem panom, że w całej tej historii było za dużo broni, a tylko jedna śmierć. Powiadam wam teraz, że żadna broń nie była bronią i żadna nie została użyta do zabójstwa. Wszystkie te potworne narzędzia, ta pętla, ten pokrwawiony nóż, ów buchający ogniem rewolwer — były to narzędzia dziwnej łaski. Zostały użyte nie poto, aby zabić Sir Aarona, ale aby go obronić.

— Obronić go? — powtórzył Gilder. — A to przed kim?

— Przed nim samym — rzekł Ojciec Brown. — Był to manjakałny samobójca.

— Co? — zawołał Merton z niedowierzaniem. — A jego Religja Wesołości?

— To jest religja okrutna! — rzekł ksiądz,

patrząc przez okno. — Dlaczego nie dano mu się trochę wypłakać, tak jak płakali jego ojcowie przed nim? Jego plany zamierały, jego przekonania wyziębły, z za wesołej maski wyzierała pusta głowa ateisty. Nakoniec, aby utrzymać przed ludźmi swoją stałą wesołość, wpadł zpowrotem w pijaństwo, którego się przed dawnym czasem był wyparł. Ale w tem leży groza alkoholizmu dla prawdziwego herbatnisiarza: wyobraża sobie ustawicznie i oczekuje tego psychologicznego piekła, przed którym sam przestrzegał innych. Omotało to biednego Armstronga przedwcześnie, a dzisiejszego ranka doszło do wybuchu. Zaczął krzyczeć, iż jest w piekle, i to tak zmienionym głosem, że nie poznała go własna córka. Szalał za śmiercią i małym sposobem warjatów porozrzucił dokoła siebie wielorakie narzędzia śmierci — pętlę, rewolwer przyjaciela i nóż. Royce wszedł przypadkiem do pokoju i zaczął błyskawicznie działać. Nóż cisnął poza siebie na matę, porwał rewolwer, a nie mając na to czasu, aby go wyładować, wypalił kulę po kuli w podłogę. Samobójca ujrzał czwarty rodzaj śmierci i jednym skokiem rzucił się ku oknu. Jego zbawca zrobił rzecz jedynie możliwą — pobiegł za nim ze sznurem w rękę i usiłował związać mu ręce i nogi. Wtedy właśnie nieśczęśliwe dziewczę wpadło do pokoju i tłumacząc sobie ową walkę fałszywie, próbowało przeciąć więzy ojca. Najprzód zadrasnęła tylko tego biedaka Royce'a w rękę — stąd owa odrobina krwi

w tej całej historii. Musieliście panowie zauważyć oczywiście, że na twarzy służącego pozostawił on krew, chociaż nie uczynił rany. Tuż zanim ta biedna kobieta zemdląca, udało się jej oswobodzić ojca, tak że ten z łoskotem rzucił się przez okno wprost do wieczności.

Długą chwilę ciszy przerywały powoli metaliczne dźwięki kajdanków Royce'a, które odmykał Gilder. Wreszcie rzekł detektyw:

— Myślę, że jabym na pańskim miejscu był powiedział prawdę. Pan i ta młoda dama jesteście więcej warci, aniżeli pośmiertne wzmianki o Armstrongu.

— Co tam pośmiertne wzmianki o Armstrongu! — krzyknął grubijańsko Royce. — Nie rozumie pan, że to było poto, aby się ona o tem nie dowiedziała?

— O czym? — zapytał Merton.

— Głupiś pan! O tem, że zabiła swego ojca! — krzyknął tamten. — Gdyby nie ona, byłby jeszcze żył. Ta świadomość mogłaby ją wpędzić w szaleństwo.

— Nie, nie przypuszczam, aby mogła — zauważył Ojciec Brown, biorąc do rąk kapelusz. — Przypuszczam raczej, że jabym to jej powiedział. Najbardziej nawet mordercze omyłki nie zatruwają tak życia, jak grzechy. W każdym razie, myślę, że teraz będziecie oboje szczęśliwsi. No, czas mi wracać do Szkoły Głuchoniemych.

Kiedy wyszedł na murawę kołysaną wiatrem, znajomy jakiś z Highgate zatrzymał go i rzekł:

— Przyjechał Coroner. Śledztwo właśnie się rozpoczyna.

— Muszę wracać do Szkoły Głuchoniemych — rzekł Ojciec Brown. — Bardzo żałuję, że nie mogę być obecny na śledztwie.

Koniec.



**Dotychczas nakładem „ROJU” ukazały się
między innymi następujące książki:**

<i>Awerczenko.</i> Opowiadanie cynika.	. . .	— .95
— Podręcznik rodzenia dzieci.	. . .	— .95
— Egzekutor Buraczkow.	. . .	1.25
<i>Benoit.</i> Albertyna 2 tomy.	. . .	à — .95
— Atlantyda 2 tomy.	. . .	à — .95
— Słone jezioro, 2 tomy	. . .	à — .95
<i>Bonnery.</i> Miłość i gilotyna	. . .	1.95
<i>Bandrowski J.</i> Po tęczowej obręczy.	. . .	1.95
<i>Bruun L.</i> Niepocieszona wdowa.	. . .	1.25
— Białe noce (w druku).	. . .	— .95
— Bliźnięta.	. . .	1.95
<i>Becher Stove.</i> Chata wuja Toma	. . .	1.95
<i>Breszko Breszkowski.</i> Zemsta tancerki 2 tomy	à — .95	
<i>Czapliński.</i> Balbina i S-ka	. . .	— .95
<i>Czechow.</i> Partja wnta	. . .	— .95
— Naga narzeczona	. . .	— .95
<i>Chesterton.</i> Niewinność ojca Browna	. . .	1.95
— Grzechy księcia Saradine	. . .	1.95
<i>Conan Doyle.</i> Tragedja Koroska	. . .	— .95
— Dol na trwogi (w druku)	. . .	1.45
— Ostatnia galera	. . .	1.95
<i>Dupuy Mazuel.</i> Gracz w szachy, 2 tomy	à — .95	

<i>Duvernois.</i> Dzieje psiapsius'a	1.25
— Eunuch	1.25
— Serce na uwieżi	1.95
— Maksym (w przygotowaniu).	
<i>Dostojewski.</i> Zbrodnia i kara, 4 tomy	4.—
— Idjota	6.—
— B esy (w druku).	
<i>D'Esme.</i> Dusza puszczy, 2 tomy	à —.95
<i>Daudet A.</i> Spowiedź królowej	1.95
<i>Gogol.</i> Portret	— .95
<i>Ghiraldo.</i> Milache	1.95
<i>Haggard.</i> Potwór Heu-Heu, 2 tomy	— .95
— Kopalnie króla Salomona, 2 tomy	— .95
— Elissa	2.50
<i>Henry O.</i> Romans na promie	— .95
— Krywówka Czarnego Billa	1.95
<i>Hull.</i> Zeik	—
<i>Hemon L.</i> Bokser i lady	1.95
<i>Jaques.</i> Kupiec z Szanghaju, 2 tomy	à 1.25
— W spelunkach Rio de Janeiro	à 1.95
<i>Katajew.</i> Defraudanci	1.95
<i>Krzyżanowskaja.</i> Eliks'r życia	1.95
<i>Krasnow.</i> Amazonka Azji	1.45
— Upadłe liście (w przygotowaniu).	
<i>Lepecki.</i> W selwasach Paragwaju	1.25
<i>Leroux.</i> Mister Flow	2.50
<i>Larrony.</i> Syreny i tryteny	1.95
<i>London.</i> Biały kieł, 2 tomy	— .95
— Biały kieł, lepszy papier	3.—
— Pogarda kobiet	— .95
— Miłość życia	— .95
— Szczerozłoty wawóz	— .95
— Arcybestja	1.25
— Kaftan bezp eczeństwa, 3 t.	— .95
— Wierność mężczyzny	— .95

252505

I

LP.

kdd — 496/63 90000 szt.

- Martin Eden (w
- Przygoda (w dru
- Czerwony bóg .
- Żółwie Tasmana
- Mię .
- Jerry z wysp .
- Opowiadania pogromcy 1.20
- Szkarłatna dżuma 1.25
- Wyga —.95
- John Barleycorn, 2 tomy. a —.95
- Gra 1.25
- Córka śniegów (w druku).
- Malarzka Pani wielkiego domu (w druku).
- Merimée*. Niedźwiedzie gody —.95
- Carmen 1.50
- Orsyd*. Gwiazda w kałuży —.95
- Pascal*. Córka szatana —.95
- Puszkina*. Córka kapitana —.95
- Miłostki carskiego huzara —.95
- Melcer Rutkowska*. Narzeczona z Angory 1.45
- Szmielow*. Kelner 1.95
- Staśko*. Jej wiosna —.95
- Śliwina*. Szatan w świątyni —.95
- Demon świata —.95
- Wańkowicz*. Szpital w Cichiniczach —.95
- Strzępy epopei 1.80
- W kościołach Meksyku 1.95
- Wróblewski*. Jaśnie chamstwo 1.95
- Zarzycka*. Dzikuska —.95
- Zoszczenko*. Jak Siemion Siemionowicz zako-
- chał się w arystokrację —.95
- Jego Królewska Mość —.95
- Carskie buty 1.25
- J. Villard*. Karuzela udręczeń —.95